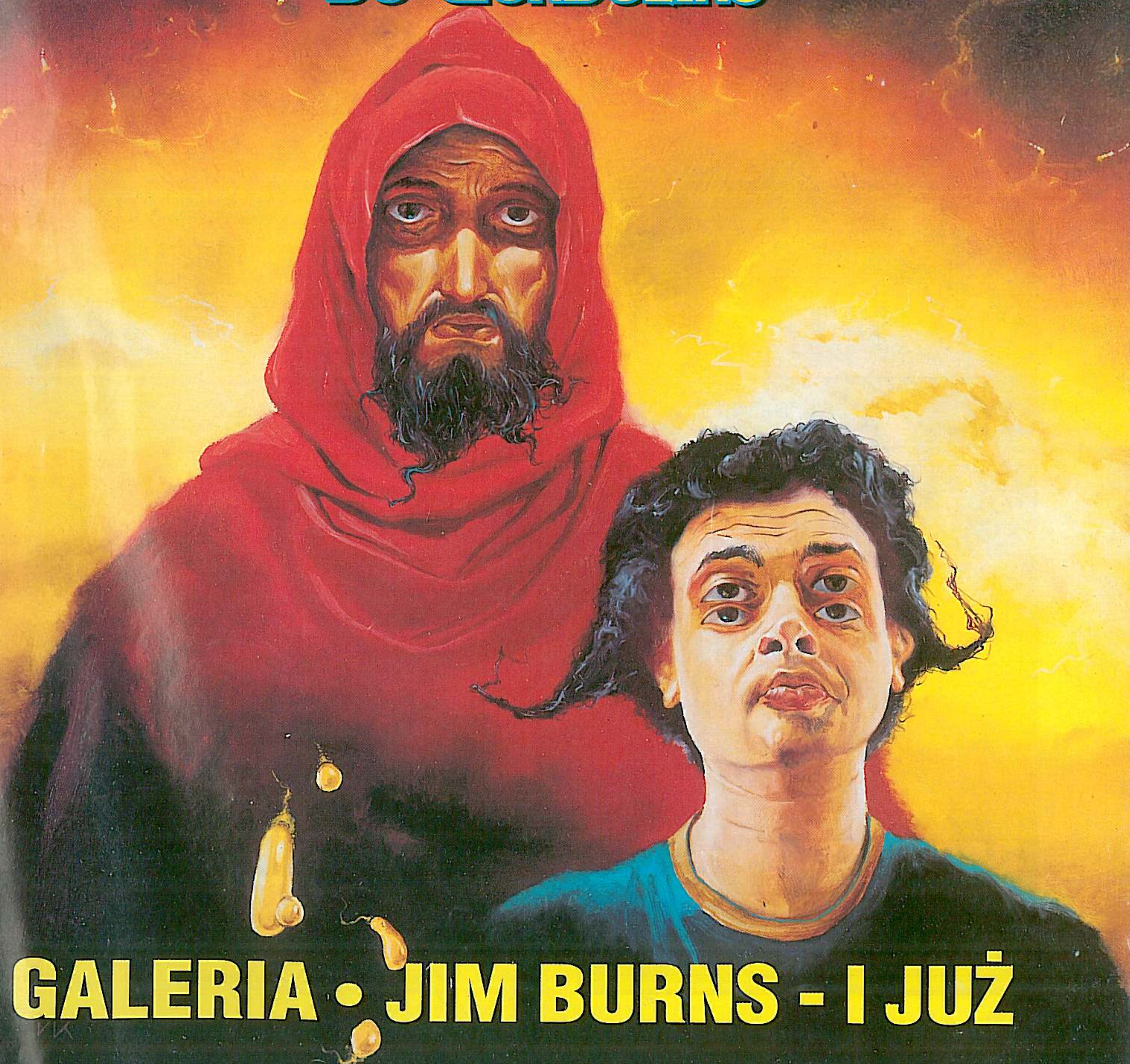
Eugeniusz Dębski - Tatek przyjechał...

NOWA Fantastyka

INDEKS 358398

NUMER 9 (144) WRZESIEŃ 1994 CENA 20000 ZŁ

J.R.R. TOLKIEN
O TUORZE I JEGO PRZYBYCIU DO GONDOLINU



GALERIA • JIM BURNS - I JUŻ

NOWA Fantastyka

NUMER 9 (144) WRZESIEŃ 1994

Drodzy Czytelnicy!

Za sprawą prozatorskich kawałków wielkiego Tolkiena i naszej Marty Tomaszewskiej (autorki znanego czteroksięgu o Tapatikach), dwukrotnie wkraczamy w tym numerze w zaklęty, wieloznaczny, towarzyszący ludzkości od zawsze – krąg baśni.

W dziale krytyki znajdziecie Państwo dodatkowo pasjonujący komentarz do twórczości (do baśniotwórstwa!, do mitotwórstwa!!) ojca hobbitów, do jego wizji świata, do wiary i wynikłych z niej zadań (literackich, artystycznych, intelektualnych, obywatelskich), jakie stawiał swemu dziełu. Różni się to trochę od subiektywnej tolkienady wysnutej niedawno przez Sapka ze srebrnej zdefektowanej plomby („NF" 6/94). Co robić, literatura, także krytyka, nie jest dziedziną ścisłą.

Ponadto polecam polskie opowiadanie Dębskiego, łączące prozę psychologiczną z poetyką i tematyką tradycyjnej SF. Wszystko na pozór różni je od technothrillera, którym w dziale krytyki zajmuje się Dukaj. Otóż widziałbym tu pokrewieństwa, chociaż różnice także. O co mi chodzi?

Niedawno w „Fenixie" Oramus rzucał gromy na sytuację, w której wprowadzamy pojęcie technothrillera, jakby science fiction nie znaczyła tego samego: SF zdycha, więc reanimujemy ją, odcinając zdegenerowaną odnogę i zmieniając termin... Widzę to inaczej. Science fiction posługiwała się często językiem i scenerią techno, bywała thrillerem, ale przede wszystkim... była marzeniem, snem, baśnią i mitologią ery kosmicznej. Kiedy Crichton opowiada o krwi dinozaura wyciągniętej z komarzego zewłoka zatopionego w bursztynie, kiedy autorzy jego rasy opisują w działaniu nowoczesne łodzie podwodne bądź porywaczy bomby A, to obracamy się w sferze wysokiego prawdopodobieństwa i uprawiamy fantastykę bliskiego zasięgu. Natomiast kiedy Lem wymyślał ocean Solaris i jego żywe kreacje, kiedy Dick układał równoległą historię, a Asimov pisał prawa robotyki (bliższe Biblii niż cybernetyce) to była SF.

SF i technothriller. Mitologie i technologia. Marzenie-koszmar i przewidywanie. Sen obok rzeczywistości.... Oczywiście, to często się miesza. W głośnej „Głowie Kasandry" Baranieckiego prawie cała powieść to technothriller (może pierwszy, nowoczesny, polski?); końcówka to już mitologiczny odlot SF. Podobnie Lemowski Pirx długo i dość skutecznie udawał technokosmonautę, zaś jako stworzenie mitologiczne zdemaskował się dopiero po Hermaszewskim, kiedy spostrzegliśmy, że za rzadko rzyga i za mocny ma kościec jak na faceta nadużywającego nieważkości. Mitologiom takie kiksy uchodzą. Technothriller pozwolić sobie na nie nie może. Co znaczy tyle, że technothriller jest dosłowniejszy, bliższy rzeczywistości, a niekoniecznie zaraz, że bywa lepszym czytadłem bądź wartościowszą fantastyką.

Polecam też Państwu komiks. Ratman to nasza przymiarka do własnego firmowego stworzenia w rodzaju Garfielda. Jeśli się Państwu spodoba, parę następnych historyjek z Ratmanem czeka na druk, a Niewiadomski ma (miał) w czasie wakacji wymyślić następne.

Czy ankieta z „NF" 7/94 (str. 61-62) już wypełniona i wysłana?

Maciej Parowski

Ziemia jest płaska!

Niech bogowie Wam sprzyjają za „Kolor magii”! To jest to! Tak ironicznego, kipiącego humorem tekstu („NF” 4-7/94) długo u Was nie było. Po przeczytaniu kawałka z chochlikiem w pseudoaparacie foto przez bity kwadrans rechotałem. Podziwiam Terry'ego Pratchetta za jego wyobraźnię i zaskakujące skojarzenia. Jak on to wszystko wymyślił? Barwne postacie, bogactwo opisu świata, wszystko pisane żywym, ironicznym językiem, okraszone niewymuszonym, lekkim humorem – autor tworzy mieszankę, przy której zapominam o Bożym Świecie.

Vivat Pratchett! Ziemia jest płaska!

Krzysztof Nowicki
(uczeń III kl. LO)
Bydgoszcz

„Kolor magii” Terry'ego Pratchetta to właśnie to, co najlepsze! Po każdym odcinku nie mogłem wprost doczekać się dalszego ciągu. Ilustracje Piotra Kowalskiego do tej powieści też na właściwym poziomie (w przeciwieństwie na przykład do koszmarnego rysunku Jakuba Szczęsnego ze strony 50 numeru 5/94).

Maksymilian Schreck
Ludwichowo

Wyśmienitość!

„Pancerniki siedzące w granatowej wodzie” Macieja Żerdzińskiego („NF” 4/94) – wyśmienitość! Nie proszę o więcej, bo mógłby obniżyć loty, a to byłaby strata. Choć i tak jego średni poziom nie spada poniżej najwyższych dokonań wielu innych pisarzy.

Maciej Czernik
Tarnów

Brawo!

Opowiadanie Marcina Osikowicza-Wolffa „Ruletenburg” („NF” 6/94) wzruszyło mnie dogłębnie. Nareszcie doczekałem się utworu, który nie stara się eksploatować wysłużonych tematów SF w rodzaju smoków i statków kosmicznych. Do tego nie ma nic wspólnego z amerykańską papką fantastyczną bezwstydnie wypełniającą po brzegi półki księgarskie i nachalnie reklamującą się w kolorowych katalogach. „Ruletenburg” jest pomysłowy, nieszablonowy, i – słowo daję – gdybym nie znał autora, myślałbym, że napisał to Rosjanin. Powiązanie klimatu „Zbrodni i kary” Dostojewskiego z petersburskimi realiami połowy XIX wieku w alternatywną całość dało wspaniały efekt. Mam nadzieję, że szanowny kolega Marcin dalej pójdzie tym tropem i będę miał okazję przeczytać jeszcze kilka takich oryginalnych kawałków...

À propos, co stało się z pisarzami SF zza naszej wschodniej granicy? W Polsce ciężkie czasy zawsze obfitowały w dużą liczbę opowiadań uciekających w inne światy, jak najdalej od szarej, ponurej rzeczywistości. Myślę, że u nich jest podobnie?

Andrzej Kaleniewicz
(student filologii rosyjsko-angielskiej)
Kalisz

I nic!

Pragnę bardzo serdecznie podziękować za wypełnienie mi fantastyką („Fantastyką”) jednej trzeciej mojego życia. Kiedy jedenaście lat temu wpadł mi w ręce trzeci z kolei numer Waszego pisma, oszalałem (słodkie szaleństwo), od tej pory życie moje było tylko czytaniem „Fantastyki” i polowaniem na „Fantastykę”. Reszta była dużo mniej istotna. Dość powiedzieć, że gdyby moja żona wiedziała, ile zapłaciłem za odnaleziony po latach polowań pierwszy numer „Fantastyki”, byłbym już dawno człowiekiem rozwiedzionym. Mijały lata i przeszło tych numerów pięćdziesiąt, potem sto i teraz sto czterdzieści i oto stało się coś, w co jeszcze rok temu bym nie uwierzył. Oto czytam i nic. Nie mam wypieków na twarzy, nie drżą mi kolana, nie czuję nic. Miłość minęła. Może to nie była prawdziwa miłość? Ale coś było na pewno. Przez jedenaście lat. I za to bardzo dziękuję. Pozostał stos czasopism i książek (Komu? Komu?!). Mam wszystkie numery „Fantastyki” i „Nowej Fantastyki” do wiosny tego roku. Mam też (Komu? Komu?) parę książek. Między innymi czterotomową „Drogę do science fiction” i sześciotomową „Polską nowelę fantastyczną” i coś z Wiśniewskiego-Snerga i coś ze Strugackich i Le Guin i innych krewnych-i-znajomych. I tylko Lema zostawię sobie (nie dla fantastyki, lecz dla języka zegarmistrzowsko cyzelowanego). I więcej nic. („Widać można żyć bez powietrza”). Jeszcze raz za wszystko dziękuję i żegnam.

Bogusław Czarny
ul. Broni Pancernej 6/4
68-200 Żary

To znowu ja!

Pisząc poprzedni list („NF” 5/94) myślałem, że z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zakończę korespondencję z Wami, ale nie! Nie mogłem się powstrzymać, żeby znów nie dać znać, że żyje ktoś, kto „podładowuje” się treścią Waszego pisma. Tym razem nie chcę Wam przyganiać, ale pogratulować. Czerwcowy numer „Fantastyki” był cudowny! Numer, jakiego dawno nie było! Oczywiście największe brawa za perełkę, jaką była „Pamięć ryżu” Jeana Marie Blas de Roblés. Na to czekałem od wieków i właśnie od tego zacząłem. Starałem się delektować każdym słowem i odczułem żal, gdy doszedłem do końca, ale był to żal ulotny – pozostałe opowiadania zagraniczne również były trafieniami za sto punktów. Z polskiej fantastyki najlepszy był „Omen” Michała Łukaszewicza, choć nie mogłem się pozbyć wrażenia, że gdzieś to już czytałem (nie wykluczam déja vu). Również „Ruletenburg” Marcina Osikowicza-Wolffa był niezły, tylko że oparty na trochę banalnym pomyśle. „Smok” Igora Cyprjaka – hmm, czy nie za dużo mamy ostatnio tej „sapkowszczyzny”? Opowiadanie zgrabne i nic mu nie mogę zarzucić, prócz tego, że jest okazem sztuki rzemieślniczej, a nie pięknej. Stop – miało nie być marudzenia! Jeśli nadal pójdziecie w kierunku tak rozumianej różnorodności, to jestem pewien, że liczba Waszych wielbicieli się zwielokrotni.

***Marcin Kreczmer** (19 lat)*
Rycerka Dolna

PS. Dzięki „Pamięci ryżu” przeczytał CAŁĄ „Fantastykę” człowiek, który zawsze gardził podobną literaturą, jako bezwartościową papką dla mas. Dziękuję!

Nie wolno!

Jestem stałym czytelnikiem Waszego pisma i do niedawna o „Fantastyce” mogłem się wypowiadać jedynie w superlatywach. Pojawił się jednak pewien niesmak; mając komplet egzemplarzy z ostatnich czterech lat i chyba niezłą pamięć wzrokową, porównałem stronę 17 z lipca 1994 ze stroną 19 z listopada 1992. I co się okazało bardzo brzydkiego? Pan Jacek Kopalski (kolejarz zresztą) dokonał plagiatu dzieła pana Luisa Royo (artysty zresztą); przedstawia zerżnięty „obrazek” jako własny! Tu od razu replikuję ewentualnym obrońcom: tak, tak słyszałem, Kopalskiego rekomendował Alan Lee (?!), rozumiem inspiracje – ale są granice, których (jak mawiał generałsekretarzwalenrodwojciech) przekroczyć nie wolno!

Marcin Roszkowski
Radom

Dzieci Argolandu – koniec!

Niniejszym proszę szanowną Redakcję mojego ulubionego miesięcznika o podjęcie antydemokratycznej i stojącej w sprzeczności z prawami człowieka decyzji o zamknięciu trwającej już pół roku listownej polemiki na temat „Dzieci Argolandu”.

***Wojciech Szyda** (18 lat)*
Gniezno

S-KA z O.O. Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 Warszawa
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: tech., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., publicystyki). Fax 25-20-89.

Redaguje „Fantastyka” sp. z o.o.: Andrzej Brzezicki (dział graficzny), Dorota Malinowska (dział zagraniczny), Marek Oramus (dział publicystyki), Teresa Pajdzińska (korekta), Maciej Parowski (dział literatury polskiej, redaktor naczelny), Hanna Sosińska-Balcer (dział techniczny), Krzysztof Szolginia (sekretarz redakcji).

Stali współpracownicy: Waldemar Czerniszewski, Adam Hollanek, Jacek Inglot, Lech Jęczmyk, Andrzej W. Kaczorowski, Sławomir Kędzierski, Arkadiusz Nakoniecznik, a także Denuncjator, Inkwizytor, Karburator, Kunktator, Negocjator, Predator, Reanimator, Sekator, Wentylator i Wibrator.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów. Za treść reklam nie odpowiadamy.

Wydaje Prószyński i S-ka
Jacek Herman-Iżycki,
Mieczysław Prószyński,
Zbigniew Sykulski,
Tadeusz Winkowski
– spółka jawna.
Adres: 02-569 Warszawa, ul. Różana 34.
Tel. 45-12-56.

Łamanie: Piotr Dudek.

Druk i oprawa:
Zakłady Graficzne Sp. z o.o.,
64-920 Piła,
ul. Okrzei 5.

Nakład 95 000 egz.

PL ISSN 0867-132X

INDEKS 358398

Oddano do składu 15 lipca 1994 r.



O TUORZE I JEGO PRZYBYCIU DO GONDOLINU

Andrzej Grzechnik

(Of Tuor and his Coming to Gondolin)

J.R.R. TOLKIEN

Po śmierci rodziców, Huora i Ríany, Tuor wychowywał się w domostwie elfa Annaela. Sam Annael opowiedział mu o potężnym królu Turgonie i jego ukrytej fortecy, Gondolinie, do której nie mieli wstępu ni ludzie, ni elfy, i chłopiec zamarzył, by kiedyś ujrzeć Ukryte Królestwo. Tymczasem życie w zajętym przez najeźdźców kraju stawało się coraz cięższe, toteż elfy postanowiły odejść na południe sekretną drogą, zwaną Bramą Noldorów. Podczas wędrówki napadli ich orkowie i Easterlingowie. Elfy rozbiegły się, zaś Tuor trafił do niewoli, z której uciekł po trzech latach, aby jako banita w kraju własnych ojców nękać nieprzyjaciół. Stale jednak szukał Bramy Noldorów, lecz nikt nie umiał wskazać mu drogi.

Wreszcie pewnego dnia Tuor postanowił odejść z Dor-lominu. A kiedy zanucił pożegnalną pieśń, u jego stóp trysnął strumień, który odtąd był mu przewodnikiem. Doprowadziwszy młodzieńca do mrocznej jaskini, zniknął, jednak następnego dnia Tuor ujrzał dwa elfy, wychodzące z ciemności. Wyjaśniły mu one, iż tunel ów to w istocie właśnie Brama Noldorów, prowadząca na drugą stronę gór. Tuor natychmiast wyruszył w drogę i wkrótce znalazł się w Cirith Ninniach, Żlebie Tęczy, który doprowadził go aż na do Nevrastu. I tak Tuor stanął na krawędzi Śródziemia, na brzegu Wielkiego Morza, Belegaeru. (pb)



J.R.R. Tolkien, oprócz znanych czytelnikom na całym świecie „Hobbita” i „Władcy Pierścieni”, pozostawił po sobie mnóstwo nigdy nie ogłoszonych za życia drukiem szkiców, opowiadań, dłuższych i krótszych fragmentów, związanych z dziejami stworzonego przez siebie świata. Wiele z nich świadomie odrzucił. Inne jednak co prawda zostały nie ukończone, lecz autor bez wątpienia zamierzał kiedyś do nich powrócić. Niestety, nie zdążył.

„Niedokończone opowieści z Nùmenoru i Śródziemia” to kolejne, po „Silmarillionie” dzieło J.R.R. Tolkiena, opublikowane pośmiertnie, a opracowane przez syna pisarza, Christophera. Jednak o ile „Silmarillion” stanowił w miarę spójną całość, o tyle wchodzące w skład zbioru „Niedokończonych opowieści” teksty to odrębne fragmenty, dotyczące wybranych wątków historii Ardy. Jednym z nich jest także przedstawiany tu tekst „O Tuorze i jego przybyciu do Gondolinu”.



Tuor spędził w Nevraście wiele dni. Upodobał sobie tę krainę, od północy i wschodu otoczoną górami, a od południa i zachodu – morzem. Było tu cieplej niż na równinach Hithlumu, a i sama ziemia o wiele gościnniej witała przybysza. Przywykły do samotnego życia w głuszy Tuor nie narzekał na brak łownej zwierzyny, bowiem wiosna w Nevraście obfitowała w ptactwo, zarówno to znad oceanu, jak i przybywające z mokradeł Linaewen w głębi lądu. Ich śpiew wypełniał powietrze, wszelako nigdzie nie słyszało się głosów ni elfów, ni ludzi.

Tuor dotarł na brzeg wielkiego jeziora, lecz nie mógł dosięgnąć wody, gdyż odgradzały go od niej szerokie bagna i nieprzebyty gąszcz trzcin. Wkrótce też zawrócił na wybrzeże, posłuszny wezwaniu Morza, jako że niechętnie myślał o osiedleniu się z dala od szumu fal. Właśnie na wybrzeżu Tuor po raz pierwszy odnalazł ślady dawnych Noldorów. Pośród wysokich klifów Drengistu znajdowało się wiele szczelin i osłoniętych zatoczek, w których pośród czarnych głazów połyskiwały bielą piaszczyste łachy. Tuor często natykał się na prowadzące do takich miejsc schody, wykute w litej skale, zaś nad wodą znajdował zrujnowane przystanie, zbudowane z wielkich kamiennych bloków. Do portów tych niegdyś zawijały okręty elfów. Tuor długo pozostał w tej okolicy, obserwując nieustanne zmiany morza. Tak minęły mu wiosna i lato. W Beleriandzie ciemności pogłębiły się, aż w końcu nadeszła jesień, która przyniosła ze sobą zgubę Nargothrondu.

Może ptaki przeczuwały, jak sroga będzie zima, bowiem te, które odlatywały na południe, zebrały się wyjątkowo wcześnie, inne zaś, zazwyczaj żyjące na północy, przeniosły się do Nevrastu. Pewnego dnia Tuor, siedzący na brzegu, usłyszał szum i łopot wielkich skrzydeł, a kiedy uniósł wzrok, ujrzał klucz siedmiu białych łabędzi szybujący na południe. Nagle jednak ptaki skręciły i runęły w dół, by z głośnym pluskiem wylądować na falach.

Tuor kochał łabędzie. Pierwszy raz ujrzał je na szarych stawach Mithrimu. Łabędź też był godłem Annaela i jego szczepu. Powstał tedy, aby powitać ptaki, i zawołał do nich, dziwiąc się ich rozmiarom. Były bowiem większe i wspanialsze niż ich pobratymcy, których dotąd znał. Łabędzie jednak poczęły bić skrzydłami i wydawać ostre wrzaski, jakby czuły w nim wroga i pragnęły odpędzić go od brzegu. Po chwili z wielkim szumem ponownie wzleciały w powietrze i przefrunęły nad głową Tuora, a wiatr wywołany łopotem ogromnych skrzydeł zaświstał mu w uszach. Łabędzie zatoczyły krąg, uniosły się i poszybowały na południe. Wtedy Tuor zakrzyknął:

– Oto nareszcie znak, na który tak długo czekałem! – Natychmiast też wspiął się na skały, skąd zdołał jeszcze dojrzeć klucz łabędzi, szybujący w dal. Kiedy jednak ruszył za nimi, ptaki zdążyły już odlecieć.



Przez siedem dni wędrował Tuor na południe i każdego ranka o świcie wyrywał go ze snu łopot łabędzich skrzydeł. W miarę zaś, jak wędrował, skały stawały się coraz niższe, a ich szczyty zaczynała pokrywać darń przetykana gęsto kwieciem. Na wschodzie dostrzegał lasy, zaczynające już o tej porze roku żółknąć. Przed sobą jednak miał stale zbliżające się pasmo wysokich wzgórz, które zagradzały mu drogę i ciągnęły się daleko na zachód. Od strony zachodu widać było potężną górę, ciemny wierch, którego skryty w chmurach szczyt wznosił się ponad wielkim zielonym przylądkiem, wysuniętym daleko w morze.

Owe szare wzgórza były w istocie zachodnią flanką Ered Wethrin, północnej granicy Beleriandu, szczyt zaś zwał się Taras; była to najdalej na zachód wysunięta strażnica tej krainy. Ona to pierwsza ukazywała się oczom żeglarza, oddalonego jeszcze o wiele mil od brzegu, wskazując drogę ku lądowi. To w jej cieniu osiadł niegdyś Turgon w swym pałacu w Vinyamarze, najstarszym z kamiennych miast wzniesionych przez Noldorów w kraju wygnania. Dwór ten stał nadal, opuszczony, lecz nie zniszczony, na wysokim tarasie spoglądającym w morze. Ząb czasu nie naruszył grubych murów, słudzy Morgotha także omijali je z daleka, lecz znać na nich było wpływy wiatru, deszczu i mrozu, zaś na zwieńczeniach ścian i całym dachu widać było bujną zieloną roślinność, która w ożywczym słonym powietrzu krzewiła się nawet w szparach gołego kamienia.



Wreszcie Tuor postawił stopę na zaginionym trakcie. Wędrował pośród zielonych pagórków i pochyłych kamieni, aż o zmierzchu dotarł do starego dworu o wielkich, przestronnych salach, w których szumiał wiatr. Nie czaił się tam żaden cień strachu czy zła, lecz Tuora ogarnęła groza i podziw na myśl o tych, którzy tu kiedyś mieszkali i odeszli, a nikt nie wie dokąd – o dumnym ludzie, nieśmiertelnym, lecz skazanym na zgubę, pochodzącym z daleka, zza Morza. Odwrócił się i spojrzał, tak jak i oni niegdyś, na błyszczące fale, sięgające aż po horyzont. Po chwili skierował wzrok w inną stronę i dostrzegł, że prowadzące go łabędzie przysiadły na najwyższym tarasie, przed zachodnią bramą pałacu i czekały tam, bijąc skrzydłami, jakby zapraszały go do środka. Wspiął się więc na szerokie stopnie, teraz ledwo widoczne pośród zielska i mchu, przeszedł pod potężnym sklepieniem i znalazł się w mrocznym domostwie Turgona, po chwili zaś wkroczył do sali, wspartej na smukłych kolumnach. Choć i z zewnątrz wydawała się wielka, dopiero w środku mógł Tuor docenić jej ogrom i wspaniałość. Oszołomiony, starał się zachowywać cicho, aby nie budzić uśpionych ech. Nic tam nie dostrzegł, z wyjątkiem stojącego we wschodnim krańcu siedziska na podwyższeniu, toteż stąpając ostrożnie ruszył w jego stronę, a odgłos kroków na kamiennej posadzce biegł przed nim, niczym zwiastun przeznaczenia, rozbrzmiewając pośród kolumn.

Stanąwszy w półmroku przed wielkim tronem Tuor ujrzał, że został on wyciosany z jednego kamienia, a jego boki pokrywały dziwne znaki. W tej właśnie chwili zapadające słońce zrównało się z wysokim oknem w zachodniej ścianie i jego promień padł na ścianę za tronem, która rozbły-



Opowieść ta wydaje się interesująca z kilku powodów. Po pierwsze, stanowi całość pod względem literackim. Nie ma tu wtrętów i komentarzy Christophera Tolkiena. Po drugie, dotyczy historii kluczowej dla dalszych dziejów Śródziemia – bowiem Tuor był przecież ojcem Eärendila, przodkiem Elronda i Elrosa, a także – po wielu wiekach – Aragorna.

Tekst urywa się nagle, pozostawiając bohatera tuż przed osiągnięciem upragnionego celu. Ciekawych dalszych losów Tuora odsyłamy do dwudziestego trzeciego rozdziału Silmarillionu, stanowiącego skrót zaplanowanej (i nigdy nie ukończonej) historii Tuora, Idril i ostatecznego upadku Ukrytego Królestwa.

W „Nowej Fantastyce” przedstawiamy obszerny fragment oryginalnego tekstu „O Tuorze i jego przybyciu do Gondolinu” (całość ukaże się w listopadzie nakładem wydawnictwa „Atlantis-Rubicon” w tomie „Niedokończone opowieści”). Nie chcąc naruszać ciągłości akcji, postanowiliśmy zastąpić pierwszą część opowieści skrótem, by potem, słowami samego J.R.R. Tolkiena, podjąć ją bez żadnych dalszych ingerencji aż do końca. (pb)

sła niczym wypolerowany metal. I Tuor ze zdumieniem odkrył, iż na ścianie wisi tarcza, ogromna kolczuga, hełm i długi miecz w pochwie. Kolczuga lśniła, jakby wykuta z czystego srebra, a słoneczny promień krzesał z niej złociste iskierki. Tarczą jednak wedle Tuora miała niezwykły kształt, była bowiem podłużna, zwężona ku końcowi, widniał też na niej herb: białe łabędzie skrzydło na błękitnym polu. Wtedy Tuor przemówił, a jego słowa zabrzmiały pod tym dachem niczym wyzwanie:

– Biorę oto dla siebie ten oręż, a wraz z nim los, jaki z sobą niesie.

A kiedy uniósł tarczę, odkrył, iż jest nadspodziewanie lekka i poręczna, sporządzono ją bowiem z drewna pokrytego przez elfich mistrzów metalem, cienkim, lecz odpornym na ciosy, robactwo i wilgoć.

I przywdział Tuor kolczugę, włożył na głowę hełm i przypasał miecz z czarnym pasem i pochwą, ozdobionymi jedynie srebrnymi klamrami. Tak uzbrojony opuścił dwór Turgona i stanął na tarasie, skąpany w krwawym blasku zachodzącego słońca. Niczyje oczy nie oglądały go w tej godzinie i nie wiedział, że z dala przypomina potężnych władców Zachodu, człeka godnego, by zostać ojcem królów ludzkiego plemienia zza Morza. Takie też było jego przeznaczenie. Kiedy jednak po raz pierwszy ujął znalezioną broń, wielka zmiana zaszła w sercu Tuora, syna Huora i jego duch urósł, by nigdy już nie sczeznąć. A gdy zstąpił po schodach, łabędzie oddały mu cześć, pochylając przed nim swe białe głowy, i każdy ofiarował mu pióro wyrwane z własnego skrzydła, składając je na kamieniu u jego stóp. On zaś podniósł pióra i umieścił je na hełmie. Na ten widok łabędzie uniosły się w powietrze, by odlecieć na zachód. I Tuor nigdy ich już nie ujrzał.



Nagle Tuor poczuł, że morski brzeg przyciąga go z nieodpartą siłą. Zszedł tedy po długich schodach na szeroką piaszczystą łachę u północnego zbocza Taras-ness. A kiedy szedł, ujrzał, jak znad fal ciemniejącego morza wyłania się czarna chmura i przesłania zachodzące słońce. W powietrzu rozległ się daleki pomruk nadciągającej burzy. Wreszcie Tuor stanął na brzegu, a słońce płonęło na horyzoncie mętnym, groźnym światłem. I wydało się mu, że w dali unosi się wielka fala, zmierzająca wprost do brzegu. Nie umknął jednak, lecz trwał bez ruchu, wiedziony ciekawością. Fala zaś zbliżała się coraz bardziej, a jej szczyt skrywał cień i mgła. Nagle, nie opodal brzegu, załamała się, docierając na piasek długimi płatami piany. Lecz w miejscu, gdzie opadła, widniał teraz ciemny kształt pośród narastającej burzy: wyniosła, majestatyczna sylwetka.

Tuor skłonił się przed nią, bowiem zdało mu się, iż ogląda potężnego króla. Przybysz miał na głowie koronę jakby ze srebra, spod której spływały długie włosy, białe niczym morska piana o zmroku. A kiedy odrzucił szary płaszcz, oczom zachwyconego Tuora ukazała się lśniąca szata, przylegająca do ciała niby łuska ogromnej ryby, zaś kaftan pod nią, barwy głębokiej zieleni, połyskiwał jak morskie fale, gdy jego właściciel wolno zbliżał się ku brzegowi. W ten to sposób Ten, Który Mieszka w Głębinie, przez Noldorów zwany Ulmem, Panem Wód, ukazał się u stóp Vinyamaru oczom Tuora, syna Huora z rodu Hadora.

Nie wstąpił na brzeg, lecz stojąc po kolana w wodzie przemówił do Tuora, a głębia jego głosu, dochodzącego jakby z samych podstaw świata, i płonący w oczach ogień przeraziły młodzieńca, który padł przed nim na piasek.

– Wstań, Tuorze, synu Huora! – rozkazał Ulmo. – Nie obawiaj się mego gniewu, choć już od dawna wzywałem cię, a tyś mnie nie słyszał. A kiedy wreszcie wyruszyłeś, długo zwlekałeś po drodze. Powinieneś był stanąć tu wiosną, teraz jednak zima przybywa już z krainy Nieprzyjaciela. Musisz nauczyć się pośpiechu, gdyż droga, jaką dla ciebie zgotowałem, nie będzie już taka łatwa. Wzgardzono bowiem mą radą i doliną Sirionu skrada się wielkie zło, zaś wrogowie stanęli już pomiędzy tobą a twym celem.

– Jakiż jest zatem mój cel, panie? – spytał Tuor.

– Ten sam, do którego zawsze tęskniło twe serce – odparł Ulmo. – Odnaleźć Turgona i spojrzeć na jego ukryty gród. Bowiem nosisz teraz strój mojego posłańca i broń, którą dawno temu przeznaczyłem dla ciebie. Na razie jednak musisz wymknąć się złu, skryty w cieniu. Owiń się tedy tym płaszczem i nigdy go nie zdejmuj, póki nie dotrzesz do krańca podróży.

Wtedy wydało się Tuorowi, iż Ulmo rozdarł swój szary płaszcz i rzucił mu jego połę. Kiedy jednak ów skrawek materii opadł obok na ziemię, Tuor stwierdził, iż jest to obszerne okrycie, w które mógł owinąć się od stóp do głów.

– Oto wędrować będziesz w moim cieniu – oznajmił Ulmo. – Lecz nie zwlekaj już dłużej, bowiem nie strzyma on długo blasku Anaru ani ogni Melkora. Czy podejmiesz się zadania, jakie ci przeznaczyłem?

– Tak, panie.

– A zatem przekażę twym ustom słowa, które masz zanieść Turgonowi. Wcześniej jednak muszę nauczyć cię wielu rzeczy. O niektórych z nich nie słyszeli jeszcze ani ludzie, ani nawet najpotężniejsi z Eldarów. – I Ulmo opowiedział Tuorowi o Valinorze i ciemnościach, jakie go spowiły, o Wygnaniu Noldorów i Proroctwie Mandosa, i o tym, jak Błogosławione Królestwo zostało na zawsze ukryte. – Zważ jednak – dodał – że w zbroi Losu (jak zwą go dzieci Ziemi) zawsze znajdzie się jakaś szczelina, a w ścianach Przeznaczenia – wyłom, i będzie tak aż do czasu pełnego stworzenia, które wy zwiecie Końcem. I póki żyję, nie umilknie cichy głos, nie zgaśnie promyk światła – nawet w miejscach, gdzie winna pono panować tylko ciemność. Tak zatem, w tych dniach mroku, przeciwstawiam się nawet woli mych braci, Władców Zachodu. Taka jest bowiem ma rola pośród nich, i przeznaczono mi ją jeszcze przed stworzeniem świata. Zło jednak jest silne, cień Nieprzyjaciela staje się coraz dłuższy, a moja moc słabnie. W Śródziemiu głos mój słychać już tylko jako cichy szept. Biegnące ku zachodowi



wody nikną, ich źródła spływają trucizną, i moja władza nie sięga już tych krain. Bowiem elfy i ludzie ogłuchli i oślepli na me znaki, zwiedzeni potęgą Melkora. Wkrótce spełni się wyrok Mandosa i wszystkie dzieła Noldorów legną w gruzach, zaś ich nadzieja rozsypie się w pył. Pozostała tylko jedna nadzieja, której się nie spodziewają i która nie od nich zależy. Spoczywa ona w tobie, tak bowiem zdecydowałem.

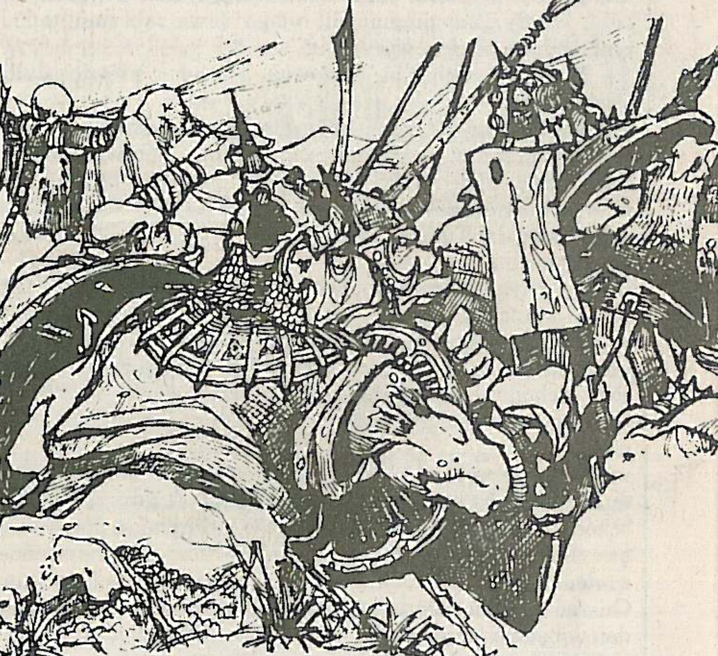
– Zatem Turgon nie stanie przeciw Morgothowi, jak tego pragną wszyscy Eldarowie? – spytał Tuor. – I czego oczekujesz ode mnie, o panie, jeśli udam się teraz do niego? Choć bowiem chętnie postąpię tak jak mój ojciec i stanę u boku króla, by go bronić w potrzebie, czymże jestem, samotny śmiertelnik, pośród tak wielu dzielnych wojowników z wysokiego rodu, którzy widzieli Zachód?

– Jeśli postanowiłem wysłać ciebie, Tuorze synu Huora, to nie sądź, że nie przyda im się jeszcze jeden miecz. Elfy długo pamiętać będą odwagę Edainów i nawet po wielu stuleciach nadal nie opuści ich zdumienie, że ci, których czas na ziemi jest tak krótki, równie chętnie oddają swe życie. Nie wybrałem cię jednak jedynie ze względu na twą odwagę. Zaniesiesz bowiem światu nadzieję, której nawet nie dostrzegasz, i blask, który rozproszy ciemność.

Kiedy Ulmo wyrzekł te słowa, szum wiatru wokół przeszedł w potężny ryk, zerwał się sztorm, a niebo zupełnie pociemniało, zaś płaszcz Pana Wód uniósł się na podobieństwo szarpanej wichurą chmury.

– Idź już! – polecił Ulmo. – Albo pochłonie cię morze! Bowiem Ossë jest posłuszny woli Mandosa i gniewa się, że sprzeciwiam się jego wyrokowi.

– Zrobię, jak każesz – odrzekł Tuor. – Jeśli jednak uniknę zguby, jakie słowa mam zanieść Turgonowi?





– Kiedy do niego dotrzesz, pojawią się one w twej głowie i usta twe powtórzą moją wiadomość. Przemów wtedy bez lęku! A kiedy to uczynisz, rób, co ci nakazuje serce i honor. Pilnuj dobrze płaszcza, on bowiem będzie ci ochroną. Ja zaś wyślę do ciebie kogoś, kto przybędzie tu dzięki furii Ossëgo, i tak zyskasz przewodnika. Będzie to ostatni marynarz ostatniego statku, który wyprawił się na poszukiwanie Zachodu przed wzejściem Gwiazdy. Teraz wracaj na ląd!

Nagle rozległ się grzmot i nad morzem zalśniła błyskawica. W jej blasku ujrzał Tuor Ulma niczym potężną, srebrną wieżę, zwieńczoną tańczącymi płomieniami, i zawołał, przekrzykując ryk wiatru:

– Idę, panie! Lecz me serce już tęskni za Morzem!

Wtedy Ulmo uniósł ogromny róg i zagrał na nim jedną jedyną nutę, przy której skowyt wichury zdawał się jedynie szmerem wieczornej bryzy. A Tuorowi, kiedy usłyszał ten dźwięk, który ogarniał całą jego istotę i przepełniał ją bez reszty, wydało się, jakby brzegi Śródziemia zniknęły, a przed oczami stanęły mu wszystkie wody świata: od wąskich górskich strumieni po ujścia potężnych rzek, od nabrzeżnych płycizn po głębie oceanu. Ujrzał Wielkie Morze, jego niespokojną powierzchnię, przedziwne morskie stwory i pozbawione światła głębiny, w których rozlegają się głosy straszliwe dla uszu śmiertelnika. Całą tę ogromną przestrzeń ogarnął nagle bystrym wzrokiem Valara; widział nieruchomą powierzchnię wód i odbijające się w niej oko Anaru, połyskujące w świetle rogatego księżyca zmarszczki, toczące się z dziką wściekłością góry fal, które załamują się na skałach Wysp Cienia. Zaś jeszcze dalej od Śródziemia, tam, gdzie wzrok ledwo sięga, dostrzegł górę, wznoszącą się ku niebu wyżej, niźli mógł to ogarnąć jego umysł. Jej szczyt skrywała lśniąca chmura, a u stóp błyszczała długa linia brzegowa. I kiedy wysilał słuch, by dosłyszeć szum owych odległych fal, i starał się dojrzeć wyraźniej dalekie światło, dźwięk rogu ucichł i Tuor znów znalazł się pośród burzy. Niebo ponad jego głową rozdarła rozwidlona błyskawica. Ulmo zniknął, a na morzu szalał sztorm, gdy gniew Ossëgo uderzał w mury Nevrastu.

Wtedy Tuor umknął przed furią wód i z wielkim trudem zdołał wspiąć się na wyższe tarasy. Wichura bowiem pchała go ku skalnej ścianie, a kiedy dotarł do szczytu, ostry powiew powalił go na kolana. Schronił się tedy w mrocznej i pustej sali i przesiedział całą noc na kamiennym tronie Turgona. Nawet kolumny wspierające sklepienie dygotały pod naporem burzy, a Tuorowi zdawało się, że w porywach wichru słyszy jęki i okrzyki bólu. Zdrzemnął się jednak nieco, nękany przez nocne koszmary, z których po przebudzeniu nic nie pamiętał – z wyjątkiem jednego. W tym śnie ujrzał wyspę, a na jej środku stromą górę. Za górą zachodziło słońce, a na nieboskłon wypełzały cienie, wszelako ponad szczytem jaskrawym blaskiem świeciła jedna, oślepiająca gwiazda.

Po tej wizji Tuor zapadł w głęboki sen, bowiem jeszcze przed świtem burza ustała, a wiatr przegnał czarne chmury nad wschodnią część świata. Gdy się zbudził, w sali panował szary półmrok. Tuor opuścił wyniosły tron i powędrował ku wyjściu, po drodze natykając się na stado morskich ptaków, które schroniły się tu przed sztormem. Wyszedł na dwór w chwili, gdy ostatnie gwiazdy blakły na zachodzie, zwiastując nadejście dnia. Tuor przekonał się, że wielkie nocne fale dotarły daleko w głąb lądu, pozostawiając swe piętno na szczytach klifów. Nawet tarasy były usłane wodorostami i zasypane drewnem, które zwykle unosiło się na wodzie. Spojrzawszy zaś na dół dostrzegł wysokiego elfa, odzianego w przemoczony szary płaszcz, wspartego o kamienną ścianę. Wokół walały się deski wraku. Obcy siedział w milczeniu, wpatrzony ponad zaśmieconą plażą w dal, w morze. Wokół panowała cisza, zakłócana jedynie gniewnym szumem fal. Gdy tak Tuor stał i spoglądał na milczącą szarą postać, przypomniały mu się słowa Ulma i nagle usłyszał, jak wypowiada obce imię:

– Witaj, Voronwë! Oczekiwałem cię.

Wtedy elf odwrócił się i uniósł wzrok, a Tuor napotkawszy przeszywające spojrzenie szarych jak morze oczu poznał, że oto stoi przed nim Noldor wysokiego rodu. Kiedy jednak przybysz ujrzał Tuora stojącego bez ruchu na skale, spowitego w płaszcz szary niczym cień, spod którego błyskała zbroja elfów, w jego oczach pojawił się lęk.

Trwali tak przez chwilę, przyglądając się sobie nawzajem, aż wreszcie elf wstał i nisko pokłonił się Tuorowi.

– Kim jesteś, panie? – spytał. – Długi czas spędziłem na bezlitosnym morzu. Powiedz, proszę, jak wielkie zmiany



Andrzej Grzechnik

zaszły w tym kraju od czasu, gdy po raz ostatni postawiłem stopę na lądzie? Czy Cień upadł? Może Ukryty Lud opuścił swą fortecę?

– Nie – odparł Tuor. – Cień jeszcze wzrósł w potęgę, a to, co ukryte, pozostało w ukryciu.

Voronwë spojrzał na niego i umilkł na długą chwilę.

– Lecz kimże ty jesteś? – spytał wreszcie – Mój lud opuścił ten kraj wiele lat temu i odtąd nikt tu już nie mieszkał. Teraz zaś poznaję, że mimo twego odzienia nie jesteś jednym z nas, jak sądziłem, lecz pochodzisz z plemienia ludzi.

– Owszem – potwierdził Tuor. – Ty natomiast, czy jesteś ostatnim marynarzem z ostatniego statku, który wypłynął z przystani Círdana na poszukiwanie Zachodu?

– Tak – odrzekł elf. – A miano me Voronwë syn Aronwëgo. Nie pojmuję jednak, skąd znasz me imię.

– Poznałem je, bowiem Pan Wód przemówił do mnie wczorajszego wieczoru i oznajmił, iż ocali cię przed gniewem Ossëgo po to, byś był mi przewodnikiem.

Na to Voronwë zakrzyknął w strachu i podziwie:

– Rozmawiałeś z Ulmem Potężnym? Zatem wielka musi być twa odwaga i wielki cel, do którego zdążasz! Gdzież jednak mam cię poprowadzić, panie? Jesteś wszak chyba królem wśród ludzi i wiele sług czeka na twe rozkazy.

– Przeciwnie, jestem zbiegłym niewolnikiem – odparł Tuor – i banitą w obcej krainie. Mam jednak wiadomość, którą muszę przekazać Turgonowi z Ukrytego Plemienia. Czy wiesz, która droga doń prowadzi?

– W tych czasach zła wielu staje się rabami i wygnańcami, choć zgoła inne jest ich urodzenie. Czuję, że pochodzisz z rodu władców plemienia śmiertelników. Gdybyś jednak był nawet najdostojniejszym spośród twego ludu, nadal nie dawałoby ci to prawa do poszukiwania Turgona i twa wyprawa spełzłaby na niczym. Nawet gdybym doprowadził cię do wrót jego królestwa, i tak nie mógłbyś ich przekroczyć.

– Nie proszę, abyś przeprowadził mnie przez bramę – odrzekł Tuor. – Tam Wyrok zmierzy się ze Słowem Ulma. I jeśli Turgon nie zechce mnie widzieć, moja misja zakończy się, a Przeznaczenie zwycięży. A co do moich praw: jestem Tuor syn Huora i krewniak Hùrina, które to imiona Turgon z pewnością pamięta. Przychodzę też z polecenia Ulma. Czyżby Turgon zapomniał o słowach, jakie niegdyś od niego usłyszał? „Pamiętaj, że ostatnia nadzieja Noldorów przyjdzie zza Morza"? Albo: „Kiedy niebezpieczeństwo przybliży się, z Nevrastu przyjdzie ktoś, aby cię ostrzec." Ja jestem tym, którego przyjście zapowiedziano, i przyodziałem się w strój, jaki na mnie czekał.

Tuor sam zdumiał się, słysząc swe słowa, bowiem nie znał dotąd przepowiedni, jaką wypowiedział Ulmo do Turgona przed odejściem elfów z Nevrastu. Nikt zresztą o niej nie słyszał, poza Ukrytym Plemieniem. Tym bardziej zdumiony był Voronwë. Odwrócił się ku Morzu, spojrzał w dal i westchnął:

– Niestety! Nie chciałem już nigdy tam wracać. I często przysięgałem sobie, że jeśli kiedykolwiek postawię jeszcze stopę na stałym lądzie, zamieszkam w spokoju z dala od Cienia na północy, w Przystani Círdana albo na zielonych polach Nan-tathren, gdzie wiosna jest słodsza niż można wymarzyć. Jeżeli jednak podczas mych wędrówek zło wzrosło w siłę i niebezpieczeństwo zagraża memu ludowi, muszę tam powrócić. – Spojrzał na Tuora. – Zaprowadzę cię do ukrytych bram, bowiem mądrość nie pozwala zlekceważyć rady Ulma.

– Zatem wyruszymy razem, jak nam poruczono – stwierdził Tuor – Nie rozpaczaj jednak, Voronwë! Serce me bowiem przeczuwa, że czeka cię długa droga, a twa nadzieja powróci do Morza.

– Jako i twoja – odrzekł Voronwë. – Teraz jednak musimy śpiesznie wyruszyć w drogę.

– Racja – zgodził się Tuor. – Ale dokąd mnie powiedziesz i jak daleko? Czy nie winniśmy się najpierw zastanowić, jak przeżyjemy w głuszy i, jeśli droga będzie długa, jak zdołamy przetrwać bezlitosną zimę?

Voronwë jednak nie chciał zdradzić żadnych szczegółów, dotyczących drogi.





– Znasz siłę ludzi – powiedział. – Co do mnie, należę do plemienia Noldorów, i długi musiałby być głód, sroga zima, nim zdołałyby powalić jednego z tych, którzy przebyli lody Helcaraxë. Jak sądzisz, co pozwalało nam przeżyć niezliczone dni pośród słonych morskich wód? Czyżbyś nie słyszał o sucharach elfów? Mam nadal przy sobie to, co każdy marynarz oszczędza na czarną godzinę. – I pokazał ukrytą pod płaszczem zapieczętowaną sakwę. – Woda i zimno nie mogą im zaszkodzić, póki ich nie otworzymy. Musimy jednak zachować tę sakwę do dnia największej potrzeby. Bez wątpienia zresztą wygnaniec i łowca potrafi znaleźć dość pożywienia, nawet w najgorszej porze roku.

– Być może – odparł Tuor. – Lecz nie wszędzie można polować bezpiecznie, nawet jeśli znajdziemy dość zwierzyny. A myśliwi wędrują powoli.



Tak tedy Tuor i Voronwë przygotowali się do odejścia. Tuor, poza zabranym z sali rynsztunkiem, wziął strzały, a włócznię, na której runami elfów z Północy wypisano jego imię, powiesił na ścianie na znak tego, co zaszło. Voronwë nie miał żadnej broni poza krótkim mieczem.

Nim słońce na dobre wspięło się na niebo, opuścili starożytną siedzibę Turgona i Voronwë poprowadził Tuora na zachód, po stromych zboczach Góry Taras, przez rozległy półwysep. Tam, gdzie kiedyś biegł trakt z Nevrastu do Brithombaru, pośród starych, porośniętych darnią grobli wiła się zielona ścieżka. I tak wędrowcy znaleźli się w Beleriandzie, w północnej części Falasu, stamtąd zaś, skręciwszy na zachód, dotarli do mrocznych podgórzy Ered Wethrin. Skryci pod ich osłoną zatrzymali się na popas, aż do zmierzchu. Bowiem choć wciąż jeszcze daleka droga dzieliła ich od starodawnych grodów Falathrimów, Brithombaru i Eglarestu, w których teraz osiedli orkowie, to jednak cała kraina roiła się od szpiegów Morgotha. Bał się on okrętów Círdana, które czasami najeżdżały wybrzeża, sprzymierzone z oddziałami, wyprawianymi z Nargothrondu.

Gdy tak owinięci w płaszcze, niczym cienie, przycupnęli pod wzgórzami, Tuor i Voronwë prowadzili długie rozmowy. Tuor wypytywał elfa o Turgona. Voronwë jednak niechętnie wspominał o tych sprawach i wolał opowiadać o siedzibach na wyspie Balar i o Lisgardh, krainie trzcin u ujścia Sirionu.

– Liczba osiadłych tam elfów stale rośnie – mówił – wciąż bowiem nowi umykają ze wszystkich rodów, lękając się Morgotha i znużeni wojną. Ja jednak nie z własnego wyboru porzuciłem mój lud. Gdyż po Bragollach i przerwaniu oblężenia Angbandu po raz pierwszy w sercu Turgona zagościł lęk, że Morgoth może okazać się zbyt silny. Tegoż roku wyprawił z sekretną misją kilku posłańców, pierwszych ze swego ludu, którzy z powrotem przekroczyli bramy. Ruszyli w dół Sirionu na wybrzeże wokół Ujścia i tam wybudowali statki. Nic jednak nie zdziałali poza tym, że dotarli na wielką Wyspę Balar i tam założyli samotną osadę, z dala od cienia Morgotha. Bowiem Noldorowie nie znają sztuki budowy statków, które zniosłyby długo fale Beleageru Wielkiego. Gdy jednak później Turgon usłyszał o splądrowaniu Falasu i zniszczeniu starożytnych Przystani Budowniczych Okrętów, które leżą teraz przed nami, i kiedy powiedziano mu, iż Círdan ocalił resztkę swego ludu i pożeglował na południe, do Zatoki Balar, postanowił wyprawić nowych posłańców. Zdarzyło się to niedawno, a przecież zdaje się najdłuższym okresem mego życia. Ja bowiem byłem jednym z tych, których wysłał, gdyż wiekiem młody jestem pośród Eldarów. Urodziłem się tu, w Śródziemiu, w krainie Nevrastu. Matka moja wywodzi się ze szczepu Szarych Elfów z Falas, pokrewnych samemu Círdanowi – w początkach królestwa Turgona w Nevraście wymieszało się wiele ludów – i po niej odziedziczyłem tęsknotę za morzem. Toteż znalazłem się wśród wybranych. Nasza misja miała nas doprowadzić do Círdana; chcieliśmy prosić go o pomoc w budowie statków, by nasze posłanie i błaganie o pomoc mogło dotrzeć do Władców Zachodu, gdyż inaczej wszystko byłoby stracone. Ja jednak zwlekałem po drodze. Niewiele widziałem krain Śródziemia, a przybyliśmy do Nan-tathren w rozkwicie wiosny. Dziwny czar rzuca na wędrowca ten piękny kraj, Tuorze. Sam to odkryjesz, jeśli twe stopy staną kiedyś na południowych szlakach, wiodących wzdłuż Sirionu. Tam każdy uleczy się z tęsknoty za morzem, poza tymi jedynie, których dosięgła już Klątwa. Tam Ulmo jest tylko sługą Yavanny, a ziemia wydaje z siebie bogactwo piękna, które przerasta wyobrażenia tych, co żyją pośród skalnych wzgórz północy. W tym kraju Narog łączy się z Sirionem, i ich wody, nie spiesząc już dalej, rozlewają się szeroko i spokojnie wśród łąk. Wokół lśniącej rzeki rośnie tatarak niczym kwitnący las, a trawa jest pełna kwiatów, które są jak klejnoty, jak dzwonki, jak złote i czerwone płomyki, jak miriady wielobarwnych gwiazd na zielonym firmamencie. Lecz najpiękniejsze są wierzby z Nan-tathren, bladozielone lub srebrzyste w powiewach wiatru. Szelest ich niezliczonych liści to cudowna muzyka. Dni i noce mijały niepostrzeżenie, podczas gdy ja stałem po kolana w trawie, zasłuchany i oczarowany, i zapomniałem, co to zew Morza. Wędrowałem, nadając nazwy nowym kwiatom, przechadzałem się w półśnie pośród śpiewu ptaków i bzyczenia pszczół i much. Nadal zapewne żyłbym tam w rozkoszy, porzuciwszy mój lud, nie dbając jednako o statki Telerich i miecze Noldorów, lecz mój los zdecydował inaczej. A może był to nawet sam Pan Wód, bowiem jego moc potężna jest w tej krainie.

Tedy postało mi w głowie, by sporządzić tratwę z wierzbowych gałęzi i popływać po jasnym łonie Sirionu. Tak też uczyniłem, i w ten sposób zostałem porwany. Pewnego dnia, gdy byłem na środku rzeki, zerwał się nagły wiatr i uniósł mnie ze sobą poza Krainę Wierzb, ku Morzu. Tym sposobem jako ostatni z posłańców przybyłem do Círdana. Z siedmiu okrętów, które zbudował na prośbę Turgona, tylko ostatni nie był jeszcze ukończony. Jeden po drugim pożeglowały na Zachód i jak dotąd żaden nie wrócił, nie było też o nich żadnych wieści.

Słone morskie powietrze na nowo przebudziło we mnie ducha plemienia matki. Z radością oglądałem morskie fale, ucząc się sztuki żeglarskiej tak łatwo, jakbym znał ją już wcześniej. Kiedy więc przygotowano ostatni, największy okręt, z zapałem wyruszyłem w drogę, powtarzając sobie w myślach: „Jeśli słowa Noldorów są prawdą, na Zachodzie kwitną łąki, z którymi Kraina Wierzb nie może się równać. Nic tam nie więdnie, a wiosna nie ma końca. Może nawet ja, Voronwë, zdołam tam dotrzeć. W najgorszym zaś razie wędrówka po wodach lepsza jest niźli Cień z Północy." Nie lękałem się też wcale, bowiem żadna fala nie zatopi okrętu Telerich.

Ale Wiekie Morze straszne jest, Tuorze synu Huora, i nienawidzi Noldorów, będąc narzędziem Klątwy Valarów. Kryję też w sobie gorsze rzeczy niźli śmierć w odmętach: nienawiść, samotność i obłęd; grozę wiatru i sztormu, ciszę i cienie, które odbierają wszelką nadzieję i chęć życia. Obmywa wiele wybrzeży, pełnych dziwów i zła, wiele też groźnych, straszliwych wysp wyłania się z otchłani. Nie będę nużył twego serca, synu Śródziemia, opowieścią o trudach siedmiu lat na Wielkim Morzu. Przemierzyliśmy je od Północy aż na Południe, lecz nigdy nie dotarliśmy na Zachód. Ta droga jest bowiem dla nas zamknięta.

Wreszcie, w czarnej rozpaczy, znużeni światem, zawróciliśmy i umknęliśmy przed losem, który długo nas oszczędzał po to tylko, by w końcu uderzyć tym okrutniej. Gdyż w chwili, gdy z dala ujrzeliśmy górę, ja zaś wykrzyknąłem: „Patrzcie! Oto Taras i moja ojczysta kraina!", ocknął się wiatr, a z Zachodu napłynęły ciemne chmury, ciężarne grzmotem. Fale atakowały nas niczym żywe, złośliwe istoty, a pioruny waliły wokół. Gdy zaś pozostał jedynie bezbronny, goły kadłub, morze runęło nań wściekle. Jak jednak widzisz, ocalałem; ponieważ zdało mi się, że spośród fal nadeszła jedna, większa, a przecie spokojniejsza niż inne. Zalała mnie ona i porwała ze statku, unosząc wysoko na swym grzbiecie, a uderzywszy o brzeg, rzuciła mnie na darń i odbiegła, przelewając się przez urwisko niczym potężny wodospad. Siedziałem tam ledwie godzinę, kiedy mnie znalazłeś, wciąż jeszcze oszołomionego burzą. Nadal czuję tamten lęk i gorzki żal, towarzyszący utracie wszystkich przyjaciół, z którymi wędrowałem tak długo i daleko, poza ziemie śmiertelnych.



Voronwë westchnął, po czym dodał cicho, jakby do siebie:

– Lecz jakże pięknie błyszczały gwiazdy nad granicą świata, gdy czasami rozwiewały się kryjące Zachód chmury! Czy jednak widzieliśmy wtedy tylko obłoki w oddali, czy też rzeczywiście dojrzeliśmy przez moment, jak sądzili niektórzy, Góry Pelori, otaczające utracone ziemie, gdzie niegdyś był nasz dom, nie umiem powiedzieć. Hen, daleko stoją Góry Obronne, i mniemam, iż nikt ze śmiertelnych krain już tam nie powróci. – Po tych słowach Voronwë umilkł; bowiem nadeszła noc i na niebie zabłysły zimne, białe gwiazdy.



Wkrótce potem Tuor i Voronwë powstali i odwróciwszy się plecami do morza rozpoczęli swą długą wędrówkę w mroku. Niewiele da się o niej powiedzieć, bowiem cień Ulma skrywał Tuora i nikt nie dostrzegł ich przejścia, wśród lasów i skał, pól i bagien, pomiędzy zachodami i wschodami słońca. Szli jednak ostrożnie, wystrzegając się nocnych łowców Morgotha i omijając ubite trakty, uczęszczane przez ludzi i elfy. Voronwë prowadził, a Tuor podążał za nim. Nie zadawał żadnych próżnych pytań, lecz wkrótce dostrzegł, że zmierzają stale na wschód, wzdłuż coraz wyższych łańcuchów górskich. Nie skręcili też na południe, co zdumiało Tuora, który podobnie jak wszystkie elfy i ludzie sądził, że Turgon osiadł z dala od pól bitewnych Północy.

Posuwali się wolno, o zmierzchu lub nocą, przemierzając dzikie bezdroża. Z królestwa Morgotha wyszła im na spotkanie surowa zima. Mimo osłony wzgórz wiatry były silne i mroźne, i wkrótce głęboki śnieg zasypał pagórki, a jego płatki wirowały w wąwozach i osiadały na drzewach lasu Nuath, zanim jeszcze zdążyły opaść zwiędłe liście. Tak więc, choć wyruszyli, nim minęła połowa Narquelië, ostre mrozy Hísimë zastały ich w pobliżu Źródeł Narogu.

Tam też, w szarym brzasku dnia, zatrzymali się na popas po ciężkiej nocy i Voronwë z rozpaczą i lękiem rozejrzał się wokół. Tam, gdzie kiedyś lśniły czyste wody Ivrin w wielkim kamiennym stawie, wyrzeźbionym przez spadające wody, gdzie kiedyś rozciągała się porośnięta drzewami dolina u podnóża wzgórz, ujrzał teraz krainę zniszczoną i splugawioną. Drzewa zostały spalone bądź wyrwane z korzeniami, kamienne brzegi stawu strzaskano tak, że wody Ivrin rozlały się szeroko i utworzyły wśród ruin wielkie, jałowe bagno. Pozostało jedynie zamarznięte błoto, a nad ziemią unosił się smród rozkładu.

– Niestety! Czyżby i tu zawitało zło? – zawołał Voronwë. – Dawniej Angband nie zagrażał temu miejscu, lecz ręka Morgotha sięga coraz dalej.

– Jest tak, jak powiedział mi Ulmo – odparł Tuor. – „Źródła spływają trucizną i moja władza nie sięga już tych krain."

– A przecież zło, które nawiedziło to miejsce, gorsze jest od orków – stwierdził Voronwë. – Tu czai się strach. – Zaczął badać granice błota, aż wreszcie wyprostował się i krzyknął: – Tak, wielkie zło! – Skinął na Tuora i ten ujrzał przypominający głęboką bruzdę ślad prowadzący na południe. Po obu stronach, czasem rozmazane, czasem zastygłe jak kamień w zmarzłej ziemi, widniały odciski ogromnych szponiastych łap.

– Spójrz! – rzekł Voronwë, blednąc z lęku i odrazy. – Jeszcze niedawno był tu Wielki Gad Angbandu, najokrutniejszy stwór Nieprzyjaciela! Zbyt późno wyruszyliśmy z naszą misją do Turgona. Musimy się spieszyć.



Gdy tylko to powiedział, w lesie rozległ się głośny okrzyk i wędrowcy zastygli niczym szare głazy, nasłuchując. Głos jednak brzmiał pięknie, choć przepełniał go żal, i zdawało się, że powtarza czyjeś imię, jakby w poszukiwaniu zbłąkanego towarzysza. I kiedy tak stali, spośród drzew wynurzył się wysoki, odziany w czerń człowiek, dzierżący w dłoni nagi miecz. Na ten widok zdumieli się, bowiem ostrze miecza także było czarne, i tylko jego krawędzie lśniły chłodnym blaskiem. Rozpacz wykrzywiała oblicze nieznajomego, a kiedy zoczył ruiny Ivrinu, zawołał z bólem:

– Ivrin, Faelivrin! Gwindorze, Belegu! Tu niegdyś zostałem uleczony. Teraz jednak nigdy już nie zakosztuję wód spokoju.

Z tymi słowy ruszył chyżo na północ, jakby kogoś ścigał albo miał do spełnienia pilną misję. Usłyszeli jeszcze, jak wołał: „Faelivrin! Finduilas!", póki jego głos nie zamarł w lesie. Nie wiedzieli jednak, że Nargothrond padł, i że tym nieznajomym był Turin, syn Hurina, zwany Czarnym Mieczem. Tak to jedyny raz skrzyżowały się ścieżki krewniaków, Turina i Tuora.

Kiedy Czarny Miecz minął ich, Tuor i Voronwë też ruszyli naprzód, choć nastał już dzień; bowiem wspomnienie jego bólu rzuciło na nich cień i nie mogli znieść sąsiedztwa splugawionego Ivrinu. Wkrótce jednak znaleźli sobie kryjówkę, gdyż kraj wokół nich wypełniało przeczucie nieszczęścia. Spali krótko i niespokojnie, a kiedy dzień chylił się ku zachodowi, nadeszła ciemność i spadł wielki śnieg, wraz z nocą zaś zjawił się trzaskający mróz. Odtąd śnieg i lód nie tajały ani przez chwilę i przez pięć miesięcy Sroga Zima, której pamięć przetrwać miała jeszcze długo, trzymała Północ w swych okowach. Mróz nękał Tuora i Voronwëgo, lękali się też, że śnieg zdradzi ich ślady łowcom nieprzyjaciół albo skryje zdradziecko nieznane niebezpieczeństwa. Wędrowali tak dziewięć dni, coraz wolniej i z większym trudem, a Voronwë zboczył nieco na północ, póki nie przekroczyli trzech strumieni – źródeł Teiglinu. Potem znów skręcili ku wschodowi, pozostawiając za sobą góry i przecinając Glithui, aż wreszcie dotarli do strumienia Malduiny, zamarzniętego i czarnego.

Wtedy Tuor przemówił do Voronwëgo:

– Tobie może srogi mróz nie przeszkadza, ja jednak już wkrótce rozstanę się z życiem.

Położenie ich bowiem nie wróżyło nic dobrego: od wielu dni nie znaleźli w głuszy nic do jedzenia, a zapasy chleba podróżnego skurczyły się znacznie; poza tym byli przemarznięci i znużeni.

– Niedobrze jest znaleźć się między Klątwą Valarów a złością Nieprzyjaciela – zauważył Voronwë. – Czyżbym umknął z paszczy morza po to tylko, by spocząć pod śniegiem?

Tuor jednak rzekł:

– Jak daleko mamy jeszcze iść? Musisz wreszcie ujawnić przede mną swój sekret. Czy prowadzisz mnie prostą drogą? Jeśli bowiem mam zużyć ostatnie siły, chciałbym mieć pewność, że nie pójdą na marne.

– Poprowadziłem cię tak prosto, jak na to zezwala bezpieczeństwo – odparł Voronwë. – Wiedz tedy, iż Turgon nadal mieszka na północnych rubieżach krainy Eldarów, choć niewielu w to wierzy. Cały czas zbliżamy się do niego, lecz droga przed nami jeszcze daleka, nawet lotem ptaka. Czeka nas przeprawa przez Sirion, gdzie być może czyha wielkie zło. Wkrótce bowiem dotrzemy do gościńca, który w dawnych dniach prowadził z Wieży króla Finroda aż do Nargothrondu. Szlak ten obserwują słudzy Nieprzyjaciela i często nim wędrują.

– Uważałem się za najtwardszego z ludzi – stwierdził Tuor – i przeżyłem wiele ciężkich zim w górach. Wtedy jednak miałem jaskinię i ogień. Wątpię, czy na długo starczy mi sił na tym okrutnym mrozie, gdy brak jedzenia. Ruszajmy jednak dalej.

– Nie mamy innego wyboru – odrzekł elf – chyba że położymy się tu i zaśniemy w śniegu.



Przez cały dzień parli naprzód, uznając, że groźba ze strony wrogów mniejsza jest niż niebezpieczeństwa zimy. W miarę wędrówki jednak napotykali coraz mniej śniegu, gdyż zdążali teraz na południe, do Doliny Sirionu, pozostawiając za sobą góry Dor-lominu. W zapadającym zmierzchu dotarli wreszcie do gościńca, leżącego u stóp wysokiego, porośniętego drzewami wału. Nagle usłyszeli jakieś głosy i zerkając czujnie zza drzew ujrzeli w dole czerwone światło. To banda orków, przycupnięta wokół wielkiego ogniska, rozbiła obóz pośrodku drogi.

– *Gurth an Glamhoth!* – mruknął Tuor. – Czas, by spod płaszcza dobyć miecza. Zaryzykuję życie, byle zdobyć to ognisko, i nawet mięso orków będzie mi prawdziwą ucztą.

– Nie! – odparł Voronwë. – W tej misji posłuży nam tylko płaszcz. Musisz zrezygnować – albo z ognia, albo z wizyty u Turgona. Ta banda nie jest w głuszy sama. Czyż twoje śmiertelne oczy nie dostrzegają w oddali ogni następnych posterunków, na północy i południu? Zaraz mielibyśmy ich na karku. Zważ moje słowa, Tuorze! Prawo Ukrytego Królestwa zabrania, by ktoś, komu pościg depcze po piętach, choćby zbliżył się do jego bram. Tego prawa nie złamię ani na rozkaz Ulma, ani nawet w obliczu śmierci. Jeśli zaalarmujesz orków – odejdę.

– Zatem zostawię ich w spokoju – stwierdził Tuor. – Ale obym dożył dnia, gdy nie będę musiał kryć się przed garścią orków niczym tchórzliwy pies.

– Chodź zatem! – rzucił Voronwë. – Nie zastanawiaj się dłużej, bo nas zwęszą. Idź za mną!

Przekradli się między drzewami na północ, idąc z wiatrem, aż znaleźli się w połowie drogi między dwoma ogniskami. Tam zatrzymali się, nasłuchując.

– Nie słyszę, aby ktoś poruszał się na drodze – oznajmił elf. – Nie wiemy jednak, co czai się w cieniach. – Rozejrzał się dokoła i zadrżał. – W powietrzu czuć zło. Tam leży kraina, do której wiedzie nas nadzieja życia, lecz po drodze czyha śmierć.

– Śmierć nas otacza – odrzekł Tuor. – Lecz sił pozostało mi jedynie na najkrótszą z dróg. Tu muszę przekroczyć gościniec albo zginąć. Zaufam mocy okrycia Ulma i ciebie też pod nim schowam. Teraz ja poprowadzę!

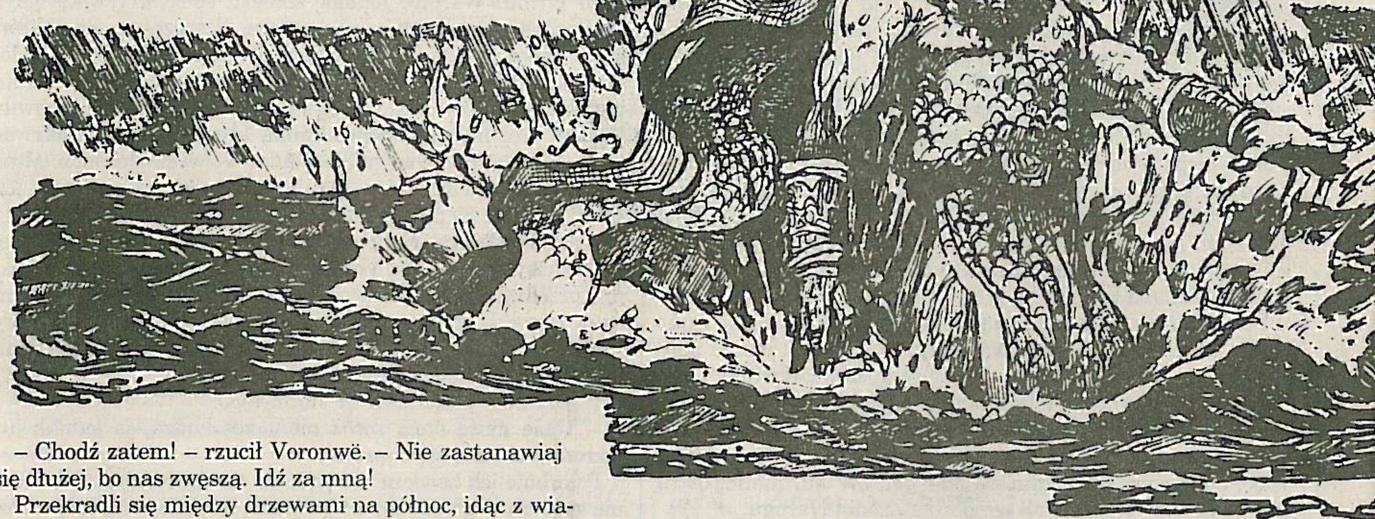
To mówiąc, podkradł się do brzegu drogi. Następnie przyciągnął do siebie Voronwëgo, rozpostarł nad nim fałdy szarego płaszcza Pana Wód i ruszył naprzód.

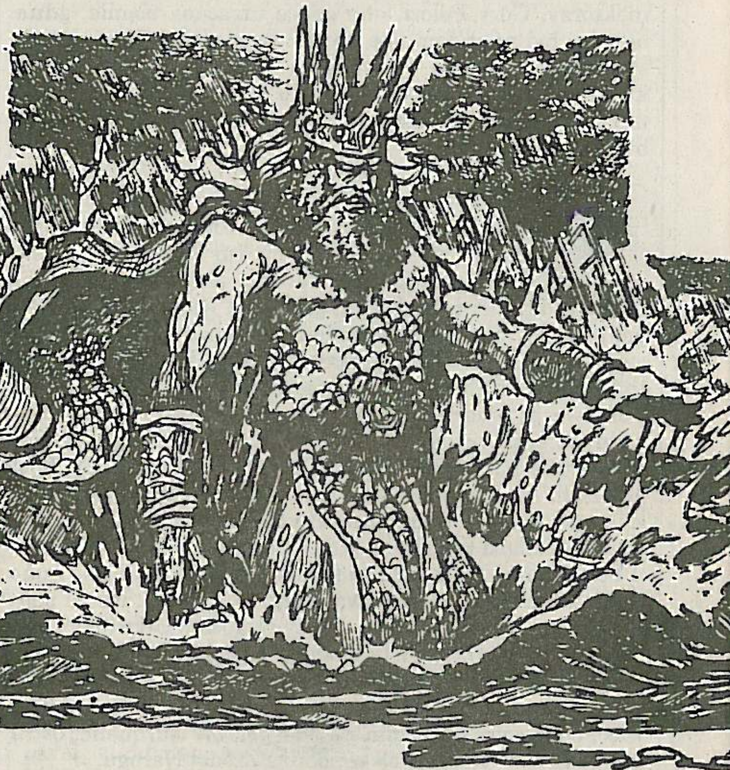
Wokół panowała cisza. Zimny wiatr westchnął, przemykając pradawną drogą, po czym i on umilkł. Tuor wyczuł nagłą zmianę w powietrzu, jakby dech krainy Morgotha na chwilę zamarł. Ich twarze musnął, zwiewny niczym wspomnienie Morza, lekki powiew z Zachodu. Jak gnany wiatrem strzęp szarej mgły przecięli kamienną drogę i zapadli w zarośla po wschodniej stronie.

Nagle w pobliżu rozległ się dziki okrzyk, któremu odpowiedziały liczne głosy wzdłuż drogi. Zagrzmiał chrapliwy ryk rogu i tupot biegnących stóp. Tuor jednak nie cofnął się. W niewoli na tyle poznał mowę orków, by móc zrozumieć znaczenie tych krzyków: wartownicy zwietrzyli ich i usłyszeli, lecz nie mogli ich dostrzec. Rozpoczęły się łowy. Tuor, potykając się, desperacko parł naprzód, z Voronwëm u boku, po długim zboczu porośniętym gęstymi krzakami jagód i kolcolistu, pośród kęp jarzębiny i niskich brzóz. Na szczycie parowu przystanęli, nasłuchując dobiegających z dołu wrzasków i orkowej szamotaniny.

Obok nich, z plątaniny wrzośca i jeżyn, sterczał głaz, a pod nim widniała nora z rodzaju tych, w jakich mogłoby ukryć się ścigane zwierzę w nadziei, że umknie nagonce lub przynajmniej drogo sprzeda swe życie. Tam właśnie, w głęboki cień, Tuor wciągnął Voronwëgo. Okryci szarym płaszczem leżeli obok siebie, dysząc jak zmęczone lisy. Nie odezwali się ani słowem, uważnie nadstawiając ucha.

Okrzyki łowców powoli cichły, bowiem orkowie nigdy nie zapuszczają się daleko w głuszę, poprzestając na przeczesywaniu drogi. Niewiele dbali o zbłąkanych wygnańców – to szpiegów się lękali i zbrojnych zwiadowców nieprzyjaciół. Bowiem Morgoth ustanowił straże na trakcie nie po to, by pochwycić Tuora i Voronwëgo (o których jak na razie nic nie wiedział), czy innych przybyszów z Zachodu, lecz by wypatrywały Czarnego Miecza, aby nie mógł ścigać uprowadzonych z Nargothrondu jeńców i sprowadzić pomocy z Doriath.





Minęła noc i na pustkowiach znów zaległa cisza. Znużony Tuor zasnął, okryty płaszczem Ulma, lecz Voronwë przekradł się naprzód i stanął bez ruchu, milczący jak głaz, przeszywając mrok bystrym wzrokiem elfa. O świcie zbudził Tuora, który wyjrzawszy na dwór stwierdził, iż pogoda poprawiła się, a czarne chmury odpłynęły w dal. W czerwonym blasku jutrzenki ujrzał daleko przed sobą szczyty niezwykłych gór, połyskujące na tle wschodnich zórz.

Voronwë powiedział cicho:

– *Alae! Ered en Echoriath, ered e mbar nín!* – Wiedział bowiem, że spoglądają na Góry Okrężne, tworzące mury królestwa Turgona. Poniżej na wschodzie, w głębokiej cienistej dolinie lśniły jasne wody Sirionu, sławione w pieśniach. A za nimi, aż po strzaskane wzgórza u stóp gór, rozciągała się spowita w mgły szara kraina.

– Przed nami leży Dimbar – rzekł Voronwë. – Obyśmy już do niego dotarli! Nasi wrogowie rzadko ważą się tam wkraczać. Tak przynajmniej było, póki w wodach Sirionu



kryła się jeszcze moc Ulma. Teraz jednak wszystko mogło ulec zmianie – poza niebezpieczeństwami przeprawy. Rzeka jest głęboka i bystra, nawet Eldarom trudno ją przekroczyć. Ja jednak dobrze cię poprowadziłem: oto widać przed nami Bród Brithiach w miejscu, gdzie Wschodni Gościniec, w dawnych czasach biorący początek u stóp Góry Taras na zachodzie, przekracza rzekę. Dziś nikt nie śmie korzystać z tego brodu – człowiek, elf ani ork, chyba w palącej potrzebie, jako że droga ta prowadzi do Durgothrebu i krainy zgrozy pomiędzy Gorgoroth a Obręczą Meliany. Dawno już wchłonęła ją głusza, pozostawiając jedynie wąską ścieżkę pośród krzaków i cierni.

Wtedy Tuor podążył wzrokiem za wskazaniem Voronwëgo i hen, w dali ujrzał migotanie wody, połyskującej w ulotnym blasku świtu; dalej jednak czyhała ciemność, tam bowiem zaczynała się wielka puszcza Brethilu, sięgająca daleko na południe, ku odległym wyżynom. Ostrożnie ruszyli dalej, schodząc po zboczu doliny, póki wreszcie nie dotarli do starożytnej drogi, opadającej w dół od rozstajów na granicy Brethilu, gdzie krzyżowała się z traktem z Nargothrondu. I Tuor spostrzegł, że znaleźli się w pobliżu Sirionu. W tym miejscu brzegi jego głębokiego wąwozu opadały nagle, a nurt, zdławiony dotąd wielką liczbą kamieni, rozlewał się, tworząc szerokie płycizny, pełne szmerów wzburzonych strumieni. Nieco dalej strumienie owe łączyły się ponownie, wyżłobiwszy nowe koryto, i umykały ku łasowi, znikając w dali w gęstej mgle, której nie mógł przebić wzrok Tuora. Tam bowiem, o czym nie wiedział, leżała północna marchia Doriath, skryta w cieniu Obręczy Meliany.

Tuor chciał natychmiast pospieszyć do brodu, lecz Voronwë zatrzymał go, mówiąc:

– Przez Brithiach nie możemy przeprawić się w świetle dnia, musimy też upewnić się, że nikt nas nie ściga.

– A zatem będziemy tu siedzieć i gnić bezczynnie? – spytał Tuor. – Możliwość pościgu istnieje zawsze, dopóki trwa królestwo Morgotha. Chodź! Ruszajmy naprzód w cieniu Ulmowego płaszcza.

Jednak Voronwë wciąż wahał się i oglądał na zachód, lecz szlak za nimi był pusty i wokół panowała cisza, zakłócana jedynie szumem rzeki. Uniósł wzrok ku pustemu szaremu niebu, po którym nie krążył żaden ptak. Nagle jego oblicze zajaśniało radością i wykrzyknął głośno:

– Wszystko w porządku! Brithiach jest nadal strzeżony przez wrogów Nieprzyjaciela. Orkowie nie podążą tu za nami i w cieniu płaszcza możemy bez strachu wędrować dalej.

– Cóż tam ujrzałeś? – chciał wiedzieć Tuor.

– Krótki jest wzrok śmiertelnika! – rzekł Voronwë. – Widzę orły Crissaegrimu; zmierzają tutaj. Patrz!

Tuor stanął bez ruchu, wpatrzony w dal. Wkrótce wysoko w powietrzu dostrzegł trzy ptaki szybujące na mocnych skrzydłach z odległych szczytów gór, teraz ponownie skrytych w chmurach. Powoli zniżały się, zataczając kręgi, aż wreszcie zawisły nad wędrowcami. Nim jednak Voronwë zdążył zawołać do nich, orły zawróciły gwałtownie i pofrunęły na północ, wzdłuż rzeki.

– Chodźmy – powiedział Voronwë. – Jeśli w pobliżu jest jakiś ork, padł teraz pewnie twarzą w piach i czeka, póki orły nie odlecą daleko.

Pospieszyli chyżo w dół łagodnego zbocza, po czym przeprawili się przez Brithiach, czasem stąpając suchą nogą po łachach grubego żwiru, a czasem brodząc w wodzie, sięgającej najwyżej kolan. Woda była czysta i bardzo zimna, a płytkie kałuże w miejscach, gdzie kręte strumyki zabłąkały się między kamienie, pokrywał lód. Nigdy, nawet podczas Srogiej Zimy upadku Nargothrondu, mroźny oddech Północy nie skuł lodem głównegu nurtu Sirionu.

Po drugiej stronie brodu natknęli się na głęboki jar, przypominający stare koryto strumienia. Teraz nie płynęła



nim woda, lecz zdawało się, iż kiedyś ten głęboki kanał został wyryty w skale przez rwący prąd, spływający z gór Echoriathu i niosący z sobą kamienie Brithiachu aż do Sirionu.

– Nareszcie! Znaleźliśmy je, choć niewielką miałem nadzieję! – wykrzyknął Voronwë. – Spójrz! Oto ujście Suchej Rzeki i droga, którą musimy pójść.

Zagłębili się w jar. Kiedy szlak skręcił na północ, otaczająca go kraina stała się bardziej górzysta, a ściany parowu wznosiły się coraz stromiej. Tuor potknął się w półmroku o jeden z kamieni, zaściełających nierówne koryto.

– Nie jest to dobra droga dla znużonych wędrowców – stwierdził.

– A jednak to szlak do Turgona – rzekł elf.

– Tym bardziej więc mnie zdumiewa, że wejście stoi otworem, niestrzeżone. Spodziewałem się zastać potężną bramę i liczne straże.

– Ujrzysz je jeszcze – odparł Voronwë. – To jedynie początek drogi. Od trzystu lat nie stanęła na niej niczyja stopa, poza nielicznymi tajnymi posłańcami. Odkąd zaś wkroczył na nią Ukryty Lud, użyto wszelkich sztuk, znanych Noldorom, aby ją ukryć. Czyż stoi otworem? Czy rozpoznałbyś ją, gdybyś nie miał mieszkańca Ukrytego Królestwa za przewodnika? Pewnie wziąłbyś ją za dzieło natury i wód w tej głuszy. I czyż nie ma tu orłów? To plemię Thorondora, niegdyś zamieszkujące nawet Thangorodrim, póki Morgoth nie wzrósł w siłę. Teraz, od czasu upadku Fingolfina orły zamieszkały w Górach Turgona. Prócz Noldorów jedynie one znają Ukryte Królestwo i strzegą nieba nad nim, choć nigdy dotąd żaden sługa Nieprzyjaciela nie ośmielił się wzlecieć w te przestworza. Znoszą też królowi wieści o wszystkim, co się dzieje w zewnętrznych krainach.

Andrzej Grzechnik



Gdybyśmy byli orkami, to wierz mi, że zostalibyśmy pochwyceni i nasze ciała runęłyby z wielkiej wysokości na bezlitosne skały.

– Nie wątpię w to – rzekł Tuor. – Lecz przyszło mi na myśl, że w takim razie wieść o naszym przybyciu dotrze do Turgona jeszcze przed nami. Czy zaś będzie to zła, czy dobra nowina, tylko ty możesz wiedzieć.

– Ani dobra, ani zła. I tak nie zdołalibyśmy niepostrzeżenie przekroczyć Strzeżonej Bramy, a kiedy tam dotrzemy, Strażnicy sami stwierdzą, że nie jesteśmy orkami. To jednak nie wystarczy, aby przez nią przejść. Nie znasz jeszcze, Tuorze, niebezpieczeństwa, które nam zagrozi. A że cię ostrzegłem, nie wiń mnie za to, co może nas spotkać. Oby istotnie przemówiła moc Pana Wód! Gdyż tylko w tej nadziei zgodziłem się ciebie prowadzić. Jeśli ona zawiedzie, śmierć nadejdzie łacniej niż w głuszy i na mrozie.

Tuor jednak odrzekł:

– Nie kracz już więcej. Śmierć w głuszy jest pewna, zaś nie wierzę, byśmy mieli umrzeć przy Bramie.
Prowadź mnie dalej!



Wiele mil wędrowali po kamieniach Suchej Rzeki, aż wreszcie nie mogli już iść dalej, a wieczór pogrążył w mroku wyschłe koryto. Wspięli się wtedy na wschodni brzeg i stanęli u stóp gór. Uniósłszy wzrok, ujrzał Tuor, iż różnią się one od wszystkich gór, jakie widywał dotąd. Ich zbocza były niczym gładkie ściany, spiętrzone jedna na drugiej, a każda dalej niż poprzednia, jak wieże o wielu piętrach. Zapadał jednak zmrok i otaczająca ich kraina stawała się szara i mglista, zaś Dolinę Sirionu spowijał cień. Voronwë zaprowadził tedy Tuora do płytkiej jaskini w zboczu wzgórza, spoglądającej na samotne skały Dimbaru. Wpełzli tam i znaleźli ukrycie. Zjedli też ostatnie okruchy sucharów, a choć zmarznięci i zmęczeni, nie spali jednak. Tak Tuor i Voronwë doczekali świtu osiemnastego dnia Hísimë, trzydziestego i siódmego dnia ich wędrówki, i ujrzeli wieżyce Echoriath, broniące wstępu do dziedziny Turgona, dzięki mocy Ulma umknąwszy zarówno Losowi, jak i Złu.

Gdy pierwszy brzask dnia przeniknął przez szare opary Dimbaru, z powrotem zsunęli się na dno Suchej Rzeki, która wkrótce skręciła na wschód, aż pod same górskie ściany. Nagle na drodze wyrosła ogromna góra o stromych zboczach, porośniętych splątanym gąszczem ciernistych drzew. W ten właśnie gąszcz prowadził kamienisty szlak. Nadal panowały tam nocne ciemności. Drzewa wrastały głęboko w rzeczne koryto, a ich splecione gałęzie tworzyły nad nim tak gęste i niskie sklepienie, że Tuor i Voronwë musieli czasem pełznąć pod nim niczym zwierz wpełzający do swej jamy.

Wreszcie jednak, po wielkich trudach, dotarli do stóp skały i ujrzeli w niej otwór, jak gdyby wylot tunelu wypłukanego w kamieniu przez wody, spływające z serca gór. Weszli do środka, a choć nie docierał tam żaden promyk światła, Voronwë ruszył raźno naprzód. Tuor postępował za nim, wspierając dłoń na ramieniu przewodnika, lekko schylony, gdyż sklepienie tunelu wisiało tuż nąd ich głowami. I tak wędrowali po omacku, krok za krokiem, aż w końcu poczuli, że skała pod ich stopami przestaje się wznosić, a zaściełające ją odłamki kamienia zniknęły. Wtedy zatrzymali się i odetchnęli głęboko, nasłuchując. Powietrze było świeże i rześkie, a wokół siebie wyczuwali wielką przestrzeń. Panowała całkowita cisza. Nie słychać było nawet szmeru wody. Tuorowi wydało się, że Voronwë jest zaniepokojony i szepnął:

– Gdzie jest Strzeżona Brama? A może już ją minęliśmy?

– Nie – odparł Voronwë. – Dziwne jednak, by przybysz mógł dotrzeć tak daleko nie zauważony. Lękam się niespodziewanego ciosu z ciemności.

Ich szepty obudziły drzemiące echa, które odbijając się od sklepienia i niewidocznych ścian rozbrzmiały setkami syków i mamrotań. A gdy echa zamarły w skale, z samego serca ciemności Tuor usłyszał głos przemawiający w języku elfów – najpierw w Szlachetnej Mowie Noldorów, której nie znał, później zaś – w języku Beleriandu, choć z nieco dziwnym akcentem, jak u kogoś, kto od dawna nie zetknął się z krewniakami.

– Stójcie! – rozkazał głos. – Czy jesteście przyjaciółmi, czy wrogami, nie ruszajcie się albo zginiecie.

– Jesteśmy przyjaciółmi – odparł Voronwë.

– Zatem róbcie, co każę.

Echa słów zamierały z wolna. Voronwë i Tuor stali bez ruchu, a Tuorowi zdawało się, że minęła już cała wieczność. Serce ścisnął mu strach tak wielki, jak nigdy dotąd podczas tej pełnej niebezpieczeństw podróży. Wreszcie rozległ się tupot nóg, dźwięczący w tej pustce coraz głośniej niby marsz oddziału trolli. Nagle zapłonęła latarnia elfów, a jej promień padł na stojącego przed Tuorem Voronwëgo. Tuor jednak nie widział nic, poza oślepiającą gwiazdą w mroku, i wiedział, że póki oświetla go jej blask, nie wolno mu się ruszyć – ani naprzód, ani w tył.

Przez chwilę stali więc, skąpani w świetle, aż wreszcie głos powiedział:

– Ukażcie wasze oblicza!

Voronwë odrzucił kaptur. Jego twarz zajaśniała w blasku lampy, ujawniając rysy niczym wyciosane z kamienia.



Tuor zdumiał się, widząc, jak jest piękna. Jego towarzysz przemówił dumnie:

– Czyż nie wiecie, kogo widzą wasze oczy? Jam jest Voronwë, syn Aranwëgo z rodu Fingolfina. A może zapomniano o mnie w mej własnej krainie po kilku zaledwie latach? Zawędrowałem dalej, niż sięga myśl ze Śródziemia, a mimo to nadal pamiętam twój głos, Elemmakilu.

– Zatem Voronwë winien także pamiętać prawa tego kraju – odparł głos. – Skoro wyruszył w drogę na królewski rozkaz, wolno mu wrócić – ale nie sprowadzić z sobą obcego. Czyn ten niweczy jego prawa i musi jako więzień stanąć przed obliczem króla, aby ten mógł go osądzić. Natomiast obcy podlega wyrokowi Straży i zależnie od niego czeka go śmierć bądź niewola. Niech wystąpi, bym mógł zdecydować.

Wtedy Voronwë poprowadził Tuora ku światłu, a kiedy się zbliżyli, z cienia wyłoniło się wielu Noldorów w kolczugach i otoczyło ich, dobywając mieczy. Zaś Elemmakil, kapitan Straży, dzierżący w dłoni lśniącą lampę, przyjrzał im się bacznie.

– Nie oczekiwałem tego po tobie, Voronwë – rzekł. – Długo byliśmy przyjaciółmi. Czemu zatem tak okrutnie każesz mi wybierać pomiędzy prawem a przyjaźnią? Gdybyś choć przywiódł ze sobą kogoś z innego rodu Noldorów i to byłoby źle. Ale ty odkryłeś Drogę przed jednym ze Śmiertelnych – bowiem po oczach poznaję, z jakiego wywodzi się plemienia. Ponieważ zaś poznał tajemnicę, nigdy więcej nie będzie wędrował swobodnie; a że śmiałek ów nie z naszego jest ludu, winienem go zabić – nawet jeśli to twój druh i jest ci drogi.

– W rozległych krainach zewnętrznych spotkać nas może wiele niezwykłych rzeczy, Elemmakilu, i czasem zostają nam powierzone zadania, o które nie prosiliśmy – odrzekł Voronwë. – A podróżnik często wraca do domu odmieniony. To, co uczyniłem, uczyniłem z rozkazu ważniejszego, niźli prawa Straży. Tylko król może mnie osądzić, a także tego, co przychodzi ze mną.

Wtedy przemówił Tuor, wolny już od lęku:

– Przybywam z Voronwëm, synem Aranwëgo, bowiem został on wyznaczony moim przewodnikiem przez Pana Wód. Tylko dlatego dozwolono mu umknąć przed gniewem Morza i Klątwą Valarów. Gdyż niosę posłanie od Ulma do syna Fingolfina i jemu tylko je przekażę.

Wtenczas Elemmakil spojrzał ze zdumieniem na przybysza.

– Kimże więc jesteś? – spytał. – I skąd przychodzisz?

– Jestem Tuor, syn Huora z rodu Hadora, a mym krewniakiem jest Hurin. Imiona te, jak mi mówiono, znane są w Ukrytym Królestwie. Przybywam z Nevrastu, aby po wielu trudach odnaleźć tajemną bramę.

– Z Nevrastu? – powtórzył Elemmakil. – Powiadają, że nikt tam nie mieszka od czasu, gdy nasz lud opuścił te strony.

– I mówią prawdę. Zimne i puste stoją dworce Vinyamaru. A przecież stamtąd właśnie przychodzę. Powiedź mnie do tego, który zbudował niegdyś te sale.

– W sprawach takiej wagi nie do mnie należy osąd – stwierdził Elemmakil. – Chodźcie tedy do światła, które ukaże wiele rzeczy, potem zaś zaprowadzę was przed oblicze Strażnika Wielkiej Bramy.

Wydał rozkaz. Tuor i Voronwë zostali otoczeni przez wysokich żołnierzy – dwóch z przodu, trzech za nimi. Kapitan wyprowadził ich z pieczary Straży Zewnętrznej. Długo wędrowali prostym korytarzem, póki w końcu nie ujrzeli przed sobą bladego światełka. Wreszcie dotarli do szerokiego łuku, wspartego po obu stronach na wysokich kolumnach, wyciosanych w skale. Pomiędzy nimi wisiała potężna krata ze skrzyżowanych drewnianych belek, cudownie rzeźbionych i nabijanych żelaznymi ćwiekami.

Elemmakil dotknął jej i krata uniosła się bez szmeru, przepuszczając ich. Tuor ujrzał, że stoją na końcu wąwozu, jakiego nigdy wcześniej nie widział ani nie wyobrażał sobie, że coś takiego może istnieć, choć długo wędrował w dzikich górach Północy; bowiem wobec Orfalch Echor Cirith Ninniach był jedynie małą bruzdą w skale. Tu ręce samych Valarów podczas pradawnych wojen u początków świata rozdarły potężne górskie pasmo. Ściany wąwozu były gładkie jak ociosane toporem i wznosiły się na niewyobrażalną wysokość. Hen, daleko z przodu widniała wstęga nieba, a na jej głębokim błękicie rysowały się czarne, poszarpane szczyty, odległe, lecz twarde i okrutne, jak ostrza włóczni. Owe wyniosłe ściany zbyt były wysokie, by mogło przeniknąć je zimowe słońce, i choć już dawno nastał ranek, ponad szczytami gór lśniły gwiazdy, zaś niżej panował mrok, rozjaśniony jedynie bladym światłem lamp umieszczonych wzdłuż wspinającej się stromo drogi. Bowiem dno wąwozu wznosiło się gwałtownie ku wschodowi, a po swej lewej stronie, obok koryta strumienia, Tuor ujrzał szeroki trakt, wybrukowany kamieniami, prowadzący w górę i niknący w dalekich cieniach.

– Przekroczyłeś Pierwszą Bramę, Bramę z Drewna – oznajmił Elemmakil. – Oto droga. Spieszmy więc.



Andrzej Grzechnik



Jak daleko wiódł ów szlak, Tuor nie umiał zgadnąć, a kiedy ruszył naprzód, wielkie znużenie opadło nań niczym chmura. Mroźny powiew zaświstał na kamiennych ścianach i Tuor ciaśniej owinął się płaszczem.

– Zimny jest wiatr, wiejący z Ukrytego Królestwa! – stwierdził.

– Zaiste – dodał Voronwë – obcym zdać się może, że duma pozbawiła sługi Turgona miłosierdzia. Długi i pełen trudu jest szlak Siedmiu Bram dla znużonego i głodnego wędrowca.

– Gdyby prawo nasze było mniej surowe, dawno już podstęp i nienawiść znalazłyby sposób, by nas zniszczyć. Wiesz o tym dobrze – odrzekł Elemmakil. – Znamy jednak litość. Tu nie ma jedzenia, a obcy nie może wrócić przez bramę, którą raz już przekroczył. Wytrzymajcie więc jeszcze, a przy Drugiej Bramie pragnienia wasze zostaną zaspokojone.

– Dobrze więc – odparł Tuor i ruszył naprzód, jak mu nakazano. Po chwili odwrócił się i ujrzał za sobą jedynie Elemmakila i Voronwëgo.

– Nie trzeba więcej strażników – powiedział kapitan, odczytując jego myśli. – Z Orfalchu nie ma ucieczki ani dla elfa, ani dla człowieka.



Andrzej Grzechnik

I tak wędrowali stromą drogą, czasem wspinając się po długich schodach, czasem nierównym zboczem w złowieszczym cieniu urwiska, aż jakieś dwie mile od Drewnianej Bramy Tuor ujrzał, że szlak zagradza potężny mur, zbudowany w poprzek wąwozu, wzmocniony po obu stronach dwiema wieżami z kamienia. W murze ponad drogą widniał wielki łukowaty otwór zamknięty jednym ogromnym głazem. Gdy wędrowcy zbliżyli się, dostrzegli, że jego ciemna, gładka powierzchnia połyskuje w blasku białej lampy, wiszącej u szczytu łuku.

– Oto Druga Brama, Brama z Kamienia – oznajmił Elemmakil i pchnął lekko kamienną płytę. Obróciła się ona wokół niewidocznej osi, póki jej krawędź nie skierowała się ku nim, odsłaniając po obu stronach przejście. Przekroczywszy je, znaleźli się na dziedzińcu, pełnym zbrojnych strażników, odzianych w szare płaszcze. Nie padło ani jedno słowo, ale Elemmakil powiódł swych jeńców do komnaty pod północną wieżą, i tam przyniesiono im jadło i wino, a także dozwolono nieco odpocząć.

– Skromna może wydać się ta gościna – powiedział Elemmakil do Tuora. – Lecz jeśli potwierdzą się twe słowa, zostaniesz podjęty lepiej i szczodrzej.

– To mi wystarczy – odparł Tuor. – Słabe to serce, któremu potrzeba lepszego lekarstwa. – W istocie napój i jadło Noldorów wzmocniły go tak bardzo, że gotów był ruszać w dalszą drogę.



Wkrótce dotarli do muru jeszcze wyższego i potężniejszego. W nim to osadzono Trzecią Bramę, Bramę z Brązu: wielkie, dwuskrzydłowe wrota, zawieszone tarczami i płytami z brązu, na których wyryto wizerunki licznych postaci i dziwne znaki. Ponad portalem wrót sterczały w górę trzy kanciaste wieże. Ich dachy i ściany pokrywała miedź, a wielka sztuka kowali elfów sprawiła, iż metal nigdy nie śniedział, połyskując niby ogień w blasku czerwonych latarni, umocowanych jak pochodnie wzdłuż murów. I znów w milczeniu przeszli przez bramę, a na dziedzińcu za nią ujrzeli jeszcze liczniejszy oddział straży, przybrany w kolczugi lśniące ognistym żarem; ostrza toporów żołnierzy błyszczały czerwienią. Ci, którzy strzegli tej bramy, wywodzili się w większości ze szczepu Sindarów z Nevrastu.

Teraz wyszli na najtrudniejszy odcinek traktu, bowiem w połowie Orfalchu szlak wiódł najbardziej stromym zboczem. Wspinając się Tuor ujrzał wyrastający przed nimi najwyższy, mroczny mur. Tak tedy zbliżyli się do Czwartej Bramy, Bramy Splecionego Żelaza. Wyniosłe i czarne były mury, których nie oświetlała choćby jedna latarnia. Na nich wznosiły się cztery żelazne wieże, a pomiędzy dwiema środkowymi umieszczono postać wielkiego orła, wykutą z żelaza na podobieństwo króla Thorondora – i wyglądało, jakby sam król przysiadł przed chwilą na szczycie po locie w przestworzach. I gdy Tuor, zdumiony, stanął naprzeciw bramy, wydało mu się, iż spogląda przez gąszcz pni i gałęzi niezniszczalnych drzew na blade równiny Księżyca. Bowiem przez ornamenty bramy, wykute na kształt drzew o powyginanych korzeniach i splątanych gałęziach, ciężkich od kwiatów i liści, przeświecało światło. Dopiero przechodząc pod sklepieniem bramy pojął, iż działo się tak, ponieważ w grubym murze osadzono nie jedną, lecz trzy kraty, ustawione tak, by dla kogoś, kto przybywał drogą, każda z nich stanowiła tylko część wrót. Zaś widoczne za bramą światło było brzaskiem dnia.

Wspięli się już wysoko ponad niziny, z których przybywali, i droga za Żelazną Bramą biegła teraz po niemal równym terenie. Co więcej, minęli już koronę Echoriadu i szczyty górskie poczynały opadać gwałtownie ku wewnętrznym wzgórzom, a wąwóz otwierał się coraz szerzej. Jego zbocza były mniej strome i pokryte śnieżnym płaszczem. Odbite od śniegu promienie słoneczne lśniły srebrzystą poświatą pośród unoszącej się w powietrzu roziskrzonej mgły.

Minęli szeregi Żelaznej Gwardii, stojące tuż za Bramą. Ich płaszcze, kolczugi i długie tarcze były czarne; twarze żołnierzy zasłaniały przyłbice wykute na kształt orlich dziobów. Potem Elemmakil znów wyszedł naprzód, a oni ruszyli za nim zalaną białym blaskiem drogą. Tuor ujrzał obok traktu pasmo traw, pośród których niczym gwiazdy rozkwitały białe kwiaty *uilos*, niezapominek, które nie dbają o pory roku i nigdy nie więdną. I tak, oszołomiony, czując dziwną lekkość w sercu, dotarł do Bramy ze Srebra.

Mur Piątej Bramy zbudowano z białego marmuru. Był on niski i szeroki, a wieńczyła go srebrna krata, rozpięta między pięcioma wielkimi marmurowymi kulami. Stało tam wielu odzianych w biel łuczników. Brama miała kształt trzech ćwierci koła, wykuto ją zaś ze zdobnego



perłami z Nevrastu srebra na podobieństwo księżyca. Ponad Bramą, na środkowej kuli wznosiła się podobizna Białego Drzewa, Telperiona, sporządzona ze srebra i malachitu, o kwiatach z wielkich pereł z Balar. Za Bramą, na rozległym dziedzińcu, wykładanym zielonym i białym marmurem, czekali łucznicy w srebrzystych kolczugach i białopiórych hełmach, stu z każdej strony. Elemmakil powiódł Tuora i Voronwëgo pomiędzy milczącymi szeregami, na długi biały trakt, biegnący wprost ku Szóstej Bramie. Gdy tak maszerowali, wzdłuż drogi pojawiały się coraz większe połacie murawy, a pośród srebrnych gwiazd *uilos* spoglądały na nich niewielkie kwiatki niczym małe, złote oczy.

Wreszcie dotarli do Złotej Bramy, ostatniej z pradawnych bram Turgona, wykutych przed Nirnaeth. Bardzo przypominała ona Bramę Srebrną, tyle że mur wzniesiono z żółtego marmuru, zaś jego zwieńczenie i kule były z czerwonego złota. Kul było sześć, a pośrodku, ze złotej piramidy wyrastał wizerunek Laurelinu, Słonecznego Drzewa, o wyrzeźbionych z topazu kwiatach, zwieszających się w gronach na długich złotych łańcuchach. Samą zaś Bramę przybrano złotymi kręgami o wielu promieniach, na podobieństwo słońca, umieszczonymi wśród mnogich granatów, topazów i żółtych diamentów. Na podwórcu stały trzy setki łuczników o długich łukach. Ich kolczugi były złocone, na hełmach kołysały się wysokie złote pióropusze, a wielkie okrągłe tarcze płonęły czerwienią niczym ogień.

Promienie słońca oświetlały teraz dalszą drogę, bowiem zbocza wzgórz po obu stronach były łagodne i zielone, a tylko na szczytach widniały śnieżne czapy. Elemmakil przyspieszył kroku, gdyż znajdowali się już blisko Siódmej Bramy, zwanej Wielką, Bramy ze Stali, którą Maeglin wykuł po powrocie z Nirnaeth, zamykającej szerokie wejście do Orfalch Echor.

Nie było tam żadnego muru. Po obu stronach drogi wyrastały dwie okrągłe, wysokie wieże, spoglądające na wędrowców licznymi oknami. Wieże te wznosiły się wzwyż niczym stożki na siedem pięter, ku wieńczącym je błyszczącym stalowym iglicom. Pomiędzy nimi stała potężna krata ze stali, która nigdy nie rdzewiała, lecz połyskiwała zimną bielą. Było w niej siedem mocarnych stalowych kolumn, wyniosłych i grubych niczym silne młode drzewa, zakończonych okrutnymi bolcami, ostrymi niczym igły. Do siedmiu poziomych stalowych belek pomiędzy każdą parą kolumn umocowano po siedmiokroć siedem prostych stalowych prętów o czubkach płaskich i spiczastych jak ostrza włóczni. Pośrodku, nad najpotężniejszą z kolumn, wznosiła się podobizna królewskiego hełmu Turgona, wysadzanej diamentami Korony Ukrytego Królestwa.

W tej potężnej stalowej kracie Tuor nie dostrzegł żadnej bramy ani furty, gdy jednak podszedł bliżej, zdało mu się, iż pomiędzy prętami rozbłyska oślepiające światło. Osłoniwszy tedy oczy, stanął pełen grozy i zachwytu. Elemmakil ruszył naprzód, lecz żadne drzwi nie otwarły się pod jego dotknięciem. Trącił jednak jeden z prętów i ogrodzenie zaśpiewało niczym wielostrunna harfa czystymi dźwiękami tworzącymi harmonię, która rozdzwoniła się od wieży do wieży.

Natychmiast ukazali się strażnicy, lecz wszystkich wyprzedzał jeden, dosiadający białego rumaka. Zsiadł on z konia i podszedł ku nim. I choć potężny i szlachetny był Elemmakil, to przecież Ecthelion, Władca Źródeł, wspanialszy i godniejszy był od niego. W owych czasach pełnił on funkcję Strażnika Wielkiej Bramy. Odziany był w srebrzystą zbroję, zaś na głowie miał błyszczący hełm o stalowym szpicu zwieńczonym diamentem. Gdy zaś giermek wziął od niego tarczę, zabłysła jakby zroszona kroplami deszczu, zdobiły ją bowiem tysiące drobnych kryształów.

Elemmakil pozdrowił go i rzekł:

– Oto przyprowadziłem do ciebie Voronwëgo Aranwiona, powracającego z Balar, to zaś jest nieznajomy, którego z sobą przywiódł. Pragnie widzieć się z królem.

Ecthelion zwrócił się tedy ku Tuorowi, ten jednak ciaśniej owinął się płaszczem i stał naprzeciw niego, nieruchomy. Voronwë zdało się, iż Tuora spowiła mgła, a jego postać urosła tak, że czubek wysokiego kaptura wznosił się ponad hełmem księcia elfów niczym szczyt szarej morskiej fali zalewającej brzeg. Ecthelion jednak spuścił swe lśniące oczy przed spojrzeniem Tuora i po chwili milczenia odezwał się z powagą:

☞ ☞ ☞







– Dotarłeś do Ostatniej Bramy. Wiedz tedy, że żaden obcy, który ją przekroczy, nie opuści już tego królestwa, chyba przez wrota śmierci.

– Nie groź mi! Jeśli wrota owe otworzą się przed wysłannikiem Pana Wód, podążą za nim wszyscy, którzy tu mieszkają. Władco Źródeł, nie stawaj na drodze posłańca Władcy Wód!

Wtedy Voronwë i wszyscy, którzy stali w pobliżu, ze zdumieniem spojrzeli na Tuora, zaskoczeni brzmieniem i znaczeniem jego słów. Voronwëmu wydało się, iż usłyszał potężny głos, mówiący z wielkiej oddali. Tuor jednak, słuchając swych słów miał wrażenie, jakby przez jego usta przemówił ktoś inny.

Przez dłuższą chwilę Ecthelion stał w milczeniu, spoglądając na Tuora, i z wolna na jego obliczu jął pojawiać się podziw przemieszany z lękiem, jakby w szarym cieniu Tuorowego płaszcza dostrzegał obrazy dochodzące z oddali. Wreszcie skłonił się, podszedł do kraty i położył na niej dłonie, a po obu stronach Kolumny Korony otwarły się wrota. Tuor przeszedł przez nie i wstąpił na leżącą wysoko łąkę. Stamtąd to roztoczył się przed jego oczami widok Gondolinu pośród białych śniegów. I Tuor przez długi czas trwał w zachwyceniu, nie mogąc oderwać od niego wzroku, bowiem nareszcie ujrzał przed sobą swoje pragnienie, swój sen, za którym tak tęsknił.

Stał tedy, nie mówiąc ni słowa, a po obu jego bokach pogrążone w milczeniu stały armie Gondolinu, których dowódcy dosiadali siwych i szarych koni. Kiedy tak wpatrywali się w zdumieniu w Tuora, jego płaszcz opadł na ziemię i ujrzeli przed sobą męża odzianego w potężną zbroję z Nevrastu. Wielu zaś spośród nich na własne oczy widziało niegdyś, jak Turgon własnoręcznie umieścił ów rynsztunek na ścianie za tronem w Vinyamarze.

Wreszcie Ecthelion przemówił:

– Teraz nie potrzebujemy już dalszych dowodów. Nawet miano syna Huora, do którego pono przysługuje mu prawo, mniejszą ma wagę, niźli ta prawda, że przychodzi od samego Ulma.

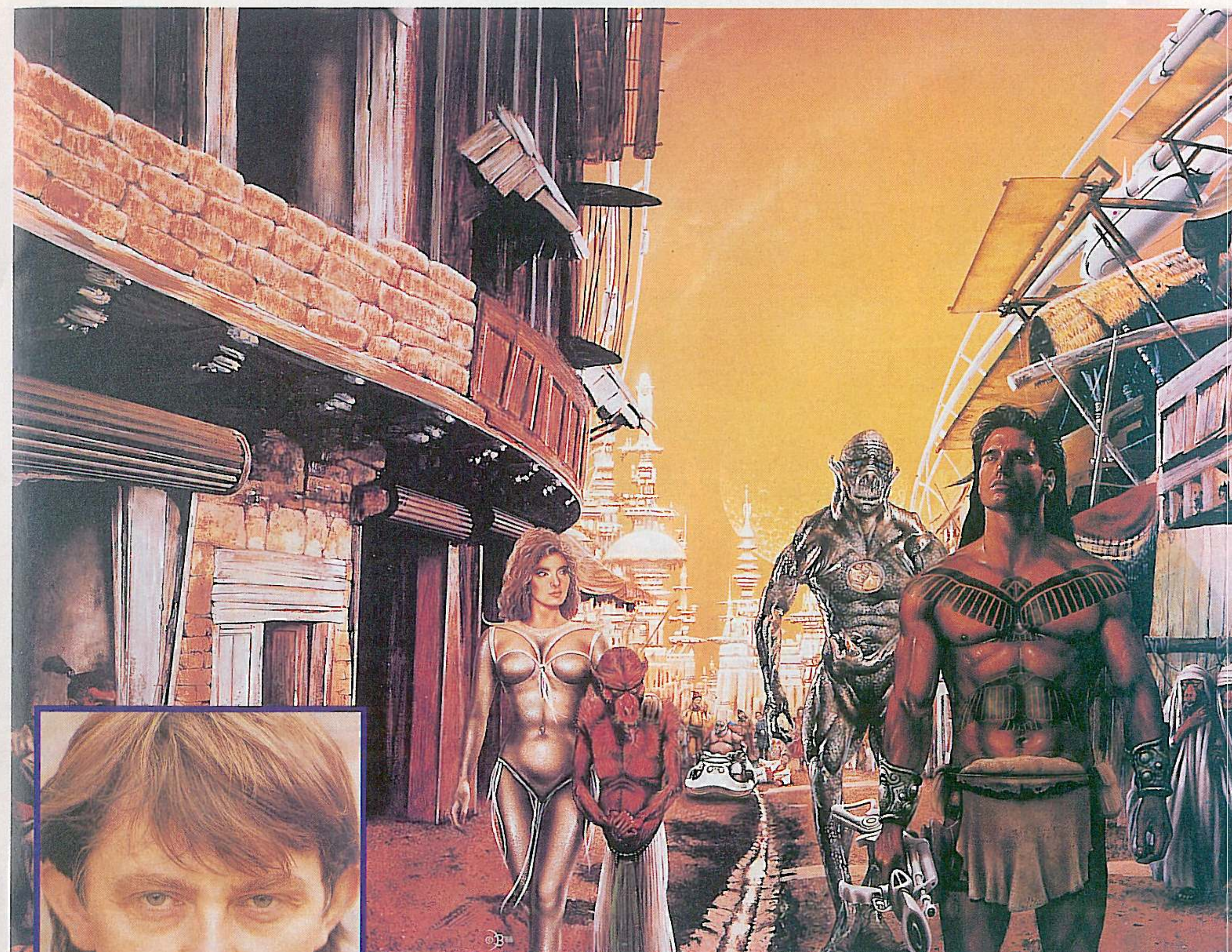
Tu opowieść urywa się ostatecznie i jedynie pośpiesznie sporządzone notatki wskazują na jej dalszy ciąg.

Tuor spytał o nazwę miasta i w odpowiedzi usłyszał jego siedem imion (warto zauważyć fakt, bez wątpienia zamierzony, że nazwa Gondolin ani razu nie pojawia się w całej historii aż do samego końca: zawsze nazywa się go Ukrytym Królestwem lub Ukrytym Grodem). Ecthelion wydał rozkaz odegrania sygnału i na wieżach Głównej Bramy rozległy się trąby, a ich dźwięk odbił się echem na wzgórzach. Po chwili milczenia usłyszeli w odpowiedzi odległą muzykę trąb z murów miasta. Przyprowadzono konie (szarego dla Tuora) i na nich cała grupa wyruszyła do Gondolinu.

Tu miał nastąpić opis Gondolinu, schodów prowadzących na wysoki taras i wielkiej bramy; kopców (to słowo nie jest pewne) porośniętych mallornami, brzozami i wiecznie zielonymi drzewami; Źródlanego Dziedzińca, Wieży Króla wspartej na kolumnadach, królewskiego pałacu i sztandaru Fingolfina. W tym miejscu pojawiał się sam Turgon, o „postaci najwyższej ze wszystkich Dzieci Świata, z wyjątkiem jednego Thingola”, z biało-złotym mieczem w pochwie z kości słoniowej, i witał Tuora. Widać było Maeglina, stojącego po prawej stronie tronu i siedzącą po lewej królewską córkę Idril, a Tuor przekazał posłanie od Ulma albo „w obecności wszystkich”, albo też „w komnacie królewskiej rady”.

Z innych chaotycznych zapisków wynika, że miał się tam też pojawić opis Gondolinu, widzianego z dala przez Tuora; że płaszcz Ulma miał zniknąć w momencie, gdy Tuor wypowiedział adresowaną do Turgona przestrogę; że planowane było wyjaśnienie, dlaczego Gondolin nie miał królowej; i że trzeba było wyraźnie podkreślić w chwili, gdy Tuor po raz pierwszy ujrzał Idril, lub nieco wcześniej, że przez całe swe wcześniejsze życie znał, czy nawet widział kilka jedynie kobiet. Większość kobiet i wszystkie dzieci z grupy Annaela zostały wcześnie odesłane na południe, a w niewoli Tuor widywał jedynie dumne barbarzyńskie kobiety Easterlingów, które traktowały go niczym zwierzę, albo nieszczęsne niewolnice, od dziecka zmuszane do pracy, dla nich zaś odczuwał jedynie litość.

Przełożyła **Paulina Braiter**





GALERIA

JIM BURNS - I JUŻ!

W „Galerii” po raz kolejny prace jednego z ciekawszych ilustratorów SF – Brytyjczyka Jima Burnsa. Korzystamy z wydania przez Paper Tiger portfolio z najnowszymi obrazami tego artysty. Przed Państwem sceny na pozór wzięte dosłownie z naszego codziennego życia. A jednak dzięki talentowi Burnsa nabrały nowych i nieoczekiwanych znaczeń. Inspiracją dla artysty, nawet w przypadku ilustracji, które opowiadają o Obcych, o kosmosie, o nie istniejących w przyrodzie dziwach, są zawsze oprócz maszynopisów... – tak przynajmniej zapewnia Burns – kolorowe fotografie z sobotnich dodatków do gazet codziennych.

Perfekcyjne opanowanie warsztatu oraz ciągłe eksperymentowanie z różnymi fakturami (imitującymi nieznane metale, tkaniny, tworzywa, sztuczne struktury) znacznie wzmacnia fantastyczny efekt pozornie zwyczajnych scen.

Twórczość Jima Burnsa docenił m.in. Robert Silverberg, powierzając mu wykonanie ilustracji do wielu swoich książek w USA i w Europie.

Młodsi Czytelnicy mogą podziwiać Burnsa także jako scenografa. Oprócz pracy przy realizacji filmu „Blade Runner” ma on na koncie scenografie do serii koncertów MTV- Unplugged. Warto dodać, że autorem i reżyserem oświetlenia do tych koncertów jest inny znajomy z naszych łamów – Patrick Woodroffe. **ANDRZEJ BRZEZICKI**

Ilustracje pochodzą z albumu „JIM BURNS Portfolio", Paper Tiger, an imprint of Dragon's World Ltd., Wlk. Brytania 1992. Zostały udostępnione przez dystrybutora Paper Tiger oraz innych albumów o tematyce fantastycznej: POL-BOOKS, skr. pocz. 928, 42-250 Częstochowa.

JIM BURNS



NEBULA 1991 HUGO 1992

HISZPAŃSCY ŻEBRACY (2)

NANCY KRESS

(Beggars in Spain)

przełożyła **Kinga Dobrowolska**

Rozdział VI

BEZSENNY MUTANCIK BŁAGA O COFNIĘCIE GENETYCZNEJ PRZERÓBKI – krzyczał wielki elektroniczny tytuł w supermarkecie. – CHCĘ SPAĆ JAK PRAWDZIWI LUDZIE – PŁACZE DZIECKO.

Leisha wpisała numer swojej karty kredytowej i nacisnęła przycisk, żeby dostać wydrukowany egzemplarz gazety, choć nie miała zwyczaju kupować brukowców. Tytuł dalej krążył wokół kiosku. Pracownik supermarketu przestał na chwilę upychać pudełka po półkach i zaczął się jej przyglądać. Bruce, ochroniarz Leishy, zaczął obserwować tamtego.

Miała dwadzieścia dwa lata i była na ostatnim roku prawa na Harvardzie. Najlepsza na roku, została redaktorem „Przeglądu prawnego". Tuż za nią w rankingu plasowali się Jonathan Cocchiara, Len Carter i Martha Wenth. Wszyscy troje Bezsenni.

Kiedy znalazła się w swoim mieszkaniu, szybko przebiegła wzrokiem przez szpalty. Potem włączyła się w program sieci pracujący w Austin. Pliki zawierały dalsze informacje o dziecku wraz z komentarzami innych Bezsennych, ale zanim zdążyła się z nimi połączyć, Kevin odezwał się do niej osobiście.

– Leisho, cieszę się, że zadzwoniłaś. Właśnie sam miałem się do ciebie odezwać.

– Jak przedstawia się sytuacja Stelli Bevington, Kev? Czy ktoś to sprawdził?

– Randy Davies. Mieszka w Chicago, ale chyba go nie znasz, bo chodzi dopiero do średniej szkoły. Mieszka w Park Rigde, a Stella w Skokie. Jej rodzice nie chcieli z nim rozmawiać – byli dość wulgarni – ale i tak udało mu się z nią spotkać. Na razie nie wygląda na to, żeby się nad nią znęcali. To dość typowy przypadek głupoty:

rodzicom zachciało się genialnego dziecka, oszczędzali, dusili każdy grosz, a teraz nie radzą sobie ze świadomością, że naprawdę jest genialne. Próbują krzykiem zmusić ją, żeby spała, a kiedy im się przeciwstawia, robią wszystko, żeby ją zranić, ale, jak dotąd, nie stosują przemocy fizycznej.

– Czy da się to podciągnąć pod nadużywanie władzy rodzicielskiej?

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli już wkraczać. Dwoje z nas pozostanie w ścisłym kontakcie ze Stellą – ma modem i nic nie powiedziała rodzicom o sieci. A Randy będzie tam jeździł co tydzień.

Leisha przygryzła wargi.

– W tej gównianej gazetce piszą, że ma siedem lat.

– To prawda.

– Może nie należy jej tam zostawiać. Ja mieszkam na stałe w Illinois, mogę wnieść skargę o psychiczne maltretowanie, jeżeli Candy ma już za dużo spraw. Siedem lat...

– Nie. Niech sprawa się trochę uleży. Stelli raczej nic się nie stanie. Sama wiesz.

Wiedziała. Na ogół „nic się nie działo”, bez względu na to, jak głęboką niechęć manifestowała wobec Bezsennych głupsza część społeczeństwa. Leisha sama obstawała przy tym, że to tylko głupsza część społeczeństwa – niewielka, choć głośna mniejszość. Większość natomiast będzie umiała pogodzić się z coraz bardziej widoczną obecnością Bezsennych, kiedy już stanie się jasne, że ta obecność niesie ze sobą nie tylko wzrost potęgi kraju, ale i powszechny dobrobyt.

Kevin Baker, obecnie dwudziestoszesciolatek, zbił fortunę na mikrochipach o tak rewolucyjnej konstrukcji, że sztuczna inteligencja, dotąd pozostająca wyłącznie w sferze marzeń, stała się o niebo bliższa urzeczywistnienia. Carolyn Rizzolo zdobyła nagrodę Pulitzera za swoją sztukę „Światło dnia”. Miała zaledwie dwadzieścia cztery lata. Jeremy Robinson, będąc na ostatnim roku studiów, dokonał bardzo znaczących odkryć w dziedzinie zastosowań nadprzewodnictwa. William Thaine, który był naczelnym „Przeglądu prawnego”, kiedy Leisha przyjechała do Harvardu, teraz prowadził prywatną kancelarię. Jak dotąd, nie przegrał jeszcze żadnej sprawy. Miał dwadzieścia sześć lat, a powierzano mu najpoważniejsze przypadki. Klientów bardziej obchodziły jego nadzwyczajne zdolności niż młody wiek.

Ale nie wszyscy podchodzili do sprawy w ten sposób.

Kevin Baker i Richard Keller założyli sieć komputerową łączącą wszystkich Bezsennych w ścisłe grono, którego członkowie wiedzieli wszystko o prywatnych bitwach staczanych przez każdego z pozostałych. Leisha Camden finansowała batalie sądowe i pokrywała koszta edukacji tych Bezsennych, których rodzice nie mogli sobie na to pozwolić. Wspierała także dzieci, które miały najtrudniejszą sytuację rodzinną. Rhonda Lavelier postarała się o licencję zastępczej matki w Kalifornii i, kiedy tylko zaistniała taka możliwość, Bezsenni starali się, by najmłodsi, których zabierano z domów rodzinnych, zostali przydzieleni Rhondzie. W Grupie było teraz trzech członków Amerykańskiego Stowarzyszenia Prawników, a za rok mieli zyskać jeszcze czterech, z licencjami na pięć różnych stanów.

Jeden jedyny raz, kiedy nie byli w stanie odebrać poniewieranego dziecka legalnie, porwali je.

To był Timmy de Marzo, czteroletni chłopczyk. Leisha była przeciwna tej akcji. Swój sprzeciw uzasadniała względami moralnymi i pragmatycznymi – co zresztą było dla niej równoznaczne – w ten sposób: jeżeli wierzą we wszystkie fundamentalne prawa rządzące społeczeństwem oraz w to, że sami doń przynależą jako swobodnie handlujące, produktywne jednostki, muszą respektować jego podstawowe nakazy prawne. Bezsenni są w większości jagaistami, więc powinno to być dla nich oczywiste. Poza tym, jeśli złapie ich FBI, sądy i prasa zetrą ich na miazgę.

Nikt ich nie złapał.

Timmy de Marzo był za malutki, żeby wzywać pomocy przez sieć. O jego sytuacji dowiedzieli się przez automatyczny skaner lustrujący raporty policyjne, który Kevin wykorzystywał dla potrzeb swej firmy. Wykradli chłopca z jego własnego podwórka w Wichita. Przez ostatni rok mieszkał w odosobnionej przyczepie kempingowej w Północnej Dakocie, lecz żadne miejsce nie jest tak wyizolowane, żeby nie można było tam założyć modemu. Opiekowała się nim nienaganna pod względem prawnym zastępcza matka, która mieszkała tam od urodzenia. Opiekunką została daleka kuzynka któregoś z Bezsennych. Była to rozłożysta, wesoła kobieta, o umyśle daleko głębszym niż sugerował to jej wygląd; jagaistka. W żadnym banku danych nie pojawił się najmniejszy ślad istnienia dziecka: ani w urzędzie skarbowym, ani w żadnej ze szkół, ani nawet w komputerze miejscowego sklepu. Specjalną żywność dla dziecka sprowadzano co miesiąc ciężarówką należącą do Bezsennego ze State College w Pensylwanii. O porwaniu wiedziało tylko dziesięcioro członków grupy – dziesięcioro z 3428 urodzonych w Stanach. Z nich 2691 było w stałym kontakcie z Grupą. Dalsze 701 to były małe dzieci, które nie potrafiły jeszcze używać modemu. Tylko trzydziestu sześciu Bezsennych, z różnych przyczyn, trzymało się od Grupy z dala.

Porwanie zorganizował Tony Indivino.

– To właśnie o Tonym chciałem z tobą porozmawiać – mówił Kevin Leishy. – Znów zaczyna swoje. Tym razem na poważnie. Skupuje ziemię.

Leisha złożyła gazetę w bardzo małą kostkę i położyła starannie na stoliku.

– Gdzie?

– W górach Allegheny. Na południu stanu Nowy Jork. Spory szmat ziemi. Obecnie jest w trakcie budowy dróg. Na wiosnę zacznie stawiać pierwsze budynki.

– Czy Jennifer Sharifi nadal go finansuje?

Jennifer była urodzoną w Stanach córką arabskiego szejka, który zapragnął mieć bezsenne dziecko. Szejk zmarł, a Jennifer dostało się więcej pieniędzy niż Leisha zdoła zarobić przez całe swoje życie.

– Tak. I co gorsza, coraz więcej jest takich, którzy chcą pójść za nim.

– Wiem.

– Zadzwoń do niego.

– Zadzwonię. Informuj mnie na bieżąco o sytuacji Stelli.

Do północy pracowała nad kolejnym wydaniem „Przeglądu prawnego”, potem do czwartej przygotowywała się do zajęć. O piątej zadzwoniła do Toniego, który nadal mieszkał w Chicago. Skończył szkołę średnią, potem semestr w Northwestern, aż w końcu, w czasie bożonarodzeniowych ferii, wściekł się na matkę, która zmuszała go, by żył jak Śpiący. Ta złość, jak zdawało się Leishy, jeszcze mu nie przeszła.

– Tony? Tu Leisha.

– Odpowiedź brzmi: tak, tak, nie i idź do diabła.

Leisha zgrzytnęła zębami.

– Ślicznie. A teraz powiedz mi, jak brzmią pytania.

– Czy ty naprawdę chcesz, żeby Bezsenni wycofali się w obręb własnego, samowystarczalnego społeczeństwa? Czy Jennifer Sharifi zechce finansować projekt budowy małego miasta? Czy nie sądzisz, że to swego rodzaju oszustwo, jeśli porównać je z tym, co można osiągnąć cierpliwie wpasowując się w główny nurt społeczeństwa? A co sądzisz na temat antynomii między życiem w izolowanym, uzbrojonym mieście a jednoczesnym prowadzeniem handlu ze światem zewnętrznym?

– Ja nigdy nie kazałabym ci iść do diabła.



Piotr Gierasiński

– To pięknie z twojej strony – rzucił. Po chwili dodał: – Przepraszam. Zaczynam mówić jak jeden z tamtych.

– To nie wyjdzie nam na dobre, Tony.

– Dzięki, że nie powiedziałaś, że i tak nie podołam.

Przez chwilę zastanawiała się, czy rzeczywiście podoła.

– My nie stanowimy odrębnego gatunku, Tony.

– Powiedz to Śpiącym.

– Przesadzasz. Oczywiście jest kilku zawistników. Ci są zawsze i wszędzie. Ale żeby tak się poddać...

– Nie poddajemy się. Owoce naszej pracy staną się przedmiotem wolnego handlu; komputery, oprogramowanie, powieści, informacje, teorie, doradztwo prawne. Nikt nam nie zabrania podróżować Ale zawsze będziemy mieli bezpieczne miejsce, do którego można wrócić. Gdzie nie będzie pijawek, które twierdzą, że powinniśmy oddawać im własną krew tylko dlatego, że jesteśmy od nich lepsi.

– Tu nie chodzi o to, co powinniśmy.

– Naprawdę? – rzucił Tony. – Wyjaśnijmy to sobie, Leisho. Jesteś jagaistką. W co wierzysz?

– Tony...

– No powiedz – nalegał, a w jego głosie usłyszała tamtego czternastolatka, którego kiedyś przedstawił jej Richard. Jednocześnie ujrzała w myślach twarz ojca; nie taką, jaka była teraz, po założeniu bajpasów, ale taką jak wtedy, kiedy trzymał Leishę na kolanach i wyjaśniał jej, że jest kimś wyjątkowym.

– Wierzę w dobrowolną wymianę, która przynosi wzajemną korzyść. Wierzę, iż duchowa godność człowieka wynika z tego, że utrzymuje się on przy życiu dzięki własemu indywidualnemu wysiłkowi i w wymianę rezultatów tego wysiłku we wzajemnej współpracy całego społeczeństwa. Że symbolem tej współpracy jest kontrakt. I że potrzebujemy siebie nawzajem, żeby wymiana była pełniejsza i coraz bardziej korzystna.

– Ślicznie – uciął Tony. – A co powiesz na hiszpańskich żebraków?

– Co takiego?

– Idziesz ulicą w tak biednym kraju jak Hiszpania i widzisz żebraka. Dasz mu dolara?

– Pewnie tak.

– Dlaczego? Przecież nie ma dla ciebie nic na wymianę?

– Z dobroci. Ze współczucia.

– Widzisz sześciu żebraków. Dasz im po dolarze?

– Pewnie tak.

– Dałabyś. Widzisz stu żebraków i nie masz fortuny Leishy Camden – dasz każdemu po dolarze?

– Nie.

– Dlaczego nie?

Leisha starała się zachować cierpliwość. Niewielu ludzi potrafiło sprawić, że miała ochotę przerwać połączenie, lecz Tony niewątpliwie należał do nich.

– Ponieważ nadwerężyłabym własne źródła utrzymania. Moje własne życie ma priorytet w korzystaniu ze środków, które zdobywam.

– W porządku. A teraz rozważ taką sytuację. W Instytucie Biotechniki, gdzie ty i ja wzięliśmy swój początek, droga pseudosiostro, doktor Melling zaledwie wczoraj...

– Kto?!

– Doktor Susan Melling. O mój Boże, zupełnie zapomniałem, że kiedyś była żoną twego ojca!

– Straciłam z nią kontakt – powiedziała Leisha. – Nie wiedziałam, że wróciła do pracy. Alice kiedyś powiedziała... nieważne. Co się dzieje w Instytucie?

– Mam dwie wiadomości ogromnej wagi z ostatniej chwili. Carla Dutcher poddała się właśnie badaniom genetycznym płodu w pierwszym miesiącu ciąży. Bezsenność jest genem dominującym. Następne pokolenie w Grupie też nie będzie spało.

– Wszyscy o tym wiedzą – odrzekła Leisha. Carla Dutcher była pierwszą w świecie ciężarną Bezsenną. Jej mąż należał do Śpiących. – Cały świat się tego spodziewał.

– Ale prasa poczuje wiatr w żaglach. Zobaczysz. „Potomstwo mutantów! Nowa rasa zdominuje następne pokolenia dzieci!”

Leisha nie zaprzeczyła.

– A ta druga sprawa?

– Jest smutna. Zdarzyła nam się pierwsza śmierć.

Poczuła skurcz w żołądku.

– Kto?

– Bernie Kuhn z Seattle. – Nie znała go. – To był wypadek drogowy. Wygląda całkiem zwyczajnie: na ostrym zakręcie stracił panowanie nad kierownicą, a hamulce zawiodły. Miał siedemnaście lat i prowadził zaledwie od kilku miesięcy. Istotne jest to, że jego rodzice przekazali mózg i ciało Berniego Instytutowi Biotechniki i Wydziałowi Patologii Akademii Medycznej w Chicago. Mają zamiar pokroić go na kawałki, żeby wreszcie przyjrzeć się dokładnie skutkom, jakie przedłużona bezsenność wywołuje w organizmie człowieka.

– To ich obowiązek – orzekła Leisha. – Biedny dzieciak. Ale czego właściwie się obawiasz? Cóż takiego mogą znaleźć?

– Nie wiem. Nie jestem lekarzem. Ale jeśli znajdą cokolwiek, co da się wykorzystać przeciwko nam, ktoś na pewno to zrobi.

– Tony, masz typowe objawy paranoi.

– To niemożliwe. Osobowość Bezsennych jest bardziej zorientowana na rzeczywistość niż przeciętna. Nie czytujesz literatury fachowej?

– Tony...

– A jeśli będziesz szła ulicą w Hiszpanii, a stu żebraków zażąda od ciebie dolara i kiedy powiesz „Nie", oni, choć sami nie mogą ci nic zaoferować, tak będą przeżarci złością, że cię przewrócą i zabiorą pieniądze przemocą, a potem jeszcze pobiją z czystej zawiści i rozpaczy?

Leisha nie odpowiedziała.

– Może mi powiesz, że ludzie tak nie postępują, Leisho? Że takie historie się nie zdarzają?

– Zdarzają się – odrzekła spokojnie Leisha. – Ale nie tak znowu często.

– Gówno prawda. Poczytaj trochę historii. Poczytaj trochę gazet. Ale moje pytanie brzmi: co właściwie jesteś winna tym żebrakom? Co ma zrobić prawdziwy jagaista – ten, który wierzy we wzajemnie korzystną wymianę – co ma zrobić z tymi, który nie mają nic do zaoferowania i którzy potrafią tylko brać?

– Ty nie jesteś...

– Co ma zrobić, Leisho? Tak obiektywnie, jak tylko potrafisz, określ, co jesteśmy winni zachłannym i bezproduktywnym potrzebującym?

– To, co powiedziałam przedtem: dobroć i współczucie.

– Nawet wtedy, kiedy nic nie dadzą nam w zamian? Dlaczego?

– Bo... – przerwała.

– Dlaczego? Dlaczego praworządna, produktywna jednostka ma być cokolwiek winna tym, którzy ani nie produkują, ani nie przestrzegają praw? Jak umotywujesz – filozoficznie, ekonomicznie bądź też duchowo – to, że jesteśmy im cokolwiek winni? Odpowiedz tak samo uczciwie jak zawsze.

Leisha oparła głowę na kolanach. Pytanie otwarło się przed nią jak przepaść, ale nie próbowała uciec od niego tanim frazesem.

– Nie wiem. Wiem tylko, że jesteśmy im to winni.

– Ale dlaczego?

Nie odpowiedziała. Po chwili Tony znów się odezwał. Ton intelektualnego wyzwania zniknął już z jego głosu.

– Przyjedź na wiosnę zobaczyć miejsce, gdzie będzie Azyl – powiedział nieomal czule.

– Nie.

– Zależy mi, żebyś przyjechała.

– Nie. Zbrojny odwrót to żaden sposób.

– Żebracy stają się coraz agresywniejsi, Leisho. W miarę jak Bezsenni stają się coraz bogatsi. I nie mam tu na myśli pieniędzy.

– Tony... – zaczęła Leisha, ale urwała. Zupełnie nie wiedziała, co mówić.

– Nie spaceruj ulicami uzbrojona tylko we wspomnienie o Kenzo Yagai.

W marcu, kiedy lodowate wichry chłostały brzegi Charles River, do Cambridge przyjechał Richard Keller. Leisha nie widziała go od czterech lat. Nie uprzedził jej, że zamierza przyjechać. Pędziła właśnie spiesznie chodnikiem przy bloku, po same oczy zakutana w ciepły wełniany szalik, gdy nagle zobaczyła, jak stoi przed klatką blokując wejście. Ochroniarz za plecami Leishy stężał w gotowości.

– Richard! Bruce, wszystko w porządku, to stary znajomy.

– Witaj, Leisho.

Wyglądał znacznie potężniej niż go zapamiętała. Zwłaszcza zaskoczyła ją szerokość ramion. Lecz twarz niewątpliwie należała do Richarda, starsza, ale wciąż ta sama: ciemne, niskie brwi, nieporządne ciemne włosy. Zapuścił brodę.

– Pięknie wyglądasz – powiedział.

Wręczyła mu filiżankę kawy.

– Przyjechałeś w interesach? – Z sieci doszły ją wieści, że obronił już dyplom i dokonał wielu odkryć w dziedzinie biologii morskiej. Pracował na Karaibach, ale porzucił pracę jakiś rok temu i od tej pory zniknął z sieci.

– Nie, dla przyjemności. – Nieoczekiwanie uśmiechnął się, tym dawnym uśmiechem, który rozświetlał wszystkie zakamarki jego twarzy. – Przez długi czas niemal zapomniałem, co to takiego. Zadowolenie – tak, wszyscy dobrze znamy ten rodzaj zadowolenia, który płynie z dobrze wykonanej pracy, ale przyjemność? Kaprys? Zachcianka? Kiedy ostatnio popełniłaś jakieś głupstwo, Leisho?

– Jadłam watę cukrową w czasie ulewy – uśmiechnęła się.

– Naprawdę? Po co?

– Żeby sprawdzić, czy się rozpłynie w kleiste, różowe wzorki.

– I rozpłynęła się?

– Tak. Były śliczne.

– A kiedy miało miejsce to twoje ostatnie głupstwo? Kiedy to było?

– Zeszłego lata.

– Hm, moje jest świeższej daty. Właśnie trwa. Przyjechałem do Bostonu jedynie po to, żeby odczuć czystą, spontaniczną radość ze spotkania z tobą.

– Masz trochę zbyt spięty głos jak na spontaniczną radość – Leisha spoważniała.

– Zgadza się – potwierdził poważnie. Leisha znów się roześmiała. On nie.

– Byłem w Indiach, Leisho. W Chinach i Afryce. Przeważnie rozmyślałem. Obserwowałem. Najpierw podróżowałem jako Śpiący, więc nie zwracałem na siebie niczyjej uwagi. Potem postanowiłem odwiedzić Bezsennych w Indiach i Chinach. Jak wiesz, jest kilku, których rodzicom chciało się swego czasu przyjechać do Stanów na operację. Wszyscy są akceptowani i pozostawieni w spokoju. Próbowałem zrozumieć, dlaczego rozpaczliwie biedne kraje – przynajmniej według naszych standardów – nie mają żadnych problemów z zaakceptowaniem wyższości Bezsennych, podczas gdy Amerykanie, żyjący w prawdziwym dobrobycie, czują do nas coraz gwałtowniejszą niechęć.

– Doszedłeś do jakichś wniosków? – zainteresowała się Leisha.

– Nie. Ale przyglądając się tym wszystkim komunom, wioskom i kampongom, doszedłem do czego innego. Jesteśmy nadmiernie indywidualistyczni.

Leishę ogarnęła fala rozczarowania. Ujrzała w myślach twarz swego ojca: „Liczy się tylko doskonałość. Doskonałość poparta indywidualnym wysiłkiem..." Sięgnęła po filiżankę Richarda.

– Jeszcze kawy?

Chwycił ją za przegub i spojrzał prosto w oczy.

– Nie zrozum mnie źle, Leisho. Nie mówię tu o pracy. Jesteśmy przesadnie indywidualistyczni, jeżeli wziąć pod uwagę całą resztę życia. Racjonalni w uczuciach. Zbyt osamotnieni. Izolacja zabija coś więcej niż tylko swobodny przepływ idei. Zabija radość.

Nie puszczał jej ręki. Spojrzała mu prosto w oczy i zobaczyła w nich głębię, której nie dostrzegła przedtem. Poczuła się, jakby zaglądała w głąb kopalnianego szybu – zawrót głowy i strach – i wiedziała, że na dnie może znaleźć złoto albo tylko mrok. Albo jedno i drugie.

– A Stewart? – zapytał Richard miękko.

– To już skończone. Młodzieńcza miłostka. – Jej głos zabrzmiał obco nawet dla niej.

– Może Kevin?

– Ależ skąd. To tylko przyjaźń.

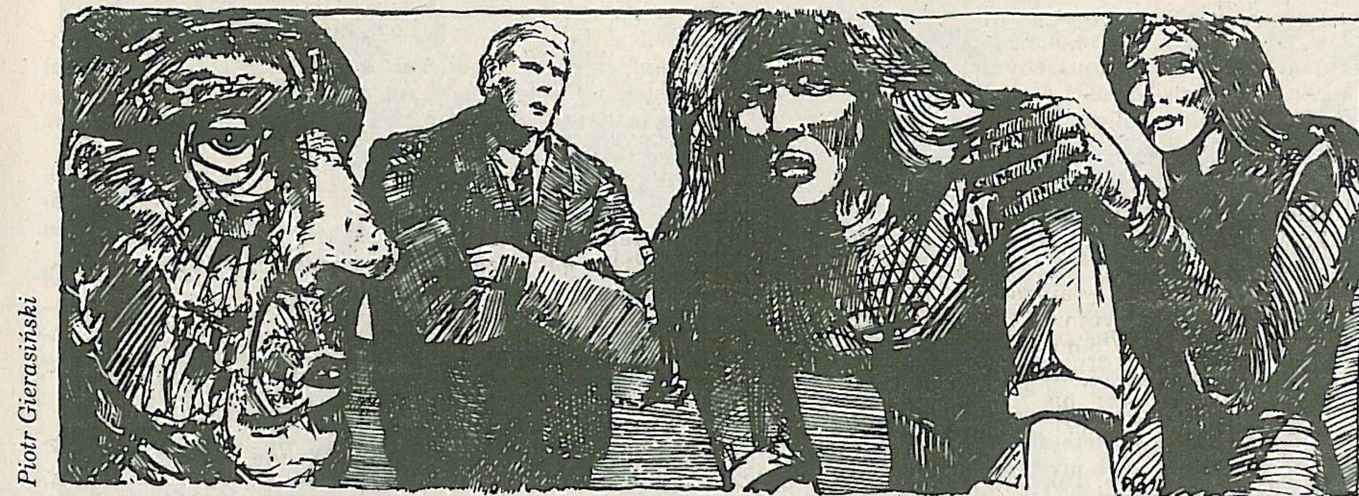
– Nie byłem pewien. A kto?

– Nikt.

Puścił jej rękę. Leisha popatrzyła na niego nieśmiało. Nagle roześmiał się.

– Radość, Leisho.

Przez myśli przebiegło jakieś echo, ale nie rozpoznała go, więc szybko zanikło, a ona zawtórowała Richardowi śmiechem lekkim i pienistym jak różowa wata cukrowa w środku lata.


Piotr Gierasiński

✣

– Przyjedź do domu, Leisho. Miał kolejny zawał – głos Susan Melling w słuchawce był wyraźnie zmęczony.

– Czy jest bardzo źle? – zapytała Leisha.

– Lekarze nie są pewni. A przynajmniej tak mówią. On chce się z tobą zobaczyć. Czy możesz zostawić szkołę na parę dni?

To był maj, ostatnie tygodnie przed końcowym egzaminem. Redaktorzy „Przeglądu prawnego" zaliczali semestr w trybie indywidualnym. Richard założył nową firmę, prowadził porady dla bostońskich rybaków, nękanych jakimiś niespodziewanymi zmianami prądów oceanicznych. Pracował po dwadzieścia godzin na dobę.

– Przyjadę – obiecała Leisha.

W Chicago było zimniej niż w Bostonie. Drzewa właśnie wypuszczały pączki. Na jeziorze Michigan grzywiaste fale rozbryzgiwały się w zimną mgiełkę, ich widok wypełniał całkowicie ogromne okna po wschodniej stronie domu ojca. Leisha dostrzegła, że od jakiegoś czasu mieszka tu Susan: na komodzie Camdena leżały jej szczotki, w korytarzu na stoliku kobiece czasopisma.

– Leisho – odezwał się Camden. Wyglądał staro. Miał ziemistą cerę, zapadnięte policzki, strapione i zdziwione spojrzenie właściwe mężczyznom, którzy własną moc uważali za coś równie naturalnego jak powietrze – coś, czego nie da się oddzielić od życia. W kącie pokoju na małym osiemnastowiecznym taborecie przycupnęła niska, krępa kobieta o włosach splecionych w dwa warkoczyki.

– Alice!

– Witaj, Leisho.

– Alice, szukałam cię... – Źle powiedziane. Leisha szukała, ale niezbyt gorliwie, odstręczona świadomością, że Alice nie chce, aby ją odnaleziono. – Co u ciebie?

– W porządku – odparła Alice. Wydawała się trochę nieobecna, łagodniejsza, zupełnie niepodobna do tej gniewnej Alicji sprzed sześciu lat, wśród surowych wzgórz Pensylwanii.

Camden z wysiłkiem poruszył się na łóżku. Patrzył na Leishę oczyma, które, jak widziała, nie utraciły nic z przenikliwej błękitnej jasności.

– Poprosiłem Alice, żeby przyjechała. I Susan. Susan jest ze mną już od dłuższego czasu. Umieram, Leisho.

Nikt nie zaprzeczył. Leisha, znając jego szacunek dla faktów, milczała. Miłość zaciskała się bolesną obręczą na piersi.

– John Jaworski ma u siebie mój testament. Żadne z was nie będzie mogło go obalić. Ale sam chciałem wam powiedzieć, co w nim jest. Przez ostatnie kilka lat likwidowałem i sprzedawałem co się dało. Większość moich akcji jest już w obiegu. Zostawiłem jedną dziesiątą Alice, jedną dziesiątą Elizabeth, jedną dziesiątą Susan, a resztę tobie, Leisho, bo jako jedyna posiadasz dość indywidualnych zdolności, żeby wykorzystać te pieniądze w całej pełni.

Leisha obejrzała się gwałtownie na Alice, która odwzajemniła jej spojrzenie z tym samym nieobecnym spokojem.

– Elizabeth? Moja matka... żyje?

– Tak – odparł Camden.

– Powiedziałeś mi, że umarła! Dawno temu!

– Owszem. Uznałem, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Nie podobało jej się, kim jesteś, była zazdrosna o to, kim będziesz. Nic nie mogła ci ofiarować. Co najwyżej emocjonalny uraz.

„Hiszpańscy żebracy..."

– To nie tak. Myliłeś się, tato. Ona jest moją matką... – nie miała siły dokończyć.

Camden nie próbował żadnych uników.

– Nie wydaje mi się, żebym się mylił. Ale teraz jesteś dorosła. Jeśli chcesz, możesz się z nią zobaczyć.

I dalej wpatrywał się w nią zapadniętymi, jasnymi oczyma. Pokój wokół Leishy zafalował. Ojciec ją okłamał. Susan przyglądała się jej z leciutkim uśmieszkiem na wargach. Czyżby czuła satysfakcję widząc, jak Camden traci szacunek córki? Czyżby przez cały ten czas była zazdrosna o ich związek, o Leishę?

Zaczynam myśleć jak Tony.

Ta myśl nieco ją ostudziła. Lecz nadal wpatrywała się w Camdena, który nieugięcie odwzajemniał jej spojrzenie, nieporuszony, nawet na łożu śmierci do końca przekonany o swojej racji.

Poczuła, że Alice bierze ją pod rękę, jak szepce cichutko, by nikt inny nie mógł usłyszeć:

– Z nim już koniec, Leisho. A ty szybko się pozbierasz.

✣

Alice zostawiła synka w Kalifornii, pod opieką mężczyzny, który od dwóch lat był jej mężem. Nazywał się Beck Watrous, prowadził firmę budowlaną. Poznali się, kiedy pracowała jako kelnerka w kurorcie na Sztucznych Wyspach. Beck zaadoptował Jordana, synka Alice.

– Zanim go poznałam, przeżyłam niezłe piekło – mówiła Alice tym swoim nieobecnym głosem. – Czy wiesz, że kiedy chodziłam w ciąży z Jordanem, marzyłam, że będzie Bezsenny? Tak jak ty. Zamieszkałam z Edem – w Pensylwanii, pamiętasz? Raz mnie odwiedziłaś. Zostałam z nim jeszcze przez dwa lata. Czułam się szczęśliwa, kiedy mnie bił. Żałowałam, że tato tego nie widzi. Ed przynajmniej mnie dotykał.

Leisha zacharczała dziwnie.

– Zostawiłam go w końcu, bo bałam się o Jordana. Pojechałam do Kalifornii i przez rok nic tylko się objadałam.

Doszłam do osiemdziesięciu sześciu kilogramów. – Alice miała, jak oceniała Leisha, jakieś metr sześćdziesiąt dwa. – Potem wróciłam do domu, żeby zobaczyć się z matką.

– Nic mi nie powiedziałaś – odezwała się Leisha. – Wiedziałaś, że żyje i nic mi nie powiedziałaś.

– Większość życia spędza na odwyku – odrzekła Alice z brutalną szczerością. – Na pewno nie zechciałaby się z tobą spotkać. Ale ze mną się spotkała. Rzuciła mi się na szyję i zaczęła obśliniać swoją „prawdziwą córkę", aż w końcu zerzygała mi się na sukienkę. Kiedy się od niej odsunęłam i przyjrzałam się tej sukience, zrozumiałam, że należało na nią narzygać – taka była brzydka. Demonstracyjnie brzydka. A ona zaczęła wykrzykiwać, jak to tato zrujnował jej życie, zrujnował moje, a wszystko przez ciebie. I wiesz, co wtedy zrobiłam?

– Co? – spytała Leisha drżącym głosem.

– Poleciałam z powrotem do domu, spaliłam wszystkie moje ciuchy, znalazłam pracę, zapisałam się do szkoły i straciłam dwadzieścia pięć kilo.

Siostry siedziały przez chwilę w milczeniu. Za oknem rozciągało się pogrążone w ciemności jezioro, nie rozświetlone ani światłem księżyca, ani blaskiem gwiazd. Nagle Leisha wzdrygnęła się, a Alice poklepała ją po ramieniu.

– Powiedz mi... – zaczęła Leisha, ale jakoś nie przychodziło jej do głowy nic, o co mogłaby zapytać. Chciała jedynie słyszeć pośród ponurych ciemności głos Alice, ten głos teraz tak łagodny i nieobecny, głos, któremu nie mógł już zaszkodzić wysoce szkodliwy fakt istnienia Leishy. Jej istnienie jako źródło destrukcji... – Powiedz mi coś o Jordanie. Ma pięć lat, prawda? Jaki jest?

Alice odwróciła głowę, żeby spokojnie popatrzyć jej w oczy.

– Jest zwyczajnym, szczęśliwym chłopcem. Zupełnie zwyczajnym.

✤

Camden zmarł tydzień później. Po pogrzebie próbowała zobaczyć się z matką, która przebywała w Centrum dla Nadużywających Alkoholu i Narkotyków w Brookfield. Powiedziano jej, że Elizabeth Camden nie widuje się z nikim oprócz swej jedynej córki, Alice Camden Watrous.

Susan Melling, w ciężkiej żałobie, odwiozła Leishę na lotnisko. Zręcznie i uparcie zadawała jej mnóstwo pytań o studia, o „Przegląd", o Harvard. Leisha odpowiadała monosylabami, ale Susan nie dawała za wygraną i wymuszała odpowiedzi: kiedy Leisha podejdzie do końcowego egzaminu, czy prowadzi już jakieś rozmowy w sprawie pracy? Stopniowo Leisha zaczęła wydobywać się z odrętwienia, w jakie popadła, kiedy trumna ze zwłokami ojca zjechała w głąb ziemi. Zdała sobie sprawę, że uporczywe wypytywanie wypływało z życzliwości i troski.

– Poświęcił wielu ludzi – odezwała się nagle.

– Nie mnie – odrzekła Susan. – Co najwyżej wtedy, kiedy zrezygnowałam z badań, żeby mu pomóc. Roger nie darzył zbytnim szacunkiem tych, co się poświęcają.

– Czy bardzo się mylił? – Pytanie zabrzmiało bardziej rozpaczliwie niż mogła się spodziewać.

– Nie, nie mylił się – Susan uśmiechnęła się smutno. – Nie powinnam była rzucać pracy. Potem przez długi czas nie mogłam dojść do siebie.

To on tak niszczy ludzi, zakołatało jej w głowie. Czy to Susan? A może Alice? W tej chwili nie potrafiła sobie przypomnieć. Znów widziała ojca w szklarni; sadził i przesadzał uwielbiane egzotyczne kwiaty.

Była zmęczona. Zwykłe postresowe zmęczenie mięśni – wiedziała, że dwudziestominutowy relaks postawi ją na nogi. Oczy, nieprzywykłe, piekły od łez. Oparła głowę o zagłówek fotela i przymknęła powieki.

– Mam ci coś do powiedzenia, Leisho.

Leisha otworzyła oczy.

– Chodzi o testament?

Susan uśmiechnęła się kwaśno.

– Nie. Ty chyba nie masz żadnych wątpliwości co do celowości takiego rozdziału majątku, prawda? Tobie taki podział wydaje się uzasadniony. Ale nie o to chodzi. Zespół badawczy Instytutu i Akademii Medycznej z Chicago zakończył już analizę mózgu Berniego Kuhna.

Leisha odwróciła się, żeby spojrzeć w oczy Susan. Zaskoczyła ją wielość uczuć malujących się na jej twarzy. Determinacja, satysfakcja, złość i jeszcze coś, czego Leisha nie była w stanie nazwać.

– Mamy zamiar opublikować wyniki w „New England Journal of Medicine". Zachowaliśmy szczególną ostrożność – nie było żadnych przecieków do pracy codziennej. Ale chciałam ci osobiście powiedzieć o tym, co odkryliśmy, więc przygotuj się.

– Mów – rzuciła Leisha. Czuła dziwny ucisk w piersiach.

– Pamiętasz, jak kiedyś wzięliście interleukin-1, żeby zobaczyć, jak to jest, kiedy się śpi? Mieliście wtedy po szesnaście lat.

– Skąd o tym wiesz?

– Byliście obserwowani znacznie baczniej niż się wam wydaje. Pamiętasz, że bolała cię wtedy głowa?

– Tak. – Ją i Richarda, i Jeanine... Jeanine porzuciła łyżwiarstwo, kiedy została zdyskwalifikowana przez Komitet Olimpijski. Była teraz przedszkolanką w Butte w Montanie.

– Chciałam z tobą pomówić właśnie o interleukinie-1. A przynajmniej częściowo. Należy on do sporej grupy substancji, które pobudzają system immunologiczny. Stymulują produkcję przeciwciał, zwiększają aktywność białych ciałek krwi i innych substancji wzmacniających odporność. Zwykli ludzie otrzymują dawki IL-1 podczas snu wolnofalowego. To oznacza, że ich... że nasz... że podczas snu nasz system immunologiczny odbiera dodatkowe bodźce pobudzające. Jedno z pytań, jakie my, lekarze, zadawaliśmy sobie od samego początku, brzmiało: czy dzieci, które nigdy nie śpią i nie otrzymują dawek IL-1 będą częściej chorować?

– Nigdy nie chorowałam – wtrąciła Leisha.

– Owszem, chorowałaś. Przeszłaś wietrzną ospę i kilka drobnych przeziębień pod koniec czwartego roku życia – wyliczyła precyzyjnie Susan. – Ale ogólnie rzecz biorąc, byliście dosyć zdrową gromadką. Tak więc nam, naukowcom, pozostała teoria alternatywna: że wzmożona aktywność immunologiczna wywołała zwiększającą się w czasie snu podatność na infekcje. Prawdopodobnie wiąże się ona w jakiś sposób z fluktuacją temperatury ciała w czasie snu paradoksalnego. Innymi słowy, sen wywołuje wzmożoną podatność na infekcje, której muszą przeciwdziałać takie endogeniczne pyrogeny jak IL-1. Skoro sen stanowił problem, to jego rozwiązaniem były substancje pobudzające system immunologiczny. Gdyby nie sen, taki problem w ogóle by nie zaistniał. Rozumiesz, o czym mówię?

– Tak.

– Oczywiście, że rozumiesz. Głupie pytanie. – Susan odgarnęła włosy z twarzy. Przy skroniach zaczynały siwieć. Za uchem miała drobniutką plamkę przebarwienia.

– Przez wszystkie te lata zebraliśmy tysiące, a może i setki tysięcy tomografii fotonowych mózgów – twojego i innych dzieci – wraz z niezliczonymi EEG, próbkami płynu mózgowo-rdzeniowego i całej tej reszty. Ale tak naprawdę nie mogliśmy zajrzeć wam do mózgów, nie mogliśmy być pewni, co się tam właściwie dzieje. Dopóki Bernie Kuhn nie trzasnął w tę barierkę.

– Susan – przerwała jej Leisha – dosyć wprowadzeń. Powiedz od razu.

– Nie będziecie się starzeć.

– Co?

– Kosmetycznie, oczywiście, tak. Siwe włosy, zmarszczki, worki pod oczami. Ale nieobecność peptydów wywołujących sen i wszystko, co się z tym wiąże, wpływa na system immunologiczny i regenerację tkanki



Piotr Gierasiński

w sposób, którego nie jesteśmy w stanie pojąć. Wątroba Berniego Kuhna była w idealnym stanie. Podobnie płuca, serce, węzły chłonne, trzustka i szpik kostny. Nie tylko młode i zdrowe – po prostu idealne. W jego organizmie zaistniała jakaś wzmożona aktywność systemu regeneracji tkanek, która najwyraźniej jest pochodną działań systemu immunologicznego, ale radykalnie różną od tego, czego mogliśmy się spodziewać. Organy nie wykazują najmniejszych śladów zużycia – nawet tak niewielkich jak w przypadku siedemnastoletniego chłopca. One się po prostu regenerują – wciąż od nowa powracają do stanu idealnego...

– Jak długo to potrwa? – szepnęła Leisha.

– Któż to, do cholery, może wiedzieć? Bernie Kuhn był młody – jest szansa, że istnieje jakiś mechanizm kompensacyjny, który w pewnej chwili utnie wszystko i po prostu rozpadniecie się jak jakaś pieprzona galeria Dorianów Greyów. Ale nie sądzę. Nie wydaje mi się też, żeby to mogło trwać wiecznie, czegoś takiego żadna regeneracja tkanek nie byłaby w stanie dokonać. Ale z pewnością potrwa długo, bardzo długo.

Leisha zapatrzyła się w rozmazane refleksy światła na przedniej szybie samochodu. W myślach widziała twarz ojca na tle satynowego obicia trumny, otoczoną ścianą białych róż. Jego serce, nie regenerowane, zużyło się.

– W tej sprawie wszelkie przewidywania nie wykraczają poza czystą spekulację. Wiemy, że struktury białkowe, które wywołują potrzebę snu u zwykłych ludzi, przypominają składnik ściany komórkowej bakterii. A może nie ma żadnego związku między snem a podatnością na działanie drobnoustrojów chorobotwórczych. Ale brak pewności nigdy jeszcze nie powstrzymał brukowej prasy. Chciałam cię uprzedzić, bo z pewnością nazwą was supermanami. *Homo perfectus*. Nieśmiertelni.

Obie kobiety siedziały przez chwilę w milczeniu. W końcu pierwsza odezwała się Leisha:

– Mam zamiar powiedzieć o tym reszcie. Przez sieć. Nie martw się, zachowamy wszelkie środki ostrożności. To Kevin Baker zaprojektował sieć Grupy; nikt nie dowie się nic ponad to, co sami będziemy chcieli ujawnić.

– Jesteście aż tak dobrze zorganizowani?

– Tak.

Usta Susan poruszały się niemo. Odwróciła wzrok.

– Lepiej chodźmy już. Spóźnisz się na samolot.

– Susan...

– Tak?

– Dziękuję.

– Nie ma za co – odparła Susan, a w jej głosie Leisha usłyszała to samo, co przedtem ujrzała na jej twarzy, a czego nie potrafiła wtedy nazwać: tęsknotę.

✤

„Regeneracja tkanki". „Długi, długi czas" – krew śpiewała jej w uszach, kiedy leciała do Bostonu. „Regeneracja tkanki". No i na koniec: „nieśmiertelni". Nie, nie przesadzaj, napominała się surowo. Ale krew nie słuchała.

– Pani się często uśmiecha – zauważył mężczyzna siedzący obok, jakiś biznesmen, który najwyraźniej jej nie rozpoznał. – Wraca pani z jakiegoś przyjęcia?

– Nie, z pogrzebu.

Mężczyzna obrzucił ją najpierw zaskoczonym, a po sekundzie oburzonym spojrzeniem. Leisha wyjrzała za okno. Daleko w dole rzeki wyglądały jak mikroobwody, pola jak schludne katalogi. A na horyzoncie widziała puszyste białe chmury niby naręcza białych kwiatów, egzotyczne, bujne kwiatostany w pełnej światła cieplarni.

✤

List nie był grubszy niż zwykły wydruk pocztowy, ale wydruk zaadresowany ręcznie był taką rzadkością, że Richard zaniepokoił się. To mógł być ładunek wybuchowy. Leisha przyjrzała się kopercie: PANI LIESHA CAMDEN. Drukowane litery, błąd ortograficzny.

– To mi wygląda na pismo dziecka – powiedziała.

Richard stał na szeroko rozstawionych nogach, lekko pochylony w przód.

– Może specjalnie. Miałaś pomyśleć, że to dziecko. Uznali, że wobec dziecka będziesz mniej podejrzliwa.

– Jacy oni? Richard, czy my już ze szczętem zwariowaliśmy?

Nie próbował się wymigać.

– Tak. Wobec zaistniałych okoliczności – tak.

Tydzień wcześniej „New England Journal of Medicine" opublikował artykuł Susan. W godzinę później telewizja i prasa zatrzęsły się od spekulacji, dramatyzowania, gniewu i strachu. Leisha i Richard razem z innymi członkami Grupy śledzili i segregowali każdy przejaw któregoś z tych czterech zjawisk, próbując ustalić, jaki typ reakcji przeważa. Wyglądało to mniej więcej tak: spekulacja (Bezsenni będą prawdopodobnie żyć przez całe stulecia, co w rezultacie może doprowadzić do...) dramatyzowanie (jeżeli Bezsenny żeniłby się tylko ze Śpiącymi, mógłby żyć dostatecznie długo, żeby mieć tuzin kolejnych żon – i kilka tuzinów dzieci w tej zadziwiającej, wymieszanej rodzinie), gniew (manipulowanie prawami natury dało nam w rezultacie nienaturalnych, tak zwanych ludzi, którzy żyć będą z niezasłużoną przewagą czasową. Ten czas wykorzystają na powiększanie rodzin, gromadzenie bogactw i potęgi, niedostępnych dla reszty z nas...) i strach (ile potrwa, zanim podbije nas Superrasa?).

– To tylko różne odmiany tego samego lęku – podsumowała w końcu Carolyn Rizzolo i Grupa przerwała prace.

Leisha miała wkrótce podejść do końcowego egzaminu. Codziennie na ulicach miasteczka studenckiego, na korytarzach i salach wykładowych towarzyszyły jej złośliwe komentarze, o których natychmiast zapominała w wirze pracy trudnej sesji przedegzaminacyjnej, kiedy to wszyscy studenci zredukowani zostali do identycznych petentów kołaczących do drzwi wielkiego uniwersytetu. Potem, wyczerpana, wracała w milczeniu do domu, do Richarda i Grupy, przez cały czas świadoma spojrzeń ludzi na ulicach, świadoma, że jej ochroniarz, Bruce, idzie za nią krok w krok.

– Uspokoi się – mówiła. Richard nie odpowiadał.

Władze miejskie w Salt Springs w Teksasie wydały rozporządzenie zakazujące wydawania Bezsennym koncesji na sprzedaż alkoholu. Zakaz ów motywowano twierdząc, iż prawa obywatelskie oparte na zapisie w klauzuli do Deklaracji Niepodległości stanowiącej, że *wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi sobie* – nie mogą odnosić się do Bezsennych. W promieniu stu mil wokół Salt Springs nie mieszkał ani jeden Bezsenny, a o koncesję na sprzedaż alkoholu od dziesięciu lat nikt się nie starał, niemniej „United Press" i „Datanet News" natychmiast podchwyciły tę historyjkę i w ciągu dwudziestu czterech godzin we wszystkich krajowych gazetach ukazały się ogniste wstępniaki argumentujące za lub przeciw.

Pojawiły się też następne lokalne rozporządzenia. W Pollux, w Pensylwanii, można Bezsennemu odmówić wynajęcia czynszowego mieszkania. Rozporządzenie motywowano twierdząc, że z nadnaturalnie wydłużonej aktywności życiowej Bezsennych wyniknie wzmożone zużycie własności gospodarza, a co za tym idzie większe rachunki. W Cranton Estates, w Kalifornii, zabroniono Bezsennym prowadzenia punktów usługowych czynnych całą dobę pod pretekstem „nieuczciwej konkurencji". W Iroquis County, w stanie Nowy Jork, odsunięto ich od zasiadania w ławach przysięgłych, twierdząc przy tym, że ława, w której zasiadałby Bezsenny ze skrzywionym pojmowaniem czasu, nie stanowiłaby sądu przysięgłych „równych rangą".

– Wszystkie te przepisy zostaną obalone przez sądy wyższej instancji – oświadczyła Leisha. – Ale, mój Boże, ile na to pójdzie pieniędzy i czasu! – A gdzieś w zakamarkach świadomości błysnęła myśl, że zdanie to zabrzmiało, jakby płynęło z ust Rogera Camdena.

W stanie Georgia, gdzie niektóre rodzaje dobrowolnych stosunków seksualnych między dwojgiem dorosłych ciągle jeszcze uznawane były za przestępstwo, również miłość fizyczną między Bezsennym a Śpiącym uznano za przestępstwo trzeciego stopnia, klasyfikując ją jako „bestialstwo".

Kevin Baker napisał program, który z ogromną szybkością selekcjonował spośród serwisów informacyjnych wszystko to, co dotyczyło prześladowań i napaści na Bezsennych, a następnie segregował je według typów. Pliki udostępniono wszystkim za pośrednictwem sieci. Leisha przejrzała je, po czym przywołała Kevina.

– Czy nie mógłbyś skonstruować podobnego programu, który rejestrowałby przypadki życzliwości wobec Bezsennych? Otrzymujemy bardzo skrzywiony obraz.

– Masz rację – przyznał Kevin, nieco zaskoczony. – Nie pomyślałem o tym.

– No to pomyśl – rzuciła ponuro Leisha. Obserwujący ją Richard nie odezwał się ani słowem.

Najbardziej przygnębiały ją doniesienia o sytuacji małych dzieci. Wyizolowane w szkołach, wyzywane i obrażane przez własne rodzeństwo, atakowane przez chuliganów z sąsiedztwa i odrzucane przez rodziców, którym zachciało się kiedyś wyjątkowego potomka, ale przecież nie takiego, który może żyć przez kilka stuleci. Zarząd szkół w Board River, w stanie Iowa, zadecydował przez głosowanie, że Bezsennym dzieciom należy zakazać uczęszczania do publicznych szkół, ponieważ ich zdolności powodowały u innych poczucie niższości, co z kolei mogło „zaszkodzić im w nauce". Rada wyasygnowała fundusze na opłacenie Bezsennym nauki w domach, jednak do prowadzenia takich zajęć nie zgłosił się ani jeden nauczyciel. Doszło do tego, że rozmowy z dziećmi – nieraz całonocne – pochłaniały Leishy tyle samo czasu, co przygotowania do egzaminu, który zaplanowano na lipiec.

Stella Bevington przestała używać modemu.

Drugi program Kevina katalogował artykuły, w których domagano się sprawiedliwego traktowania Bezsennych. Zarząd szkół w Denver wyasygnował fundusze na program, dzięki któremu szczególnie uzdolnione dzieci, nie wyłączając Bezsennych, mogły lepiej wykorzystać swoje zdolności i spożytkować je w pracy zespołowej, nawet dla nauczania młodszych od siebie. W Rive Beau, w Luizjanie, do rady miejskiej wybrano Bezsenną Danielle du Cherney, choć jako dwudziestodwulatka była właściwie zbyt młoda do sprawowania tej funkcji. Prestiżowy zakład badawczy Halleya-Halla celowo nagłośnił sprawę zatrudnienia Christophera Amrena, Bezsennego z tytułem doktorskim z medycyny wewnątrzkomórkowej.

Dora Clarq, Bezsenna z Dallas, otworzyła adresowany do siebie list i ładunek wybuchowy oderwał jej rękę.

Richard i Leisha wpatrywali się w leżącą na stoliku kopertę. Papier był dość gruby, kremowy, lecz niezbyt wykwintny – papier gazetowy zabarwiony na kolor pergaminu. Nie było adresu zwrotnego. Richard wezwał przez sieć Liz Bishop, Bezsenną, która studiowała kryminalistykę w Michigan. Nigdy przedtem z nią nie rozmawiał – Leisha też nie – niemniej połączyła się z nimi natychmiast i poradziła im, jak otworzyć list, oferując się, że jeśli wolą, przyleci zrobić to osobiście. Richard i Leisha, postępując według jej wskazówek, przygotowali w piwnicy wieżowca zdalnie sterowaną detonację. Jednak nic nie wybuchło. Kiedy koperta była otwarta, wyjęli list i przeczytali:

Droga panno Camden

Była pani całkiem w porządku i przykro mi, że muszę to zrobić, ale odchodzę. W związkach dają mi ostro popalić, nie oficjalnie, ale sama pani wie, jak to jest. Na pani miejscu nie szedłbym do związków po nowego ochroniarza, tylko bym próbował znaleźć jakiegoś prywatnie. Ale proszę uważać. Jeszcze raz przepraszam, ale ja też muszę jakoś żyć.

Bruce

– Sama nie wiem: śmiać się czy płakać – powiedziała Leisha. – My tu ściągamy cały ten sprzęt, godzinami montujemy wszystko, żeby detonator nie zadziałał...

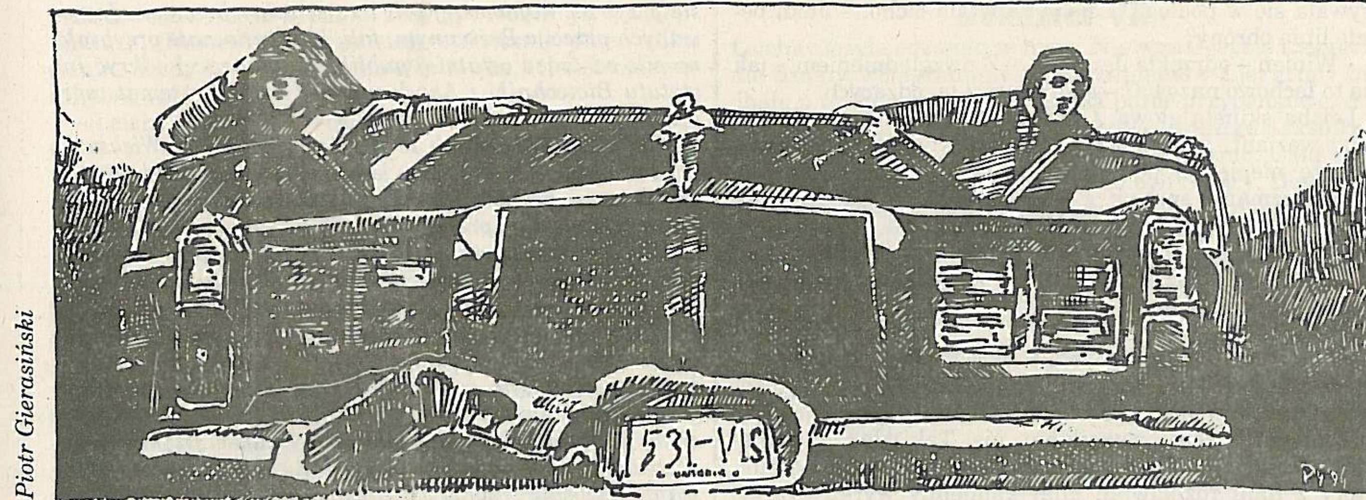
– Co nie znaczy, że ja miałem akurat coś lepszego do roboty – zauważył Richard. Na fali resentymentu wobec Bezsennych niemal wszyscy jego klienci – z wyjątkiem dwóch – wrażliwi na sytuację rynkową, a zatem i dbali o opinię publiczną, odwołali swoje zamówienia.

Sieć Grupy, ciągle jeszcze włączona na terminalu, dzwoniła przeraźliwym dźwiękiem alarmu. Leisha pierwsza dopadła komputera. To był Tony.

– Potrzebuję twojej pomocy prawnej, jeśli się zgodzisz. Próbują wykurzyć nas z Azylu. Bardzo proszę, przyleć jak najprędzej.

✤

Azyl wyglądał jak surowe, brunatne rysy na późnowiosennej ziemi. Leżał w górach Allegheny w stanie Nowy Jork, na starych wzgórzach porośniętych sosną i białym orzechem. Od najbliższego miasta, Belmont, wiodła doń doskonale gładka szosa. Wszędzie wokół stały niewysokie, nie wymagające konserwacji budynki w różnym stopniu zaawansowania budowy, zaprojektowane prosto, lecz z wdziękiem. Jennifer Sharifi, która wyjechała im naprzeciw, była wyraźnie przemęczona.



Piotr Gierasiński

– Tony chciałby z wami pogadać, ale prosił, żebym najpierw oprowadziła was po Azylu.

– Co się dzieje? – zapytała cicho Leisha. Nie znała wcześniej Jennifer Sharifi, ale nigdy jeszcze nie widziała Bezsennego w tak kiepskim stanie – wynędzniałego, wyczerpanego i znużonego – chyba że znalazłby się pod wpływem długotrwałego i potężnego stresu.

Jennifer nie próbowała wymigać się od odpowiedzi.

– Pogadamy później. Najpierw przyjrzyjcie się Azylowi. Tony bardzo się liczy z twoim zdaniem, Leisho, więc chciałby, żebyś wszystko obejrzała.

W każdym budynku znajdowały się sypialnie dla pięćdziesięciu osób, a także wspólne kuchnie, łazienki, jadalnie, pokoje do wypoczynku oraz istny labirynt gabinetów, pracowni i laboratoriów przeznaczonych do pracy.

– Nazywamy je sypialniami nie bacząc na etymologię – Jennifer próbowała się uśmiechnąć. Leisha szybko zerknęła na Richarda. Ten uśmiech nie bardzo się udał.

Wbrew samej sobie nie mogła powstrzymać się od podziwu dla niezwykłej dokładności, z jaką Tony zaprojektował każdy szczegół. Zrobił wszystko, żeby wszyscy mogli żyć we wspólnocie nie tracąc nic ze swej indywidualności. Była tu nawet sala gimnastyczna i mały szpitalik („Pod koniec roku będziemy mieli osiemnastu lekarzy z dyplomami Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy, a czterech z nich zamierza od razu tu przyjechać"), żłobek, przedszkole, szkoła i farma intensywnej uprawy.

– Większość artykułów żywnościowych będzie oczywiście pochodziła z zewnątrz. Tak jak i zatrudnienie dla naszych ludzi, chociaż dołożymy wszelkich starań, by jak największą część pracy mogli wykonać na miejscu, za pośrednictwem sieci komputerowej. Nie odcinamy się od świata – chcemy jedynie stworzyć sobie bezpieczne miejsce, z którego będziemy mogli z nim handlować.

Leisha nie odezwała się.

Poza urządzeniami zasilającymi i samowystarczalnym generatorem energii Y największe wrażenie zrobiło na niej planowe zasiedlanie. Tony zainteresował swym projektem Bezsennych ze wszystkich dosłownie dziedzin, które mogły im się przydać na miejscu albo w kontaktach ze światem zewnętrznym.

– Jako pierwsi przybyli prawnicy i księgowi – wyjaśniła Jennifer. – To nasza pierwsza linia obrony. Tony uznał, że większość naszych współczesnych bitew o władzę rozgrywa się na sali konferencyjnej lub sądowej.

Ale nie tylko. Na koniec Jennifer pokazała im plany obrony fizycznej. Wyjaśniła im z mieszaniną wyzwania i dumy w głosie, że dołożono wszelkich starań, aby powstrzymać napastników nie czyniąc im krzywdy. Całe 150 mil kwadratowych, które nabyła Jennifer, zostało opasane ścisłym kręgiem elektronicznego nadzoru. Leisha pomyślała zadziwiona, że to obszar większy niż niektóre okręgi. Każdy, kto wtargnąłby na teren posiadłości, automatycznie uruchamiał pole siłowe, które potraktowałoby go elektrowstrząsami.

– Ale tylko po zewnętrznej stronie pola. Nie chcemy, żeby któreś z naszych dzieci zrobiło sobie krzywdę.

Atak bezzałogowych pojazdów i robotów można było wykryć dzięki systemowi, który lokalizował wszystkie poruszające się metalowe przedmioty wykraczające poza pewną normę wagową. Każdy poruszający się metalowy przedmiot, który nie miał na sobie specjalnego sygnalizatora zaprojektowanego przez Donnę Pospula, był podejrzany.

– Oczywiście, nie mamy żadnych zabezpieczeń na wypadek nalotów powietrznych albo ataku regularnych jednostek wojskowych, ale tego się raczej nie spodziewamy. Co najwyżej zawistników gonionych własną nienawiścią – jej głos załamał się lekko.

Leisha dotknęła palcami planów obronnych. Budziły jej niepokój.

– Jeżeli nie zdołamy się zintegrować ze światem... wolny handel powinien oznaczać swobodę poruszania się.

– Tak, no cóż – odezwała się Jennifer w sposób raczej mało charakterystyczny dla Bezsennego; cynicznie i mało komunikatywnie. Leisha podniosła na nią wzrok. – Muszę ci o czymś powiedzieć.

– O czym?

– Toniego tu nie ma.

– A gdzie jest?

– W więzieniu okręgowym. To prawda, że staczaliśmy tu prawdziwe bitwy o rejonizację – o rejonizację! Ale mniejsza z tym. Ważniejsze jest to, co zdarzyło się dzisiaj rano. Toniego aresztowano pod zarzutem uprowadzenia Timmy'ego de Marzo.

Pokój zafalował.

– FBI?

– Tak.

– Skąd... jak się dowiedzieli?

– Któryś z agentów musiał w końcu wpaść na trop. Nie powiedzieli jak. Tony potrzebuje adwokata, Leisho. Dana Monteiro już się zgodziła, ale on chce, żebyś to ty poprowadziła sprawę.

– Jennifer... przecież ja jeszcze nie zdałam egzaminu – dopiero w lipcu.

– On mówi, że może poczekać. Do tego czasu sprawę poprowadzi Dana. Zdasz?

– Oczywiście. Ale już załatwiłam sobie pracę u Morehouse'a, Kennedy'ego i Andersona w Nowym Jorku... – urwała. Richard spoglądał na nią twardo, Jennifer wpa-

trywała się w podłogę. Leisha zapytała cicho: – Jaka będzie linia obrony?

– Winien – odrzekła Jennifer. – Z uwzględnieniem – jak się to fachowo nazywa? – okoliczności łagodzących.

Leisha skinęła głową. Obawiała się, że Tony wybierze inny wariant, a to oznaczało dalsze kłamstwa, wybiegi, całą tę niepiękną politykę. Myślami przebiegła szybko przez rozmaite sprawy z okolicznościami łagodzącymi, precedensy, testy... Można by wykorzystać sprawę Clements przeciwko Voyowi...

– Dana jest teraz w więzieniu – powiedziała Jennifer. – Pojedziesz tam ze mną?

– Tak.

W Belmont, w siedzibie władz okręgowych, nie pozwolono im zobaczyć się z Tonym. Dana Monteiro, jako jego adwokat, mogła wchodzić swobodnie. Leisha, która oficjalnie nie została jeszcze prawnikiem, nie. Tak właśnie powiedziano im w biurze prokuratora okręgowego. Urzędnik, który z nimi rozmawiał, miał kamienny wyraz twarzy, a kiedy odwrócili się do wyjścia, splunął za nimi, nie bacząc na to, że poplami śliną podłogę własnego sądu.

Richard i Leisha pojechali wynajętym samochodem na lotnisko, skąd mieli wrócić do Bostonu. Po drodze Richard powiedział Leishy, że odchodzi. Chce natychmiast przeprowadzić się do Azylu, żeby pomóc przy planowaniu i budowie.

✤

Większość czasu spędzała teraz w swoim mieszkaniu, przygotowując się pilnie do egzaminu albo komunikując się z Bezsennymi dziećmi za pośrednictwem sieci Grupy. Nie zatrudniła nowego ochroniarza na miejsce Bruce'a, nie bardzo więc miała ochotę wychodzić, co z kolei budziło w niej złość na samą siebie. Raz czy dwa razy dziennie przeglądała wycinki prasowe, dostarczone przez maszynę Kevina.

Pojawiły się pierwsze zwiastuny nadziei. „New York Times" wydrukował artykuł wstępny, szeroko rozkolportowany przez elektroniczne serwisy informacyjne.

SUKCES A NIENAWIŚĆ:
KRZYWA LOGICZNA,
KTÓREJ WOLIMY NIE WIDZIEĆ.

Stany Zjednoczone nigdy nie należały do krajów, w których ceni się spokój, logikę i racjonalność. My, Amerykanie, wykazujemy tendencję do określania tych cech przymiotnikiem „zimne". Wykazujemy także wyraźną skłonność do podziwu wobec uczuć i czynów; w pamiętnikach i opowieściach zawsze wynosimy pod niebiosa nie tych, którzy ustanowili Konstytucję, ale tych, którzy bronili jej pod Iwo Jima. Sławimy nie osiągnięcia intelektualne Stephena Hawkinga, ale heroiczne cierpienia Charlesa Lindbergha, nie twórców kolei jednoszynowej i komputerów, które nas jednoczą, ale twórców gniewnych protestsongów, które nas dzielą.

Pewnym szczególnym aspektem tego zjawiska wydaje się fakt, iż narasta ono gwałtownie w czasach dobrobytu. Im lepiej mają się nasi obywatele, tym silniejszą żywią pogardę dla chłodnego rozumowania, które im ten dobrobyt zapewnia, i tym większy żywią sentyment dla uczuciowości. Weźmy jako przykład nie kończący się karnawał szalonych lat dwudziestych czy pogardę dla establishmentu w latach sześćdziesiątych zeszłego wieku. Z kolei w naszym własnym stuleciu należałoby przyjrzeć się bacznie okresowi nadzwyczaj dobrej koniunktury, którą zawdzięczamy energii Y i zastanowić się nad tym, że Kenzo Yagai uznawany był przez wszystkich – z wyjątkiem własnych zwolenników – za chciwego i zimnokrwistego logika. Jednocześnie cały naród prześcigał się w pochlebstwach pod adresem pisarza neonihilisty Stephena Castelli, aktorki Brendy Foss czy nurka grawitacyjnego Jima Morse'a Lutera.

Ale przede wszystkim – kiedy już rozważamy ten problem w naszych ogrzanych energią Y domach – należałoby się przyjrzeć najnowszej fali irracjonalnych emocji skierowanych przeciw Bezsennym, fali, która znacznie przybrała na sile od czasu ostatniej publikacji dotyczącej odkryć Instytutu Biotechniki i Akademii Medycznej na temat regeneracji tkankowej u Bezsennych.

Większość Bezsennych to ludzie inteligentni. Większość z nich to ludzie opanowani, jeżeli zdefiniować to powszechnie znienawidzone słowo jako kierowanie własnej energii na rozwiązywanie problemów, a nie ku związanym z nimi emocjom. (Nawet ostatnia zdobywczyni nagrody Pulitzera, Carolyn Rizzolo, ukazała nam w swojej sztuce zachwycającą grę idei, nie zaś burzę rozszalałych namiętności.) Wszyscy oni wykazują naturalny pęd do osiągnięć, pęd tym większy, iż dysponują dodatkowo jedną trzecią życia, którą mogą w tym celu wykorzystać. Co więcej, ich osiągnięcia leżą na ogół w sferach bliższych logice niż emocjom, takich jak komputery, prawo, finanse, fizyka, medycyna doświadczalna. Są racjonalni, obowiązkowi, opanowani, radośnie młodzi i prawdopodobnie bardzo długowieczni.

Za wszystko to obywatele naszych wyjątkowo zamożnych Stanów Zjednoczonych darzą ich coraz większą nienawiścią.

Czy owa nienawiść, którą – jak się zdaje – podsycamy i pielęgnujemy troskliwie, naprawdę wyrasta (jak wielu usiłuje nam wmówić) z niezasłużonej przewagi, którą Bezsenni osiągnęli kosztem reszty społeczeństwa i dzięki której mogą teraz zagrozić naszej życiowej stabilizacji? Czy to rzeczywiście zawiść o sukcesy Bezsennych? Czy też może nienawiść nasza wyrasta z głębszego i bardziej niebezpiecznego źródła: z naszej starej amerykańskiej tradycji strzelania z biodra? Może to stąd właśnie bierze się nienawiść do wszystkiego, co logiczne, spokojne, co rozważne? A może to nienawiść skierowana przeciwko wyższej umysłowości?

Jeśli tak, to chyba powinniśmy zastanowić się głębiej nad ojcami tego narodu: Jeffersonem, Washingtonem, Paine'em, Adamsem – przedstawicielami Wieku Rozumu. Ludzie ci stworzyli nasz uporządkowany system prawny właśnie po to, by chronić własność i dorobek osiągnięty dzięki indywidualnemu wysiłkowi zrównoważonego i racjonalnego umysłu. Bezsenni mogą stać się najpoważniejszym sprawdzianem naszej wiary w prawo i porządek. Nie, Bezsenni nie zostali „stworzeni równymi", lecz nasz do nich stosunek powinien być zbadany z uwagą podobną tej, którą zwykli stosować prawoznawcy. To, czego dowiemy się o kierujących nami pobudkach, może nam się nie spodobać, ale nasza wiarygodność zależy od tego, jak rzeczowo i starannie owo badanie przeprowadzimy. Reakcje na najnowsze odkrycia zdają się wykazywać braki zarówno w rzeczowości, jak i w racjonalizmie.

Prawo to nie teatr. Zanim zaczniemy tworzyć prawa, które mają odzwierciedlać nasze napuszone i koturnowe odczucia, powinniśmy się upewnić, czy dobrze pojmujemy tę różnicę.

Leisha miała ochotę uściskać samą siebie, kiedy stała uśmiechnięta wpatrując się w ekran monitora. Zadzwoniła do redakcji „New York Timesa" z pytaniem, kto jest autorem artykułu wstępnego. Sekretarka, z początku uprzejma i miła, nagle stała się obcesowa i szorstka. „Times" nie może udzielić informacji, zanim nie przeprowadzi wewnętrznego śledztwa.

Ale i to nie zdołało popsuć nastroju Leishy. Kręciła się radośnie po całym mieszkaniu, pierwszy raz po wielu dniach wysiadywania przy komputerze. Uniesienie domagało się wyładowania w fizycznej pracy. Zmyła naczynia, pozbierała książki. W umeblowaniu mieszkania widać było wyraźne luki po przedmiotach, które zabrał ze sobą Richard. Trochę już uspokojona, poprzesuwała meble, żeby puste miejsca zniknęły.

Zadzwoniła Susan Melling, żeby powiedzieć jej o wstępniaku z „Timesa". Porozmawiały serdecznie przez kilka minut. Kiedy Leisha odwiesiła słuchawkę, telefon zadzwonił ponownie.

– Leisha? Głos ci się wcale nie zmienił. Tu Stewart Sutter.

– Och, to ty, Stewart.

Nie widziała go już tak długo. Ich romans trwał dwa lata, potem zwyczajnie się rozpłynął, nie z powodu jakichś bolesnych zdarzeń, ale po prostu pod presją pracy na uczelni. Stojąc przy terminalu komunikacyjnym i słuchając jego głosu, Leisha niespodzianie znów poczuła na piersiach jego ręce, na nowo znalazła się na wymiętym łóżku w akademiku, wtedy, kiedy wreszcie odkryła, do czego właściwie służy ten mebel. Bezcielesne dłonie stały się dłońmi Richarda i poczuła, jak przeszywa ją nagły ból.

– Posłuchaj – mówił dalej Stewart. – Dzwonię, bo mam pewne informacje, o których powinnaś chyba wiedzieć. Za tydzień zdajesz egzamin, zgadza się? A potem idziesz na staż do Morehouse'a, Kennedy'ego i Andersona, prawda?

– Skąd ty to wszystko wiesz, Stewart?

– Takie tam plotki z męskiego przybytku. No, może nie aż tak źle. Ale społeczność prawnicza Nowego Jorku – w każdym razie ta akurat jej część – jest mniejsza niż przypuszczasz. A ty raczej rzucasz się w oczy.

– Tak – potwierdziła obojętnie.

– Nikt nie ma najmniejszych wątpliwości, że przejdziesz. Ale za to istnieją pewne wątpliwości co do twojej pracy u Morehouse'a i Kennedy'ego. Dwaj poważni wspólnicy, Alan Morehouse i Seth rozmyślili się pod wpływem tego... zamieszania. „Niekorzystny dla firmy rozgłos", „prawo zamieni się w cyrk", bla bla bla... Znasz to. Ale obstaje za tobą dwoje najpotężniejszych: Ann Carlyle i Michael Kennedy, sam stary we własnej osobie. On ma głowę na karku. W każdym razie chciałem, żebyś się orientowała w sytuacji i żebyś wiedziała, na kogo możesz liczyć w przyszłych bojach.

– Dziękuję – odrzekła Leisha. – Stew... Dlaczego ci tak zależy, żebym dostała tę pracę? Przecież to chyba nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

Na chwilę w słuchawce zaległa cisza. Potem Stewart odezwał się, bardzo cichutko:

– Nie wszyscy z nas to tępogłowi, Leisho. Sprawiedliwość jeszcze coś dla nas znaczy. A także osiągnięcia.

Poczuła w duszy światło, baneczkę rozradowanego światła.

– Wielu popiera was także w tej idiotycznej batalii o rejonizację Azylu. Pewnie nie zdajesz sobie nawet z tego sprawy. To, co próbuje przepchnąć ta banda z komisji ochrony przyrody... No, ale oni to tylko marionetki w cudzych rękach. Sama wiesz. W każdym razie, kiedy sprawa znajdzie się w sądzie, otrzymacie wszelką możliwą pomoc.

– Azyl to nie moja sprawa. Wcale.

– Nie? No cóż, miałem na myśli was wszystkich.

– Dziękuję ci. Naprawdę. A co u ciebie?

– W porządku. Zostałem tatusiem.

– Coś podobnego! Chłopak czy dziewczynka?

– Dziewczynka. Śliczna mała cholernica. Oszalałem na jej punkcie. Chciałbym, żebyś poznała moją żonę, Leisho.

– Będzie mi bardzo miło – odrzekła Leisha.

Resztę nocy spędziła nad książkami. Banieczka światła nadal jej towarzyszyła. Wiedziała dokładnie, co to jest: radość.

Wszystko będzie dobrze. Niepisany kontrakt między nią a społeczeństwem – społeczeństwem Kenzo Yagai i Rogera Camdena – nie zostanie zerwany. Mimo różnic, napięć, a nawet mimo nienawiści... Nagle przypomniała sobie hiszpańskich żebraków Toniego, pełnych złości na silniejszych od siebie. No tak. Ale kontrakt nie będzie zerwany.

Wierzyła w to. Naprawdę.

Rozdział VII

Leisha złożyła egzamin w lipcu. Nie wydał jej się szczególnie trudny. Po egzaminie trójka studentów z jej grupy zadbała o to, by towarzyszyć jej, na pozór przypadkowo, dopóki nie znalazła się bezpiecznie we wnętrzu taksówki, której kierowca najwyraźniej jej nie rozpoznał. Cała trójka – dwóch mężczyzn i kobieta – to byli Śpiący. Dwaj studenci młodszego roku, gładko wygoleni blondyni o pociągłych twarzach i bezmyślnej arogancji nowobogackich gapili się na nią nachalnie, rzucając szyderce uwagi. Dziewczyna z grupy Leishy odparowała im złośliwie.

Następnego ranka Leisha miała lecieć do Chicago, gdzie chciała się spotkać z Alice. Musiały uporządkować sprawy posiadłości nad jeziorem, rozdysponować własność ojca i wystawić dom na sprzedaż. Wcześniej Leisha nie znalazła na to czasu.

Przypomniała sobie ojca, kiedy pracował w szklarni, w starym, nie wiedzieć skąd wytrzaśniętym kapeluszu na głowie przesadzał orchidee, jaśminy i passiflory.

Drgnęła zaskoczona, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi; prawie nikt jej nie odwiedzał. Z entuzjazmem włączyła kamerę – może to Jonathan lub Martha wpadli do Bostonu, żeby zrobić jej niespodziankę, żeby uczcić... Że też jej samej nie przyszło do głowy, żeby jakoś uczcić ten dzień...

Przed obiektywem kamery stał Richard. Płakał.

Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi. Richard nawet się nie poruszył. Leisha dostrzegła, że to, co kamera zarejestrowała jako żal, było w istocie czymś zupełnie innym: łzami wściekłości.

– Tony nie żyje.

Leisha ślepo wyciągnęła przed siebie dłoń. Richard jej nie ujął.

– Zabili go w więzieniu. Nie władze – inni więźniowie. Na wybiegu. Mordercy, gwałciciele, bandyci, same męty i szumowiny – i wszyscy uznali, że mają prawo go zabić, bo był inny.

Teraz dopiero złapał ją za rękę, tak gwałtownie, że w środku jakaś kość przesunęła się i nacisnęła na nerw.

– Nie tylko inny – lepszy! Dlatego, że był lepszy, że wszyscy jesteśmy lepsi, nie podniesiemy się i nie wykrzyczymy tego na cały głos, żeby nie ranić ich cholernych uczuć! Mój Boże!

Leisha wyrwała rękę i potarła, oniemiała, wpatrując się w wykrzywioną twarz Richarda.

– Zatłukli go na śmierć rurą hydrauliczną! Nie wiadomo nawet, skąd ją wzięli! Uderzyli go w tył głowy, przewrócili i...

– Przestań! – krzyknęła Leisha. Zabrzmiało to jak skowyt.

Richard spojrzał na nią uważnie. Pomimo krzyku, pomimo bólu gwałtownie uchwyconej ręki Leisha miała dziwne wrażenie, że po raz pierwszy widzi ją naprawdę. Nadal masowała rękę, wpatrując się w niego z przerażeniem. Richard odezwał się cicho:

– Przyjechałem cię zabrać do Azylu, Leisho. W samochodzie czekają Dan Walcott i Vernon Bulriss. Jeśli będzie trzeba, we trzech wyniesiemy cię stąd siłą. Ale pojedziesz z nami. Widzisz, co się dzieje, prawda? Nie jesteś tu bezpieczna. Z tym swoim klasycznym profilem i spektakularną urodą stanowisz idealny cel do ataku. Mamy cię zmusić? Czy może dotarło wreszcie do ciebie, że nie mamy wyboru – te gnojki nie zostawiły nam żadnego wyboru – z wyjątkiem Azylu?

Leisha zamknęła oczy. Czternastoletni Tony na plaży. Płomienny wzrok Toniego, kiedy sięgał po naczynie z interleukinem-1. Hiszpańscy żebracy.

– Jadę.

✤

Nigdy przedtem nie czuła takiego gniewu. Przerażał ją, napływał falami przez całą noc, ustępował, by po chwili wrócić. Richard trzymał ją w ramionach, siedzieli oparci

o ścianę biblioteki. Za ścianą, w drugim pokoju Dan i Vernon rozmawiali ściszonymi głosami.

Czasem gniew wybuchał krzykiem, Leisha słyszała siebie i myślała: „Przecież wcale się nie znam". Czasem gniew przechodził w płacz, czasem zmuszał, by mówiła o Tonym, o nich wszystkich. Ale ani krzyk, ani płacz, ani rozmowa nie przyniosły jej ukojenia.

Uspokajała się trochę, kiedy snuła plany. Zimnym, suchym głosem, którego nie poznawała, powiedziała Richardowi, że musi pojechać do Chicago, żeby zlikwidować tamtejszy dom. Trzeba jechać koniecznie, bo Alice już tam na nią czeka. Jeżeli Richard z Vernonem i Danem wsadzą ją do samolotu, a na lotnisku odbierze ją Alice z wynajętą obstawą, to będzie bezpieczna. Potem zamieni bilet powrotny na bilet do Belmont i razem z Richardem pojedzie do Azylu.

– Ludzie już zaczęli się zjeżdżać – mówił Richard. – Wszystko organizuje Jennifer Sharifi, smaruje dostawców takimi sumami, że nie potrafią się oprzeć. A co z twoim mieszkaniem? Z meblami, terminalem, ubraniami?

Leisha rozejrzała się po swojej pracowni. Półki na ścianach zajmowały rzędy książek prawniczych w czerwonych, zielonych i brązowych okładkach, mimo że większość informacji w nich zawartych miała już w komputerze. Na biurku, na drukarce, stała filiżanka po kawie. Obok leżał rachunek, którego zażądała dziś od kierowcy taksówki, żartobliwa pamiątka po dniu, w ktorym zdała końcowy egzamin. Chciała oprawić go w ramki. Nad biurkiem wisiał holograficzny portret Kenzo Yagai.

– Niech zgniją – powiedziała w końcu.

Richard przygarnął ją mocniej do siebie.

✣

– Nigdy cię taką nie widziałam – powiedziała Alice łagodnie. – Nie chodzi tylko o sprzedaż domu, prawda?

– Zabierzmy się za robotę – ucięła Leisha. Wyszarpnęła jakieś ubranie z garderoby ojca. – Weźmiesz coś z tego dla męża?

– Nie ten rozmiar.

– A z kapeluszy?

– Nie – powtórzyła Alice. – O co chodzi, Leisho?

– O nic. Po prostu weźmy się do roboty! – Wyrzuciła z szafy wszystkie ubrania Camdena, zwaliła je na kupę na podłodze i nabazgrała na skrawku papieru: DLA ORGANIZACJI CHARYTATYWNYCH. Położyła papier na szczyt sterty. Alice zaczęła dorzucać ubrania z komody, na której przyklejono już etykietkę: NA AUKCJĘ.

Niemal w całym domu okna pozbawione były firanek; Alice pozdejmowała je poprzedniego dnia. Zwinęła także dywany. Zachód słońca lśnił czerwono na nagich deskach podłóg.

– A twój pokój? – spytała Leisha. – Weźmiesz coś stamtąd?

– Już pozaznaczałam. Przyjadę po to w czwartek.

– W porządku. Co nam zostało?

– Cieplarnia. Sanderson podlewał wszystko, ale nie miał pojęcia, co ile potrzebuje wody, więc niektóre kwiaty...

– Zwolnij Sandersa – ucięła Leisha. – Egzotyczne mogą zwiędnąć. Albo każ je wysłać do jakiegoś szpitala, jeśli wolisz. Tylko uważaj, bo niektóre są trujące. Chodź, zajmiemy się biblioteką.

Alice usiadła powoli na zrolowanym dywanie na środku sypialni Camdena. Ścięła włosy na krótko. Leishy nie podobała się ta nowa fryzura – sterczące, jak kolce kosmyki wokół jej szerokiej twarzy. Przybrała też na wadze. Zaczynała upodabniać się do matki.

– Pamiętasz tamtą noc, kiedy powiedziałam ci, że jestem w ciąży? – spytała. – Zanim wyjechałaś do Harvardu?

– Zajmijmy się biblioteką.

– Pamiętasz? – powtórzyła Alice. – Na litość boską, czy nie możesz choć jeden raz posłuchać, co ktoś inny ma do powiedzenia? Czy musisz przez cały czas zachowywać się jak tato?

– Nie zachowuję się jak tato!

– Jak jasna cholera. Jesteś dokładnie taka, jak sobie zażyczył. Ale nie o to chodzi. Pamiętasz tamtą noc?

Leisha przekroczyła dywan i wyszła za drzwi. Alice siedziała dalej. Po chwili Leisha wróciła.

– Pamiętam.

– Byłaś wtedy bliska łez – ciągnęła nieugięta Alice. Mówiła cicho: – Nawet nie bardzo pamiętam, dlaczego. Może chodziło o to, że nie pojadę do college'u. Ale objęłam cię wtedy i po raz pierwszy od wielu lat – od wielu lat, Leisho – poczułam, że naprawdę jesteś moją siostrą. Bez względu na wszystko – na włóczenie się nocą po korytarzu i te popisy w rozmowach z tatą, tę ekstra szkołę, nienaturalnie długie nogi i złociste włosy – bez względu na całe to gówno. Wydawało mi się wtedy, że mnie potrzebujesz. Że mnie p o t r z e b u j e s z.

– Co mówisz? Że możesz zbliżyć się do człowieka tylko wtedy, kiedy jest w opałach i cię potrzebuje? Że mogłaś poczuć się moją siostrą tylko gdy cierpiałam, krwawiące serce i te rzeczy? To tak wyglądają związki między wami, Śpiącymi? Chroń mnie, kiedy jestem nieprzytomny, kiedy jestem takim samym kaleką jak ty?

– Nie. Mówię, że to ty możesz poczuć się siostrą tylko wtedy, gdy cierpisz.

Leisha wbiła w nią wzrok.

– Jesteś głupia, Alice.

– Wiem o tym – odparła spokojnie Alice. – W porównaniu z tobą jestem głupia. Wiem o tym doskonale.

Leisha potrząsnęła głową gniewnie. Wstydziła się tego, co przed chwilą powiedziała, wiedząc jednocześnie, że to prawda. Obie wiedziały, że to prawda. Gniew zalegał w niej jak ciemna pustka, gorąca i bezkształtna. Dopóki nie przybrał konkretnego kształtu, nie mogła wyładować go w działaniu, płonął w niej i tamował oddech.

– Kiedy miałam dwanaście lat, dostałam od Susan sukienkę na urodziny. Ciebie wtedy nie było, pojechałaś na jakieś zajęcia w plenerze, które bez przerwy urządzała ta twoja postępowa szkoła. Sukienka była z bladobłękitnego jedwabiu ze staromodnymi koronkami – prześliczna. Strasznie się cieszyłam, nie tylko dlatego, że była taka śliczna, ale i dlatego, że Susan kupiła ją specjalnie dla mnie, a tobie jakiś tam program do komputera. Sukienka była moja. Była, jak mi się wydawało, m n ą. – W gęstniejącym mroku Leisha ledwie dostrzegała jej cieżkie, proste rysy. – Kiedy pierwszy raz miałam ją na sobie, jakiś chłopak krzyknął: – „Ej, Alice, ukradłaś siostrze sukienkę? Zwędziłaś, kiedy spała?", potem śmiał się jak wariat, zawsze się tak śmiali.

Wyrzuciłam tę sukienkę. Nawet nie wytłumaczyłam się Susan, choć myślę, że zrozumiałaby. To, co było twoje, było wyłącznie twoje, a to, co do ciebie nie należało, też było twoje. Tak to sobie urządził tatuś. Tak właśnie wpakował nam to w geny.

– Ty też? – rzuciła Leisha. – Jesteś taka sama jak reszta zawistnych żebraków?

Alicja podniosła się z dywanu. Zrobiła to powoli i niedbale, otrzepując z kurzu wymiętą spódnicę, wyglądając jak drukowany kreton. Potem podeszła i uderzyła Leishę w twarz.

– Czy teraz wydaję ci się bardziej rzeczywista? – zapytała cicho.

Leisha dotknęła ust. Poczuła na wargach krew. Zadzwonił telefon, zastrzeżony numer Camdena. Alice podeszła do aparatu, podniosła słuchawkę, słuchała przez chwilę, po czym spokojnie oddała ją Leishy.

– To do ciebie.

Kompletnie oniemiała, Leisha wzięła od niej słuchawkę.



Piotr Gierasiński

– Leisha? Tu Kevin. Słuchaj, dzieje się coś niedobrego. Dzwoniła do mnie Stella Bevington, przez telefon, nie przez sieć. Rodzice chyba zabrali jej modem. Podniosłem słuchawkę, a ona krzyczy: „Tu Stella, biją mnie, on jest pijany..." i wszystko ucichło. Randy pojechał do Azylu – cholera, wszyscy już wyjechali! Ty jesteś najbliżej, bo nadal mieszka w Skokie. Najlepiej jedź tam natychmiast. Masz obstawę, której możesz zaufać?

– Tak – potwierdziła Leisha, choć oczywiście nie miała. Jej gniew – nareszcie – przybrał konkretną postać. – Dam sobie radę.

– Nie mam pojęcia, jak ją stamtąd wydostaniesz – mówił Kevin. – Na pewno cię rozpoznają. Wiedzą, że do kogoś dzwoniła, mogli zbić ją do nieprzytomności...

– Dam sobie radę – powtórzyła Leisha.

– Z czym? – zaniepokoiła się Alice.

Leisha spojrzała jej prosto w oczy. Mimo iż wiedziała, że nie powinna, powiedziała:

– Z tym, co ci twoi wyprawiają z jednym z naszych. Siedmioletnia dziewczynka jest maltretowana przez rodziców tylko dlatego, że jest Bezsenna, bo jest lepsza od was... – Pobiegła po schodach do wynajętego samochodu, którym przyjechała z lotniska. Alice natychmiast pobiegła za nią.

– Nie twoim samochodem, Leisho. Wynajęty samochód wytropią od razu. Pojedziemy moim.

– Jeżeli sobie wyobrażasz... – krzyknęła Leisha.

Alicja szarpnęła drzwiczki swojej wysłużonej toyoty, tak starej, że stożki odbioru energii Y sterczały jawnie po obu stronach jak obwisłe policzki. Wepchnęła Leishę do tyłu, zatrzasnęła za nią drzwiczki, a sama usadowiła się za kierownicą. Ujęła ją mocno obiema rękami.

– Dokąd?

Leishę na chwilę ogarnęła ciemność. Opuściła nisko głowę, wsunęła ją między kolana tak głęboko, jak tylko pozwalała na to ciasnota samochodu. To już dwa – nie, trzy dni odkąd zjadła ostatni posiłek. Ostatniej nocy przed egzaminem. Osłabienie minęło, by wrócić natychmiast, kiedy tylko podniosła głowę.

Podała Alice adres w Skokie.

✣

– Trzymaj się z tyłu – mówiła Alice. – W schowku na rękawiczki znajdziesz szal – włóż go na siebie. Staraj się jak najlepiej zasłonić twarz.

Alice zatrzymała samochód przy Czterdziestej Drugiej.

– To nie jest... – zaczęła Leisha.

– Tutaj można wynająć ochroniarza na godziny. Musimy wyglądać, jakbyśmy miały jakąś ochronę, Leisho. Przecież nie musimy mu nic mówić. Załatwię to szybko.

Wróciła po trzech minutach w towarzystwie ogromnego mężczyzny w tanim garniturze. Wcisnął się na przednie siedzenie i nie odezwał się. Alice także go nie przedstawiła.

Dom był nieduży, trochę zaniedbany. Na parterze paliły się wszystkie światła, na piętrze było ciemno. Na północy, za miastem, zabłysły pierwsze gwiazdy. Alice nakazała mężczyźnie:

– Proszę wysiąść i stanąć przy drzwiczkach samochodu. Nie, bardziej do światła. I niech pan nic nie robi, dopóki ktoś mnie nie zaatakuje.

Mężczyzna skinął głową. Alice ruszyła w stronę wejścia. Leisha wygramoliła się z samochodu i zdołała ją dogonić o parę kroków przed plastykowymi drzwiami.

– Alice, cóż ty, do cholery, wyprawiasz? To ja muszę...

– Mów ciszej – upomniała ją Alice, zerkając w kierunku ochroniarza. – Leisho, pomyśl trochę. Na pewno cię rozpoznają. Tu, w okolicach Chicago, mając Bezsenną córkę, ci ludzie z pewnością przez całe lata śledzili twoje zdjęcia w gazetach. Pewnie oglądali cię w holowizji. Znają cię. Wiedzą, że jesteś prawnikiem. Mnie nigdy nie widzieli. Jestem nikim.

– Alice...

– Na rany Chrystusa, wróćże do samochodu! – syknęła Alice i załomotała do drzwi.

Leisha zeszła z chodnika i schowała się w cieniu pod wierzbą. Drzwi otworzył mężczyzna o twarzy całkowicie pozbawionej wyrazu.

– Agencja Ochrony Praw Dziecka – odezwała się Alice. – Mieliśmy telefon od małej dziewczynki, z tego numeru. Proszę mnie wpuścić.

– Tu nie ma żadnej małej dziewczynki.

– Telefon w nagłej potrzebie ma bezwzględne pierwszeństwo – powiedziała Alice. – Akt o ochronie praw dziecka, paragraf 186. Proszę mnie wpuścić.

Mężczyzna, któremu nie drgnął nawet najmniejszy mięsień twarzy, rzucił okiem na potężną postać przy samochodzie.

– Macie nakaz rewizji?

– W przypadku bezwzględnego pierwszeństwa nie potrzebujemy nakazu. Jeśli mnie pan nie wpuści, narobi pan sobie w sądzie takiego bagna, o jakim się panu nie śniło.

Leisha zacisnęła wargi. Trudno uwierzyć, ale to był najprawdziwszy prawniczy żargon... Rozbita warga pulsowała bólem.

Mężczyzna odsunął się, by wpuścić Alice do środka. Ochroniarz ruszył za nią. Leisha zawahała się, potem zrezygnowała. Wszedł tuż za Alice.

Leisha czekała samotnie w ciemnościach.

Po trzech minutach byli z powrotem, ochroniarz niósł na rękach dziecko. W świetle latarni twarz Alice lśniła blado. Leisha skoczyła, żeby otworzyć drzwi, potem pomogła mężczyźnie ułożyć dziewczynkę na tylnym siedzeniu. Ochroniarz patrzył na nie spode łba, spojrzeniem zdziwionym i mocno znużonym.

– Proszę – powiedziała do niego Alice. – Oto dodatkowe sto dolarów. Żeby miał pan za co wrócić do miasta.

– Hej... – zaczął mężczyzna, ale wziął pieniądze. Stał i patrzył za nimi, kiedy odjeżdżały.

– Pójdzie prosto na policję – rzuciła Leisha z rozpaczą. – Musi, bo inaczej wyleci ze związków.

– Wiem – powiedziała Alice. – Ale do tego czasu zdążymy pozbyć się samochodu.

– Gdzie?

– W szpitalu.

– Alice, przecież nie możemy... – Leisha nie dokończyła. Odwróciła się i zapytała: – Stello, jesteś przytomna?

– Tak – odpowiedział dziecięcy głosik.

Leisha po omacku znalazła wyłącznik tylnego oświetlenia. Stella leżała wyprostowana, twarz miała wykrzywioną z bólu. Lewą ręką przytrzymywała prawą. Na twarzy, nad lewym okiem, widniał pojedynczy, wielki siniak.

– Czy to pani jest Leisha Camden? – zapytało dziecko i zaniosło się płaczem.

– Ma złamaną rękę – odezwała się Alice.

– Kochanie, czy... – Leisha miała kłopoty z wydobyciem słów z zaciśniętego gardła. – ...czy wytrzymasz jakoś, aż znajdziemy lekarza?

– Tak – odpowiedziała Stella. – Tylko nie zawoźcie mnie z powrotem!

– Nie zawieziemy – zapewniła Leisha. – Nigdy. – Rzuciła okiem na Alice i ujrzała twarz Toniego.

– Tu niedaleko jest społeczny szpital, jakieś dziesięć mil na południe.

– Skąd wiesz?

– Byłam tam kiedyś. Przedawkowałam – wyjaśniła zwięźle.

Pochyliła się mocno nad kierownicą, z twarzy widać było, że rozpaczliwie próbuje coś wymyślić. Leisha także pogrążyła się w myślach. Chciała znaleźć jakąś furtkę, która uwolniłaby je od odpowiedzialności za porwanie. Chyba nie będą mogły powiedzieć, że dziecko udało się z nimi dobrowolnie, nawet mimo współpracy Stelli. W tym stanie i w tym wieku jest prawdopodobnie *non sui iuris*, jej oświadczenia nie będą miały mocy prawnej...

– Alice, nie wpuszczą nas do szpitala, jeśli nie sprawdzą w komputerze, czy jesteśmy ubezpieczone...

– Posłuchaj – powiedziała Alice przez ramię, nie do Leishy, ale w kierunku tylnego siedzenia. – Zrobimy tak, Stello. Powiem im, że jesteś moją córką i że spadłaś z wysokiej skały, na którą się wspięłaś, kiedy zatrzymałyśmy się przy drodze, żeby coś zjeść. Jedziemy z Kalifornii do Filadelfii, żeby odwiedzić babcię. Nazywasz się Jordan Watrous i masz pięć lat. Rozumiesz, kochanie?

– Mam siedem – odparła Stella. – Prawie osiem.

– Jesteś bardzo dużą pięciolatką. Masz urodziny 23 marca. Poradzisz sobie, Stello?

– Tak – odrzekła dziewczynka mocniejszym już głosem.

Leisha przyjrzała się Alice.

– A ty sobie poradzisz?

– Oczywiście – odpowiedziała. – W końcu jestem córką Rogera Camdena.

✣

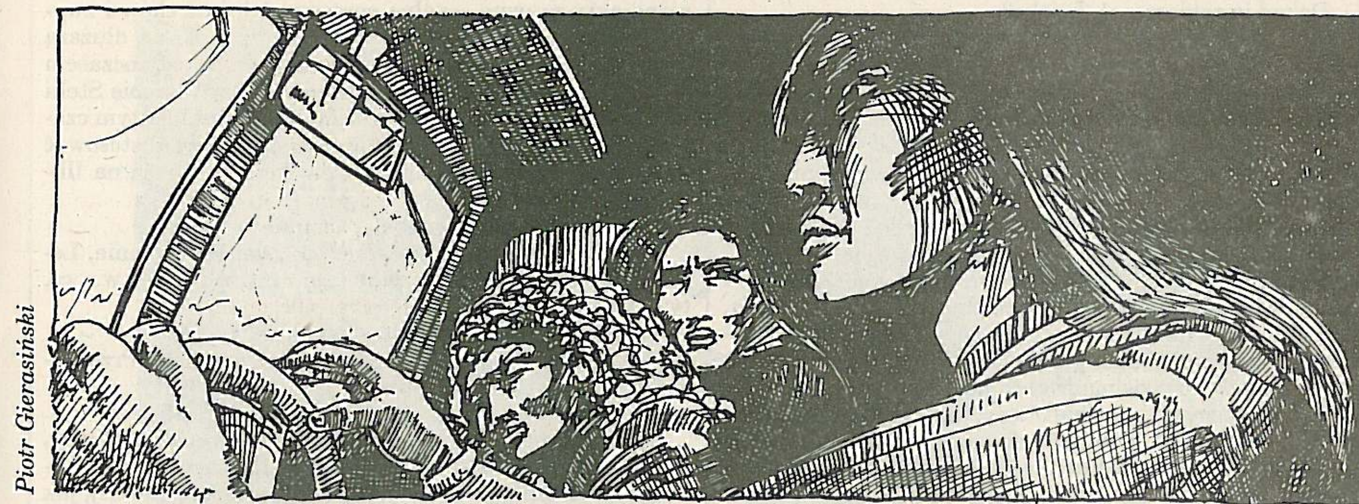
Alice na wpół niosła, na wpół podpierała Stellę, kiedy szły do izby przyjęć małego społecznego szpitala. Leisha obserwowała je z samochodu: niską, krępą kobietę i szczuplutką dziewczynkę z wykręconym ramieniem. Potem podprowadziła samochód Alice w najodleglejszy kąt parkingu, pod wątpliwą osłonę kusego klonu, i zamknęła go na klucz. Szczelniej zakryła twarz szalem.

Numer rejestracyjny samochodu Alice i jej nazwisko znalazły się już na pewno wśród danych wszystkich posterunków policji i we wszystkich wypożyczalniach samochodów. W szpitalu informacje przepływały znacznie wolniej, odbierano je nawet i raz dziennie, nie godząc się na interwencję państwa w sektorze, który, po blisko półwiecznej walce, nadal pozostawał prywatny. Alice i Stella powinny być tam bezpieczne. Powinny... Ale Alice nie mogła już wypożyczyć samochodu.

Natomiast Leisha tak.



Piotr Gierasiński



Piotr Gierasiński

Ale z kolei dane przesłane do wypożyczalni samochodów mogły zawierać informację, że Alice Camden Watrous jest bliźniaczą siostrą Leishy Camden.

Leisha przebiegła wzrokiem wzdłuż rzędu zaparkowanych aut. Snobistycznie luksusowy chrysler, półciężarówka ikeda, rząd toyot i mercedesów średniej klasy, cadillac rocznik 99 – mogła sobie wyobrazić minę właściciela, gdyby go tu nie zastał! – dziesięć czy dwanaście tanich małolitrażówek, helikopter z drzemiącym pilotem w liberii i rozklekotana wiejska ciężarówka. Do tej ostatniej skierowała się Leisha. Za kierownicą siedział jakiś mężczyzna i palił papierosa. Przypomniała sobie ojca.

– Dzień dobry! – odezwała się.

Mężczyzna opuścił szybę w oknie, ale nie odpowiedział na powitanie. Miał ciemne, tłuste włosy.

– Widzi pan tamten helikopter? – mówiła dalej Leisha, starając się, by jej głos brzmiał jak najbardziej młodzieńczo. Mężczyzna zerknął obojętnie, ze swojego miejsca nie mógł dostrzec, że pilot śpi. – Tam siedzi mój goryl. Myśli, że poszłam do szpitala, żeby ktoś opatrzył mi usta, tak jak kazał ojciec. – Czuła, że usta spuchły jej od ciosu Alice.

– No i?

– A ja wcale nie mam ochoty się tam znaleźć – Leisha tupnęła nogą. – Tamten to gnojek i tato też. Chcę się urwać. Dam panu za tę ciężarówkę cztery tysiące. Gotówką.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy. Wyrzucił papierosa, znów zerknął na helikopter. Pilot miał szerokie bary, a ciężarówka stała na tyle blisko, by mógł usłyszeć krzyk.

– Wszystko elegancko i legalnie – dodała Leisha i próbowała uśmiechnąć się cwanie. Czuła, jak drżą jej kolana.

– Chcę zobaczyć gotówkę.

Leisha odsunęła się od samochodu aż do miejsca, gdzie nie mógł jej dosięgnąć. Wyjęła z torebki pieniądze. Miała zwyczaj nosić przy sobie większą gotówkę, bo w pobliżu zawsze był Bruce albo ktoś jemu podobny.

– Niech pan wysiądzie po drugiej stronie i zamknie za sobą drzwi. Kluczyki niech pan zostawi na siedzeniu tak, żebym je stąd widziała. Wtedy ja położę pieniądze na dachu, tam, gdzie pan będzie je widział.

Mężczyzna roześmiał się, dźwięk był ostry jak przesypujący się żwir.

– Prawdziwa mała Dabney Engh, co? Tego uczą w szkole panienkę z dobrego domu?

Leisha nie miała pojęcia, kto to jest Dabney Engh. Czekała obserwując mężczyznę, który wyraźnie kombinował, jakby tu ją oszukać, i próbowała ukryć pogardę. Pomyślała o Tonym.

– Dobra – powiedział w końcu i wyśliznął się z szoferki.

– Niech pan zablokuje drzwi!

Uśmiechnął się szeroko, jeszcze raz otworzył drzwi, po czym zatrzasnął je. Leisha położyła pieniądze na dachu samochodu, szarpnęła drzwi i podniosła szybę w oknie. Mężczyzna roześmiał się głośno. Włożyła kluczyk do stacyjki, włączyła silnik i powoli wyjechała na ulicę. Trzęsły jej się ręce.

Dwa razy okrążyła wolno budynki szpitala. Kiedy wróciła na parking, mężczyzny już na nim nie było, a pilot helikoptera nadal spał. Jadąc zastanawiała się, czy tamten złośliwie go nie obudził, ale na szczęście nie. Zaparkowała i czekała.

Półtorej godziny później Alice w towarzystwie pielęgniarki wywiozła Stellę na wózku. Leisha wyskoczyła z ciężarówki i zawołała machając rękoma:

– Alice, tutaj!

Było zbyt ciemno, żeby mogła zobaczyć wyraz twarzy Alice. Miała tylko nadzieję, że siostra nie okaże niechęci na widok rozklekotanej ciężarówki ani że nie powiedziała pielęgniarce, że czeka na nią czerwona toyota.

– To moja przyjaciółka, Julie Bergadon. Zadzwoniłam po nią, kiedy nastawialiście rękę Jordan.

Pielęgniarka kiwnęła głową bez zbytniego zainteresowania. Obie kobiety pomogły umieścić Stellę w wysokiej szoferce, w której nie było siedzenia dla pasażerów. Stella miała na ręce gips i wyglądała jakby była pod wpływem narkotyków.

– Jak go zdobyłaś? – spytała Alice, kiedy ruszały.

Leisha nie odpowiedziała. Uważnie obserwowała policyjny helikopter, który lądował po drugiej stronie parkingu. Wysiedli z niego dwaj funkcjonariusze, którzy skierowali się wprost do zaparkowanego pod klonem auta Alice.

– O mój Boże – szepnęła Alice. Pierwszy raz jej głos zadrżał strachem.

– W ciężarówce nie będą nas szukać – uspokoiła ją Leisha. – Tylko na to możemy liczyć.

– Leisho – szepnęła Alice głosem najeżonym strachem. – Stella śpi!

Leisha zerknęła na dziecko oparte bezwładnie o ramię Alice.

– Nie, nie śpi. Jest pod wpływem silnych środków przeciwbólowych.

– Nic jej nie będzie? Czy to normalne... dla niej?

– Zdarza nam się stracić przytomność. Możemy nawet zapaść w sen pod wpływem pewnych substancji. – Tony, Richard, Jeanine i ona sama tamtej nocy w lesie... – Nie wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Niewiele o sobie wiemy, co?

Przez dłuższy czas jechały w milczeniu, cały czas kierując się na południe. W końcu Alice zapytała:

– Dokąd ją zabierzemy, Leisho?

– Nie wiem. Policja będzie sprawdzać przede wszystkim Bezsennych...

– Nie można tak ryzykować. Szczególnie w tym stanie rzeczy – powiedziała Alice znużonym głosem. – Ale ja z kolei mam przyjaciół tylko w Kalifornii. Nie wydaje mi się, żebyśmy zdołały tam dojechać tym próchnem, zanim nas złapią.

– I tak by się nie udało.

– To co zrobimy?

– Daj pomyśleć.

Przy wjeździe na autostradę stała budka telefoniczna. Nie była tak bezpieczna jak sieć Grupy. Czy prywatny telefon Kevina mógł być na podsłuchu? Raczej tak.

A już na pewno podsłuchiwali linię Azylu.

Azyl. Wszyscy tam jechali, znaczna część już była na miejscu, jak mówił Kevin. Będą siedzieć zaszyci pośród starych pagórków Allegheny jak w bezpiecznej norze. Wszyscy, z wyjątkiem dzieci takich jak Stella, które nie mogły wyjechać.

Dokąd? Z kim?

Leisha zamknęła oczy. Bezsenni odpadają, policja miałaby ich w garści w przeciągu kilku godzin. Może Susan Melling? Ale przecież każdy wiedział, że była macochą Alice i spadkobierczynią Camdena, zaraz by ją przesłuchali. To nie mógł być nikt z ludzi powiązanych z Alice. Może jakiś znany Leishy Śpiący, ktoś, komu odważyłaby się zaufać. Ale kto spełnia takie warunki? A jeśli nawet ktoś się znajdzie, z jakiej racji miałby się pakować w takie ryzyko? Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo w ciemnej budce. Potem wróciła do ciężarówki. Alice spała z głową przechyloną za oparcie siedzenia. Po brodzie spływała jej cieniutka strużka śliny. W kiepskim oświetleniu z budki jej twarz przybrała trupio blady odcień. Leisha jeszcze raz podeszła do telefonu.

– Stewart? Stewart Sutter?

– Tak?

– Mówi Leisha Camden. Stało się coś bardzo niedobrego.

– W prostych, suchych zdaniach opowiedziała mu całą historię. Stewart słuchał w milczeniu.

– Leisho... – odezwał się w końcu i urwał.

– Potrzebuję pomocy, Stewarcie. – „Pomogę ci, Alice" „Nie potrzebuję twojej pomocy". Po ciemnym polu za budką przeleciał ze świstem wiatr. W tym poświście usłyszała Leisha ciche zawodzenie żebraka. W odgłosie wiatru i we własnych słowach.

– Dobrze – odezwał się znowu Stewart. – Zrobimy tak. Mam kuzynkę w Ripley, w stanie Nowy Jork, tuż na granicy z Pensylwanią, na wschód od was. Wszystko musi się odbywać w Nowym Jorku, bo tylko tutaj mam licencję. Zabierz tam dziewczynkę. Zadzwonię do kuzynki i powiem jej, że przyjedziecie. To starsza kobieta, w swoim czasie była znaną działaczką społeczną. Nazywa się Janet Patterson. Miasto jest...

– Jesteś pewien, że będzie chciała się w to mieszać? Może pójść do więzienia. Ty też.

– Nie uwierzyłabyś, ile razy była już w więzieniu. Za różne manifestacje polityczne, od samej wojny wietnamskiej. Ale nikt przecież nie pójdzie do więzienia. Jestem teraz twoim adwokatem i mam swoje przywileje. Zamierzam wystąpić dla Stelli z wnioskiem o przyjęcie pod opiekę państwa. To nie powinno nastręczać żadnych trudności, zwłaszcza kiedy wykorzystamy wyniki badania w szpitalu w Skokie. Potem przeniesiemy ją do rodziny zastępczej w Nowym Jorku, znam jedno takie miejsce, mili, porządni ludzie... A jeśli chodzi o Alice...

– Stella jest zameldowana w Illinois, nie możesz...

– Mogę. Od kiedy ogłoszono wyniki badań na temat wydłużonej żywotności Bezsennych, prawodawcy nieustannie podlegają naciskom ze strony wyborców, przestraszonych, zawistnych albo zwyczajnie złośliwych. Wychodzą z tego różne akty prawne – pełne sprzeczności, kruczków i zwykłych absurdów. Żaden z nich nie ostanie się na dłuższą metę. Taką mam przynajmniej nadzieję. Ale tymczasem możemy je wykorzystać. Zamierzam ich użyć i zrobię Stelli tak pokręconą sprawę, jakiej świat nie widział. W tym czasie nie odeślą jej do domu. Ale tego nie da się zastosować do Alice. Będzie potrzebowała adwokata z licencją na Illinois.

– Mamy – wtrąciła Leisha. – Candance Holt.

– Nie, to nie może być Bezsenna. Zdaj się na mnie, Leisho. Znajdę kogoś odpowiedniego. Jest taki facet w... co, ty płaczesz?

– Nie – wyszeptała Leisha wśród łez.

– O, mój Boże – jęknął Stewart. – Co za gnojki. Przepraszam cię za wszystko, Leisho.

– Nie przepraszaj.

Kiedy poinstruował ją, jak trafić do kuzynki w Ripley, wróciła do ciężarówki. Alice nadal spała, a Stella wciąż była nieprzytomna. Leisha zamknęła drzwiczki najciszej, jak umiała. Silnik wahał się przez chwilę, potem zaryczał niespodzianie, ale Alice spała dalej. Razem z nimi w ciasnej, mrocznej kabinie znajdował się cały tłumek różnych osób: Stewart Sutter, Tony Indivino, Susan Melling, Kenzo Yagai i Roger Camden.

Stewartowi Sutterowi powiedziała: zadzwoniłeś, żeby powiedzieć mi o sytuacji u Morehouse'a i Kennedy'ego. Ryzykujesz własną karierę i wolność krewnej, żeby ocalić Stellę. I niczego za to nie chcesz. Nic z tego nie będziesz miał. Tak samo jak Susan Melling, kiedy powiedziała mi o wynikach badań. Susan, która zaprzepaściła własne życie dla marzeń taty i która własnymi siłami zdołała je odbudować. Kontrakt, który nie gwarantuje korzyści obu stronom, to żaden kontrakt. Wie o tym każdy student pierwszego roku.

Do Kenzo Yagai powiedziała: Wymiana nie zawsze odbywa się bezpośrednio. Jeżeli Stewart coś mi ofiaruje i ja ofiaruję coś Stelli, to może dzięki temu Stella za dziesięć lat będzie innym człowiekiem i sama ofiaruje coś następnej osobie – i to jest cały ekosystem. Ekosystem wymiany, tak, tak, każda nisza jest nam potrzebna, nawet jeżeli nie zawieramy z nią bezpośrednio kontraktu. Czy koń potrzebuje ryby? Tak!

Toniemu powiedziała: tak, to fakt, że w Hiszpanii żyją żebracy, którzy nic nie mają na wymianę, nic nie robią, nic nie dają. Ale Hiszpania to nie tylko żebracy. Jeśli odwracasz się od żebraków, odwracasz się od całego cholernego kraju. I odwracasz się od ekosystemu wzajemnej pomocy. Tego właśnie pragnęła Alice wiele lat temu, w tamtym pokoju. Ciężarna, przestraszona, rozgoryczona, zazdrosna chciała mi pomóc, a ja jej nie pozwoliłam, bo nie potrzebowałam jej pomocy. Ale teraz potrzebuję. Tak jak ona wtedy. Bo żebracy oczekują od nas pomocy, ale i sami też chcą pomagać.

Na koniec został jej tato. Widziała go, te jego jasne oczy, silne dłonie, które trzymały egzotyczne rośliny o skórzastych liściach. Camdenowi powiedziała: Myliłeś się, Alice jest kimś wyjątkowym. Och, tato – żebyś wiedział jak bardzo wyjątkowym! Bardzo się myliłeś.

Kiedy to pomyślała, wypełniła ją dziwna lekkość. Nie taka jak tamta bańka radości ani ostra jasność rozumowania, ale coś zupełnie innego: słoneczny blask przenikający miękko przez szybki cieplarni, w której dwie małe dziewczynki biegały tam i z powrotem. Nagle sama zjednoczyła się ze światłem, nie beztroska, lecz półprzejrzysta, stała się medium, przez które światło słoneczne przenikało swobodnie i płynęło dalej swoją drogą.

Wiozła przez noc uśpioną kobietę i ranne dziecko, ku wschodniej granicy stanu.

KONIEC



artór sitnik

NA POLANIE

Marta Tomaszewska

W domu pod ogromną białą brzozą pośrodku leśnej polany mieszkała dziewczynka. Mieszkała zupełnie sama i nie wiedziała o sobie nic. Ani skąd pochodzi, ani jak się nazywa, ani skąd się tutaj, w tym leśnym domu wzięła. Poza tym miała wszystko, co potrzeba do życia: szafę, w której co roku pojawiały się nowe ubrania, spiżarkę, w której stale odnawiały się zapasy żywności, a nawet kuchenkę, na której potrawy gotowały się same i to akurat te, na które miała właśnie ochotę, igłę, która szyła sama. Słowem nie brakowało jej niczego. Tylko ludzi nigdy nie widziała. Samej siebie też nie widziała, gdyż w domku nie było ani jednego lustra, niczego, w czym by mogła się przejrzeć. Nie mogła też opuścić polany, na której stał jej dom. Ilekroć próbowała – zatrzymywał ją niewidzialny mur. Ten mur zatrzymywał również leśne zwierzęta: żadne nie mogło wejść na polanę. Jedynie ptaki ponad nią przelatywały swobodnie, ale i one jakby unikały tego pięknego przecież miejsca. Przelatywały tylko. Czasem któryś przelatując gubił piórko. Dziewczynka zbierała te piórka: układanie ich w przeróżne wzory było jej ulubionym zajęciem.

Mijały lata, co dziewczynka zauważała głównie dzięki temu, że jedyne drzewo liściaste w polu jej widzenia – Biała Brzoza, pod którą stał jej dom, zmieniała kolor liści z zielonych na złote, a potem stroiły ją tylko gałązki niby czarna delikatna koronka.

Dziewczynka bardzo tę Białą Brzozę kochała.

Pewnego dnia, a był to dzień – o czym nie wiedziała – kiedy miała właśnie ukończyć czternaście lat, siedziała przed domem i oddawała się swemu ulubionemu zajęciu, czyli tworzeniu układanki z piór i piórek zgubionych przez ptaki. Nad polaną przeleciał nieduży białoniebieski ptak, upuścił piórko, które spadło prosto w jej nie dokończoną jeszcze układankę.

Z początku, pochłonięta pracą, chciała je odrzucić, gdy wtem spostrzegła, że właśnie z owym białoniebieskim piórkiem układany wzór stał się gotowy. Więcej: coś jej wyraźnie, nagląco przypominał.

– Co mi to przypomina? – głowiła się. – Coś mi to przypomina, ale co?

I nagle sobie przypomniała: wzór namalowany na ścianie pokoju przylegającego do Białej Brzozy. Tylko tam... tylko tam, jak w jej układance przed chwilą, było puste miejsce, jakby ktoś nie domalował wzoru.

Nie zastanawiając się dłużej pobiegła do pokoju.

Chwyciła białoniebieskie piórko, stanęła przed ścianą (tak, tak, ten wzór) i przyłożyła je do owego miejsca jakby niedomalowanego.

Natychmiast w ścianie ukazały się drzwi. Nacisnęła klamkę zaciekawiona, a drzwi otworzyły się bez najmniejszego trudu. Przeszła i stwierdziła ze zdumieniem, że znajduje się w identycznym pokoju jak ten, który dopiero opuściła, a w tym pokoju, patrząc na nią zdumionymi fiołkowymi oczami stoi dziewczyna, chyba... zupełnie taka sama jak ona! Ten sam wzrost, ten sam strój; nie wiedziała jak wygląda, mówiliśmy już

o tym, bowiem nie miała w czym się przejrzeć. Wiedziała jednak, że ma ogromne, nigdy nie podcinane złote włosy, które podwiązywała fiołkową wstążką, by nie krępowały jej ruchów. Dziewczyna po Tamtej Stronie miała również wielkie złote włosy podwiązane fiołkową wstążką... Jakby czytała w jej myślach lub pomyślawszy to samo, podniosła ręce do głowy, rozwiązała fiołkową wstążkę i włosy okryły ją jak złoty, świetlisty płaszcz z najdelikatniejszej przędzy.

– Ach! – wykrzyknęła Dziewczyna, Która Przeszła i zrobiła to samo.

Patrzyły na siebie onieśmielone, zdumione, aż nagle, w tym samym porywie podbiegły, padły sobie w objęcia i tak trwały w mocnym czułym uścisku, a ich włosy spłynęły ku sobie, zmieszały się, splątały i przytulone do siebie dziewczyny od stóp do głów spowite świetlistą przędzą stały jakby we wnętrzu cudownej złotej kuli.

Wtem wiatr uniósł kulę, porwał ją i osadził jak gniazdo w gałęziach Białej Brzozy.

Dziewczyna, Która Przeszła i Dziewczyna z Tamtej Strony wcale się nie przeraziły. Ach, cóż może przerazić kogoś tak szczęśliwego jak one?! Ba, roześmiały się w głos ze szczęścia. Po czym rozsunęły nieco złotą przędzę, zobaczyły, gdzie są i znowu się roześmiały, jakby wszystko, co im się przydarza, było najwspanialszą zabawą.

Lecz gdy przebrzmiał śmiech – usłyszały ciszę. Ciszę wielką i świętą, jakiej żadna z nich do tej pory nie słyszała. Spoważniały (ale tylko trochę), spojrzały w dół poprzez zielone listeczki.

– Nie ma mojego domu! – powiedziała Dziewczyna, Która Przeszła.

– Nie ma mojego domu! – powtórzyła jak echo Dziewczyna z Tamtej Strony.

Na polanie nie było już nic poza Białą Brzozą. I – poza tą ciszą, wielką, świętą, którą w pewnej chwili rozdarł straszliwy krzyk.

Dziewczyny mocniej przywarły do siebie, oczami mówiły jedna drugiej:

– Jestem z tobą, nie bój się, cokolwiek się stanie, cokolwiek będzie się działo.

Ale już nic się nie działo. Krzyk rozdarł ciszę, przeleciał, odleciał, a ona znowu niby zabliźniona rana zamknęła się nad Polaną – wielka, święta, uroczysta.

Dziewczęta siedziały przez chwilę nasycając się tą niezwykłą ciszą. Wkrótce jednak myśli ich ponownie wróciły do tego, co je najbardziej interesowało.

– Kim jesteś? – spytała Dziewczyna, Która Przeszła.

– Nie wiem – odparła Dziewczyna z Tamtej Strony. – A ty, kim jesteś?

– Ja też nie wiem – odparła Dziewczyna, Która Przeszła.

– Ja wiem – powiedział ktoś, głos dobiegł z boku.

Rozsunęły świetlisą przędzę. Na wygiętym, białym ramieniu Brzozy siedział starzec w długiej białej szacie, spływającej aż do ziemi tak, że niemal zlewała się z pniem i byłby może w ogóle niewidoczny, gdyby nie broda, rozłożysta, czerwona.

– Witam cię, Perpigalo – rzekł do Dziewczyny, Która Przeszła.

– Witam cię, Perperuno – rzekł do Dziewczyny z Tamtej Strony. – Witam was obie. Jestem Vit-Bożyc, – Duch tego Miejsca, który dzięki wam może wreszcie wrócić po długim wygnaniu.

– Perperuna?! – wykrzyknęła Dziewczyna, Która Przeszła. – Nazywasz się Perperuna!

– Perpigala! – zawołała Dziewczyna z Tamtej Strony. – Nazywasz się więc Perpigala!

– Perpigala i Perperuna – powiedział Vit-Bożyc, Duch Miejsca. – Jesteście siostrami-bliźniaczkami. Pierwszymi bliźniaczkami, którym, jak do tej pory, udało się ocalеć od czasu tamtej straszliwej zbrodni.

Dziewczyny spojrzały na siebie i mimowolnie drgnęły pod wpływem tego samego wspomnienia: krzyk w świętej ciszy. Ich oczy mówiły: nie bój się, jestem z tobą. Cokolwiek by się działo.

– Pewnie dlatego – ciągnął Vit-Bożyc – że wasza dzielna matka odważyła się wam dać tamte imiona...

– Kim jest nasza matka? – spytała Perpigala.

– Kim jest nasza matka? – powtórzyła Perperuna.

Vit-Bożyc, Duch Miejsca pogłaskał swą czerwoną brodę, która zmieniła kolor na purpurowy.

– Tego nie mogę wam powiedzieć, niestety. Dowiecie się, jeśli uda się wam przejść...

Uniósł rękę powstrzymując dalsze pytania, po czym rozsunął gałęzie Brzozy i spojrzał ku niebu; jego twarz była skupiona i zasłuchana.

– Muszę się śpieszyć – szepnął. – Więc słuchajcie – podjął głosem mocno przyćmionym. – Opowiem wam pokrótce, co się tutaj, dawno, dawnu temu wydarzyło... Ta Polana była świętym miejscem pewnego bogobojnego, miłującego pokój ludu, zwanego Ludem zza Polany. Leżał tu ogromny święty głaz, który w praczasach spadł z niebios. Przy głazie-ołtarzu Ludzie zza Polany odprawiali swoje nabożeństwa. Palił się tu, stale podsycany, święty ogień, którego pilnowały specjalnie wybierane do tego celu strażniczki. To był wielki zaszczyt dla dziewczyny – zostać wybraną na strażniczkę świętego ognia! Każda o tym marzyła, choć to był zarazem bardzo ciężki obowiązek, oderwanie od rodziny, zwłaszcza że musiały tu stale przebywać. Ale – znowu spojrzał ku niebu – skracam się. Zdarzyło się kiedyś, że w pewnej rodzinie, tam za Polaną, przyszły na świat siostry-bliźniaczki. Podobne do siebie zewnętrznie nie do odróżnienia. Jedna z córek tego rodu zawsze była przeznaczona na strażniczkę świętego ognia. Jedna. A ich było dwie i... każda marzyła, by to właśnie ją spotkał ten zaszczyt. Ale – choć z wyglądu były nie do odróżnienia – charaktery miały różne, o czym niestety nie wiedział nikt. Może ich matka. Może kapłan... kapłan może czegoś się domyślał. Chodził coraz bardziej zasępiony: to on musiał rozstrzygnąć, która z nich zostanie strażniczką świętego ognia...

W przeddzień czternastej rocznicy ich urodzin (a urodziły się o północy) wezwał je na Polanę i powiedział:

– Zostaniecie tutaj, przy świętym ogniu. Będziecie pościć i modlić się zupełnie same, aż do północy. Ja też będę pościł i się modlił. O północy otrzymam znak i dokonam wyboru.

Tuż przed północą usłyszał krzyk: siostra siostrę zabiła. Straszliwe świętokradztwo, zbrodnia w świętym miejscu.

Ziemia zadrżała, wicher czarny porwał głaz-ołtarz i uniósł go z powrotem do niebios. Zamordowana siostra zamieniła się w Białą Brzozę, morderczyni – stała się Strzygą-Potwornicą. Niewidzialny mur odgrodził Polanę od Ludu zza Polany.

Nikt zresztą nie próbował się tu zbliżać: na obrzeżach, na bagnach, które powstały w miejscu, gdzie rósł święty las – zamieszkała Strzyga-Potwornica, która jest postrachem całej okolicy. Lud zza Polany stał się wyklęty przez inne ludy, unikają go jak zapowietrzonego, rozsiewającego grzech.

– Która? Która którą zabiła?! – wykrzyknęły siostry.

– To wiem tylko ja – rzekł poważnie Vit-Bożyc. – Ale nie zdradzę nikomu tej tajemnicy. Słuchajcie dalej: ulubionym zajęciem Strzygi-Potwornicy jest wabienie pięknych dziewcząt. Przemienia je w strzygi i inne demony, a już szczególnie poluje na bliźniaczki. Istnieje bowiem przepowiednia, że kiedyś przyjdą na świat bliźniaczki, których wzajemna miłość pokona Zły Czar, przywróci dawną świetność i dobre imię Ludowi zza Polany.

Aż do waszego przyjścia na świat Strzydze-Potwornicy udawało się zwabiać wszystkie bliźniaczki, zanim ukończyły czternasty rok życia. Matki bliźniaczek zdjęte straszny lękiem unikały dawania tamtych imiom swoim córkom. Wasza matka zrobiła inaczej...

– One tak się nazywały? Perperuna i Perpigala?!

– Tak. Urodziłyście się o północy, jak one i otrzymałyście ich imiona. A dziś, o północy, kiedy dzwon wybije dwanaście uderzeń, ukończycie czternaście lat... Każda z was mogłaby zostać strażniczką świętego ognia...

– Nigdy bez ciebie, Perperuno – powiedziała Perpigala.

– Nigdy bez ciebie, Perpigalo – szepnęła Perperuna.

Chwyciły się za ręce i popatrzyły na siebie kochającymi oczami jak fiołkowe studnie bez dna.

Wtem przetoczył się grzmot, wiatr rozwiał gałęzie Białej Brzozy i złote włosy sióstr. Świat zakołysał się jak poruszona ręką olbrzyma kołyska, zaszumiało, zawirowało, wir porwał dziewczyny, lecz tylko po to, by zdjąć je z drzewa i postawić na ziemi.

Ucichło wszystko. Stały na ziemi pod Białą Brzozą, a nad Polaną wisiało koliste, fiołkowe niebo, pośrodku którego jak źrenica oka tkwił wielki różowozłoty głaz. Dokładnie nad płytką czarną dziurą, która otworzyła się nie opodal Białej Brzozy. Na brzegu czarnej dziury



artúr sitnik

Marta Tomaszewska

Urodzona w 1933 roku w Warszawie, studentka wydziału filozofii Uniwersytetu Warszawskiego (gdzie brała m.in. udział w seminarium prof. Marii Ossowskiej), reporterka i redaktorka „Świata Młodych", „Walki Młodych", „Motywów". Ma barwne, a potem także bolesne doświadczenia z pierwszego żarliwego okresu budowy w Polsce ustroju tzw. sprawiedliwości społecznej i działania politycznych związków młodzieżowych. Autorka wielu prasowych opowiadań, od 1967 roku utrzymuje się wyłącznie z pracy twórczej.

Pisała od zawsze. Najpierw wiersze, opowiadania, potem powieści społeczno-obyczajowe i powieści dla dzieci. Dla nas najważniejszy jest baśniowo-fantastyczny rozdział w bogatej twórczości pisarki; mam wrażenie, że spora część czytelników „NF" mających dziś 20-30 lat, wdrażała się do czytania fantastyki właśnie na książkach Tomaszewskiej. Proponowała im autorka swoiste nowoczesne baśnie dla dorosłych (a jeśli dla młodych to współczesnych czytelników), oswajała z kosmosem, dziwnością, uczyła tolerancji, odpowiedzialności i... wyobraźni. Tytuły niektórych z nich: „Serpente w raju" (1978), „Podróż do krainy OM" (1979), „Omijajcie wyspę Hula" (1968), „Przeprowadź się do nas, Pu-bu" (1972). Najsłynniejszy, najbardziej znaczący był tu oczywiście czterotomowy cykl o Tapatikach – „Wyprawa Tapatików" (1974), „Tapatiki na Ziemi" (1976), „Tapatiki kontra Mandiable" (1976), „Powrót Tapatików" (1984) – który w 1982 doczekał się nawet adaptacji scenicznej. Studenci Uniwersytetu Śląskiego utworzyli w latach osiemdziesiątych Klub Tapatików, w czym maczał bodaj palce znany Państwu Piotr W. Cholewa.

Przypominamy panią Martę jedną baśnią mitologiczną „Na polanie"; bardzo interesujący ich zbiór czeka na odważnego wydawcę. Podobnie jak dwie powieści „Dolina czarów" i „Tetraktys".Ta druga ukazała się, ale nie ukazała się w 1990 roku w Wydawnictwie Śląsk. Autorka w każdym razie nie dostała ani egzemplarza, na rynku tej książki nie było, choć są wiarygodni świadkowie, którzy mieli ją w dłoniach i widzieli w bibliotekach Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego i ŚKF; była też w księgarni wysyłkowej Verbum. A to ci dopiero fantastyka!

(mp)

siedział Vit-Bożyc, Duch Miejsca. Jego długa broda była teraz intensywnie czerwona, płomienista.

– Co mamy teraz robić? – zapytała Perperuna.

– Powiedz nam, co mamy robić? – zapytała Perpigala.

Vit-Bożyc nie odpowiedział, tylko ręką wskazał w stronę otaczających Polanę drzew.

– Każe nam przejść – domyśliła się Perpigala.

– Pamiętasz, powiedział „Jeśli uda się wam przejść"? Przejdziemy i dowiemy się, kim jest nasza matka. – Idziemy, Perperuno.

– Idziemy, Perpigalo.

Poszły, przytulone do siebie, objęte. Lecz las, który poprzednio nie rozstąpił się dla żadnej z nich – nie rozstąpił się teraz i dla obu. Niewidzialny mur wszędzie je odpychał.

– Czekaj! Coś mi się przypomniało – rzekła Perpigala.

Sięgnąwszy do kieszeni fartuszka, wyjęła białoniebieskie piórko, przyłożyła je do niewidzialnej ściany i oto... w niewidocznej ścianie otworzyło się przejście. Perpigala zobaczyła drogę, jasną, rozśpiewaną ptasimi głosami, w której końcu widniał gród na wzgórzu, dokąd natychmiast wyrywało się jej serce.

– Udało się, Perperuno! – krzyknęła radośnie i przeszła. – Cudownie, jak tu cudownie, udało się nam, siostro moja!

Ale – co to? Na cudownej drodze, za niewidzialnym murem znalazła się sama...

– Perperuno, gdzie jesteś? – zawołała strwożona.

– Na Polanie! – odparła Perperuna. – Nie mogę przejść.

– Przyłóż swoje piórko, Perperuno.

– Nie mam go. Zgubiłam. Nie mogę przejść. Nie zważaj na mnie, Perpigalo, idź.

– Nigdy bez ciebie, Perperuno! – zawołała z mocą Perpigala.

Zawróciła. Lecz – co to? Nie udało jej się z powrotem wejść na Polanę! Widziała stojącą po drugiej stronie siostrę, lecz przejść nie mogła!

– Idź, Perpigalo! Zostaw mnie – prosiła Perperuna.

– Nigdy, Perperuno! – powtórzyła z mocą Perpigala. – Zostanę tu, przy tobie. Nie opuszczę cię, choćbyśmy tu miały umrzeć, siostro moja – dodała, wyciągając ręce – i ręce przeszły przez niewidzialną ścianę.

– Perperuno!

– Perpigalo!

Trzymały się za ręce uszczęśliwione. Lecz przeszły tylko ręce... Stały tak więc trzymając się za ręce po dwóch stronach niewidzialnego muru. Czas mijał. Niebo z wolna ciemniało, zmęczenie zaczęło ogarniać siostry... Były coraz słabsze, lecz nie rozluźniały uścisku rąk.

Aż w pewnym momencie zza drzew, od bagien, podniósł się cuchnący opar, który pochłaniał z wolna Perpigalę.

– Nie bój się, Perpigalo! – zawołała Perperuna. – Jestem z tobą. Nie puszczę twoich rąk. Jesteśmy razem, cokolwiek by się działo.

– Nie boję się, wiem, że jesteś, Perperuno – odparła Perpigala.

Nie bała się, lecz cuchnący opar pochłaniał ją, zacierał jej postać, jeszcze tylko fiołkowe oczy lśniły gorącą siostrzaną miłością, ale... i je z wolna pochłaniała straszna bagienna mgła.

„To Strzyga-Potwornica"! – domyśliła się Perperuna.

– Puść ją, Strzygo! Puść Perpigalę! – zawołała głośno. – Nie oderwiesz jej ode mnie. Umrę razem z nią.

– Nie umrzesz! Będziesz strażniczką świętego ognia. Ona umrze! Ona umrze! Ty będziesz strażniczką świętego ognia. Ty!

Głos skrzekliwy, obłąkańczy wydobywał się z cuchnącego oparu, w którym widoczne były już tylko oczy Perpigali. Jej oczy... ale czy to jeszcze ona?... Perperuna zadrżała. We mgle zarysowała się postać... wielka głowa tonąca w gęstwie ogromnych skołtunionych włosów...

– Perpigalo! – zawołała Perperuna przerażona.

Odpowiedziała jej cisza.

Fiołkowe oczy jeszcze lśniły, lecz blaskiem coraz bardziej zamazanym...

Gdzie jest śliczna, fiołkowooka, złotowłosa Perpigala?... Tam, za niewidzialną ścianą stoi koszmarna starucha. Potworny grymas wykrzywia najeżone zębami usta...

– Strzyga-Potwornica! – wykrzyknęła Perperuna.

– Tak! To ja! To ja! Nie ma żadnej Perpigali! Wpadłaś w pułapkę, ślicznotko! To ja byłam ptakiem, który upuścił piórko w twoją układankę. Nie nazywasz się Perperuna. Nie ma Perpigali. To ja przybrałam postać twojej siostry-bliźniaczki, która nie istnieje! Była tylko jedna siostra! Jedna! Jedna! Jedna!!

– Nieprawda! – krzyknęła Perperuna. – Kłamiesz! Trzymam jej ręce.

– Ha, ha, ha!! – zaśmiała się Strzyga-Potwornica. – Trzymasz moje ręce. Moje! Nie czujesz, jakie są szorstkie?! Jakie są twarde? Jakie zimne?!

Perperuna zbladła. Poczuła, że są szorstkie. Poczuła, że są twarde, że są zimne. Nie wypuszczała ich jednak ze swoich rąk. Kłamie. Kłamie ta obłąkana starucha...

„Perpigalo, siostro moja – pomyślała żarliwie – ty jesteś!" Ach! – przypomniała sobie nagle. – I jest przecież Vit-Bożyc, Duch Miejsca.

Ściskając mocno ręce wyciągnięte ku niej przez niewidzialną ścianę (były szorstkie, były twarde, były zimne), spojrzała za siebie. Gdzie jest Vit-Bożyc?... Siedział nad czarną dziurą pod głazem tkwiącym w niebie... jak...

Wytężyła wzrok: w mroku na chwilę zamajaczyła biała postać, w kontraście z ogromną czerwoną brodą, która rosła i płomieniała. Po chwili Perperuna widziała już tylko piękny, strzelający wysoko ogień... Widziała ciemnofiołkowe koliste niebo. Pośrodku koła – wielki różowozłoty głaz doskonale teraz widoczny w blasku strzelającego wysoko ognia.

– Święty ogień! Święty ogień! – zaskrzeczała Strzyga-Potwornica. – Będziesz strażniczką świętego og-nia! Ty! Nie ma drugiej siostry! Jest tylko jedna! Jedna! Jedna!...

Perperuna znowu obróciła się ku niej.

Tam, za niewidzialną ścianą, potworna starucha wiła się, skręcała w obłąkańczym tańcu. Lecz ręce w dłoniach Perperuny tkwiły nieruchomo.

– Są szorstkie! Są twarde, są zimne!... – śmiała się starucha. – Są moje!

– Wierzę, że jesteś tam, Perpigalo! – powiedziała spokojnie Perperuna. – Wiem, że trzymam twoje ręce. Trzymam je. Nie bój się, Perpigalo. Nie opuszczę cię. Jesteśmy razem, cokolwiek by się działo.

Ledwo przebrzmiały te słowa, wypowiedziane spokojnym, czystym głosem – cuchnący opar zadygotał i rozwiał



artur sitnik

się, jakby poszarpany przez wiatr. Perperuna poczuła, że ręce w jej dłoniach znowu stają się ciepłe, miękkie; pociągnęła je ku sobie i – niewidzialna ściana ustąpiła.

– Perpigalo! – zawołała Perperuna.

– Perperuno! – zawołała Perpigala.

Znowu trzymały się w objęciach – szczęśliwe, o świecie całym zapomniawszy.

Aż ocknęły się od dźwięku dzwonu. Nie uderzył tylko raz (a dźwięki dobiegały jakby spod ziemi), zaczęły liczyć zaciekawione:

– ...trzy, cztery... jedenaście, dwanaście... – Północ, Perperuno!

– Północ, Perpigalo! Mamy już czternaście lat!

Odczytały te słowa ze swoich warg, bowiem szum ogromny ogarnął las za Polaną, rozwiewał drzewa jak gałęzie. Z rozpierzchającego się lasu wybiegła Strzyga-Potwornica w czerwonej sukni, w wieńcu na skołtunionej głowie. Z krzykiem straszliwym rzuciła się w ogień płonący na skraju czarnej dziury, a wówczas z nieba spłynął, jakoś tak lekko, bezszelestnie, różowozłoty głaz i cicho osiadł na swoim dawnym miejscu. A na Polanę spłynęła cisza, wielka, święta, uroczysta...

Siostry poruszone, głęboko przejęte, podeszły do ognia i usiadły na ziemi. Czas mijał, noc jaśniała, a one siedziały wpatrzone w ogień, aż usłyszały dochodzący z tyłu gwar.

Spojrzały:

Jasną, piękną drogą nadchodzili ludzie. Szło ich wielu, tysiące. Lecz Perpigala i Perperuna od pierwszej chwili widziały tylko smukłą kobietę idącą na czele, która w momencie, kiedy wstały i już mogła je zobaczyć, przyśpieszyła kroku, prawie biegła. W świetle jutrzenki jej złote włosy lśniły jak złoty obłok. Siostry chciały wybiec na spotkanie, lecz nie mogły postąpić kroku, obezwładnione słodko-bolesnym przeczuciem. A ona przyśpieszała, przyśpieszała, już tu była, była blisko!

– Perperuno! Perpigalo! Córki moje! – zawołała otwierając ramiona.

– Matko!

– Perperuna, Perpigala!... – szeptała matka tuląc je do siebie. – Córki moje, ocalone, odnalezione...

Tuliła je do siebie i tuliła, a tymczasem Polana wypełniła się ludźmi. Stali w pewnym oddaleniu, złote włosy sióstr i złote, przetkane siwizną włosy matki przemieszały się, splątały, aż znajdowały się wszystkie trzy, jakby we wnętrzu jaśniejącej złotej kuli. Aż gdy słońce wytoczyło się nad Polanę, wysoki, barczysty mężczyzna, którego strój i władcza postawa pozwalały się domyślać wodza, podszedł, rozsunął złote włosy...

– Pozwól, żono moja, i mnie nacieszyć się naszymi córkami. Pozwól braciom nacieszyć się siostrami – powiedział.

Perperuna i Perpigala obróciły się żywo: wysoki, barczysty mężczyzna stał w otoczeniu równie wysokich jak on, lecz jeszcze młodzieńczo smukłych chłopców.

– To wasz ojciec, pan tego Ludu – powiedziała matka. – A to wasi czterej bracia.

– Witajcie, córki moje! Zdjęta wreszcie klątwa z rodu mego, z mojego Ludu... – powiedział kniaź, a jego ogorzałą, naznaczoną cierpieniem twarz rozjaśniła radość. – Koniec naszej udręki, koniec naszej poniewierki!

Był to rzeczywiście koniec poniewierki, koniec udręki. Lud zza Polany odzyskał szacunek i dobre imię u sąsiednich plemion. A Perpigala i Perperuna nie rozstały się nigdy. Nie wyszły za mąż, choć wielu świetnych młodzieńców starało się o ich rękę. Zamieszkały w chacie specjalnie dla nich zbudowanej na Polanie, nie opodal Białej Brzozy, a ludzie z całego świata przychodzili do nich po wróżby, porady i pociechę.

Tak, tak, w całym ówczesnym świecie zasłynęły siostry bliźniaczki z Polany, których wzajemna miłość okazała się silniejsza niż Zły Czar. Siostry-Polanki, jak je nazywano. Wkrótce też cały ich Lud zaczęto nazywać Polanami.

Marta Tomaszewska

Tatek przyjechał...

Eugeniusz Dębski

PS Przyjechał Holling. Jego matka i ciotki robią piknik nad Potokiem z Dziurawego Wiadra.

– Rufi, chłopie! To jest najdziwniejszy potok świata. Wypływa z płaskiej skały, która rzeczywiście wygląda jak wiadro. I on płynie, mówię ci, tylko ze trzysta metrów, potem nagle wsiąka w ziemię i koniec. Kapujesz? Jakbyś nawet chciał, nie możesz w nim utonąć. Ciotki już przeglądają namioty, mamy cztery. To co?

Krzyczał do mnie, podskakiwał na siodełku roweru, cały czas naciskał i puszczał pedał. Musiałem kręcić stale głową, bo inaczej bym go stracił z oczu. On jest taki sam na lekcjach. Panna Sim mawia, że obserwując Hollinga ma darmową gimnastykę.

– Zapytam mamę – powiedziałem.

– Dobra. – Pociągnął nosem i na chwilę znieruchomiał. – No? Na co czekasz? Idź!

– Teraz?! Zgłupiałeś? Zapytam wieczorem. Moja mama nie lubi, jak ją zaskakuję, muszę ją przygotować.

– Niby jak?

– Och, tego się nie da wytłumaczyć. Po prostu zadzwonię do ciebie wieczorem i ci powiem...

– A dlaczego ona ciebie nigdy nigdzie nie puszcza?

Sam bym to chciał wiedzieć, wzruszyłem ramionami, niech pomyśli, niech się pomęczy. Ale Holling lubi, jak się mu wszystko powie.

– Przecież nie jesteś taką fujarą jak Lui? Jego sam bym nigdzie nie wziął, bo natychmiast by sobie złamał rękę, nogę czy co innego, prawda?

– Holly, nie dręcz, co? Bardzo chcę pojechać z wami, ale muszę pogadać z mamą. Zadzwonię.

Znowu pociągnął nosem, coś do mnie powiedział, ale równocześnie ruszył i zagłuszył go szurgot opony. Stałem chwilę przed domem rozglądając się na boki. Pani Leufer jak zwykle męczyła swoje róże, chcąc je zmusić do przerośnięcia róż panny Holtzwig, ale – to nawet ja wiedziałem i każdy, kto ma trochę oleju w głowie – róż panny Holtzwig nikt nie przeskoczy, ona ma po prostu królewskie róże. Ma rękę do róż, mówi mama. Mówi, że Heidi Holtzwig może wziąć spleśniały bakłażan, zakopać go, podlać kilka razy i wyrośnie z tego wspaniała róża. No, przesada, dorośli czasem chcą coś ładnie opisać, to się nazywa obrazowo. Tak, jak na przykład, że ktoś ma nogi do samej szyi! Przecież to by była jakaś oskubana z sześciu nóg ośmiornica!

Wróciłem do domu i od razu wiedziałem, że mama wie, że rozmawiałem o czymś z Hollingiem. Niby nie patrzyła przez okno, niby wieszała pranie na sznurach z drugiej strony domu, ale miała taką swoją minę „Czekam na...". Spróbowałem ją przetrzymać, skubnąłem odstającą skórkę stygnącego bochenka chleba, wsadziłem do ust i poszedłem do schodów zamierzając schować się przed jej spojrzeniem, ale nie dało się.

– Ru-uf?

– Tak, mamo?

Uśmiechnęła się z lekkim wyrzutem i politowaniem. Westchnąłem.

– Mamo! Dlaczego Sprawiedliwość daje przestępcom szansę, wyznaczając do przesłuchań jakichś durnych drabów, którzy jedyne, co potrafią, to podłączyć podejrzanego do prądu? Przecież wystarczyłoby napuścić na takiego zbira ciebie i po dwudziestu minutach wszystko wyśpiewa.

– A ty?

– Już śpiewam. Nie chciałem ci mówić, bo i tak się nie zgodzisz...

Spróbowałem tej starej zagrywki, ale nie – mama nie daje się naciągnąć na rzadne takie numery. Jest dokładna i niezmienna jak tabliczka mnożenia. Widzę, że nic z tego nie wyjdzie, więc powiedziałem, co mi zaproponował Holling, i stało się, jak myślałem:

– Kochanie... – Wiadomo: jak mama mówi „kochanie", to to ma osłodzić odmowę. – Wiesz, że nie potrafię żyć nie mając ciebie na widoku.

– Jak jestem w szkole, to wytrzymujesz!

Taka rozmowa jest jak zgrana płyta. Każde z nas wie, co za chwilę powie to drugie, a już ta moja riposta o szkole jest głupia i nielogiczna jak żadko... Napisałem „żadko" i teraz się zastanawiam czy „rzadko" czy „żadko". Nieważne, będę na razie pisał, jak mi podejdzie.

– Ruf, proszę natychmiast podejść do swojej matki, uścisnąć ją i pocałować. Chyba że czujesz się pokrzywdzony...

Podszedłem i przytuliłem się do niej. Westchnąłem głośno, żeby słyszała.

– Nie, nie czuję się pokrzywdzony. Nie potrafię się na ciebie gniewać.

Poczułem, jak jej brzuch zatrząsł się od śmiechu. Klamerki do bielizny w kieszeni fartucha rozklekotały się, palce mamy wpiły się w moje włosy.

– Debbie McGovern w „Spadając jak jesienne liście"?

– Zgadza się. – Oderwałem się od niej. – A swoją drogą, kiedy dzieci przestają być dziećmi?

– Nigdy.

Mama powiedziała to cicho i bez specjalnego nacisku, ale poczułem, że tak właśnie myśli i że pewnie nigdy nie będę mógł sam decydować o swoim losie. No to co? Pewnie, czasem leciutko zazdroszczę innym dzieciom. Dziewczyny mają w ogóle lepsze życie, większość chłopaków też. To znaczy: lepsze w sensie – swobodniejsze, tylko moja mama i jeszcze może grubego pryszczatego Richarda z szóstej są takie ostre. Tylko tamten ma przewalone okrutnie, też ma ojca gdzieś na cholernym drugim końcu świata, ale jego matka czeka na niego pod szkołą z punktualnością zegara kolejowego. Jak zobaczysz przez okno panią Mittelbrach, możesz, bracie, chować zeszyty do torby – za dziesięć sekund dzwonek. Jak bum-bum! Może woźny nawet nie patrzy na swój zegarek, tylko czeka na nią, nie wiem.

Ale się rozpisałem, żeby krócej, bo już mnie palce bolą – wcale nie pragnę urwać się spod opieki mamy. Często wyjeżdżamy na wycieczki sami, albo z kimś z chłopaków, albo z ciotką Carmen i jej córkami, albo w jeszcze jakimś innym składzie. Warunek jest jeden – mama musi być. Lubi kwoczkować, tak kiedyś powiedziała Carmen. Mama coś jej na to powiedziała o moim garniturze, ale powiedziała takim tonem, że ciotka tylko pisnęła coś i spokój. Nawet ja, chociaż byłem okropnie ciekaw, co to miała być za uroczystość, na którą miałbym się wbijać w „garnitur", nie zapytałem o to mamy. No, wystarczy, nic się nie stało, a rozpisałem się, jakby odwiedził nas burmistrz miasta co najmniej. Pojutrze sprawdzian z gegry.

PS 2 Jest trzecia w nocy! Nie zasnę i nic dziwnego – przyjechał Tatek!!!!!! Rany, ręce mi się trzęsą. Jest taki, jak go pamiętam – wysoki, ciemnowłosy, w skórzanym płaszczu, z tą samą torbą w wytłaczane jodły. Wydaje mi się niższy, ale przecież to ja urosłem! Mocno mnie wyściskał, pokłuł zarostem. Mama...

Po kolei. I tak nie zasnę, będę pisał, aż zadzwoni budzik.

Była siódma piętnaście, może dwadzieścia. Akurat brzęknął dzwonek piekarnika i mama – jak zwykle – westchnęła: – Strasznie jestem ciekawa, co też tym razem ten złośliwy piecyk mi wykręci? – i poszła do kuchni. Ja wiem, że piecyk, kiedy się już go dobrze rozpali, piecze znakomicie, w każdym razie mama nie daje mu szans... Mama wyszła, zgrzytnęły dźwiczki, zacząłem węszyć – dwuwarstwowy placek jabłkowo-wiśniowy. Mmmmm! Coś tam szczękało w kuchni, postukiwało, nie odzywałem się, żeby nie zalać śliną spodni. Mama jęknęła do „siebie": „Aj-jaj-jaj! Cały popękał i chyba zakalec, prawie na pewno...". Znam jej odzywki, musiałem przełknąć ślinę jeszcze raz i jeszcze. Mama weszła do salonu i jak gdyby nigdy nic usiadła w fotelu udając, że nie widzi mojego rozpaczliwego spojrzenia. Po chwili jednak nie wytrzymała i roześmiała się:

– Musi wystygnąć, od gorącego można dostać skrętu jelit.

Akurat, jakbym nie zjadał po pół gorącego placka! Ale nic, twarz – blacha, kiwnąłem głową i już wyciągałem spod siebie nogi, żeby wstać i tak od niechcenia przejść się do kuchni, kiedy ktoś energicznie zakręcił dzwonkiem u drzwi. Oboje drgnęliśmy, mama – dziwne – rzuciła spłoszone spojrzenie na kalendarz, pewnie wystraszyła się, że to pani Jaegger od spłaty rat, potem poderwała się i sztywno pomaszerowała do drzwi. Mnie nawiedziły egoistyczne myśli o morderstwie, jeśli zjawi się ktoś, kto będzie pretędował do placka. No nic, mama idzie do drzwi, przystaje i pyta – jak na siebie – słabym głosem:

– Kto tam?



Piotr Kowalski

– To ja! – mówi jakiś facet. – Może nie w porę?

Mama obejrzała się na mnie, ja pomyślałem nieśmiało „Tatek?" i wytszeszczyłem na mamę gały, a ona – zamiast otwierać szybko drzwi – wpatrywała się we mnie chwilę, uśmiechnęła się nieśmiało i kiwnęła głową. Dopiero potem otworzyła te nieszczęsne drzwi. Tatek!

Wszedł niosąc przed sobą tę torbę, właściwie popychając ją przy każdym kroku kolanem nogi, omal nie grzmotnął nią mamy w brzuch. Ominął ją, cisnął torbę na podłogę i odetchnął głęboko.

– No, to jestem!

Mama patrzyła na niego chwilę, potem przysunęła się i wzięła go za ręce, a potem przytuliła. Tatek głaskał ją jedną ręką po plecach, drugą wsunął pod włosy na karku, a nos wtulił gdzieś pod mamy ucho. Dopiero po chwili popatrzył na mnie, jakoś tak, jakby mnie oceniał, szacował, że tak powiem. Prawie się obraziłem, ale zaraz sobie przypomniałem, ile nie widziałem tatka i pomyślałem również, że też uważnie mu się przyglądam, też go taksuję. Zsunąłem się cały ze swojego fotela, podskoczyłem na nodze – druga mi ścierpła.

– Ruf? – powiedział tatek. – Ty stary byku! Aleś urósł!

– Nie tak bardzo – chciałem powiedzieć. Zamiast tego wyskrzypiało się ze mnie coś jak: „Chje-chi-żje-gho!" Nawet nie mogłem odchrząknąć, bo zaraz zakrztusiłem się, chyba śliną. To musiało być dziwne, bo mama oderwała się gwałtownie od tatka i popatrzyła na mnie. – Nie tak bardzo – powtórzyłem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. – Od zeszłego roku trzy centymetry...

– Ale widzieliście się ponad cztery lata temu... – szybko wtrąciła mama, co wyglądało jakby broniła moich trzech centymetrów albo słabej pamięci tatka. – ...Widzieliśmy się ponad cztery lata temu – dodała poprawiając poprzednie zdanie.

Ja zrobiłem krok do tatka, on puścił mamę a ja, jakbym zapomniał o swoich dwunastu latach, rzuciłem mu się na szyję. Nie wiedziałem, jak się zachować, więc tylko przytuliliśmy się policzkami. Kłuł. Czułem jego ręce na moich łopatkach i trochę niżej, mocno mnie przyciskał, czułem mocny zapach tytoniu, jakąś wodę kolońską. Mocno też pachniała skóra jego kurtki i to był najprzyjemniejszy zapach. Po chwili uznałem, że wystarczy tego wiszenia na tatku, zjechałem po nim na podłogę zaczepiając łokciem o kieszeń. Ten łokieć tak mi jakoś dziwnie wpadł, że przez chwilę nie mogłem go uwolnić z obszernej kieszeni. Tatek parsknął śmiechem, ja się szarpnąłem i nagle nogi w skarpetach podjechały mi na śliskiej podłodze, przejechałem obok tatka i byłbym hrymnął plecami o podłogę, gdyby nie mocny chwyt tatka. Podciągnął mnie, w końcu wyszarpnąłem ten swój łokieć i miałem zamiar się obrazić za ten śmiech, ale mama roześmiała się, poza tym zobaczyłem, że zaczynają mu błyszczeć oczy i przemknęło mi przez myśl, że wcale nie musi mu być lekko i machnąłem ręką na swoje obrażanie. Roześmiałem się też. No, ze dwie minuty tak się śmialiśmy. Potem mama „się znalazła":

– Za chwilę miałam podawać ciasto, taki tam zakalczyk, wiesz – ten z wiśniami i jabłkami. Zaparzę kawy, prawda? Czy herbaty?

– Dużo mocnej kawy, OK? Ja szybko spłuczę się pod prysznicem...

– Świetnie. – Mama pokazała mu schody, jakby sam nie wiedział, dokąd ma pójść, rzuciła niepewne spojrzenie na torbę. – Już parzę. Chodź, Ruf.

Zamierzałem pomóc tatkowi, ale zobaczyłem, że porwał bagaż i ruszył do góry, więc poszedłem z mamą do kuchni. Nazywało się to, że jej pomagałem, ale w gruncie rzeczy, nie wiem, chyba tylko się pętałem odskakując jej z drogi. Udało mi się tylko podać paterę na ciasto. Oprócz tego nuciła coś, a to żadkie zjawisko, przez chwilę nawet wydawało mi się, że chce mnie zagłuszyć, ale przecież nic nie mówiłem. W każdym razie zaparzyliśmy tę kawę, pokroiliśmy – ciągle piszę w liczbie mnogiej – ciasto, przenieśliśmy do pokoju. Ściszyłem telewizor i przestawiłem fotel tatka. No i już nie było nic więcej do roboty. Czekaliśmy w milczeniu, coś mi mówiło, że lepiej, żebym mamy w tej chwili nie nagabywał, bo... Nie wiem, ale tak mi wyszło. Trwało to kilka minut, potem tatek zszedł na dół. Miał mokre „rozkudlone" włosy. Nie wytrzymałem i powiedziałem mu, że ma dłuższe włosy niż kiedyś.

– Pewnie! Znalazłem dobry preparat na porost – roześmiał się, ale trochę niepewnie.

Postanowiłem, że nikomu-nikomu nie powiem, że tatek używa jakiegoś płynu na porost włosów i jeszcze postanowiłem podtrzymać go na duchu:

– To mi powiesz, jaki to, dobrze? Pan Michaelson ciągle robi sobie tego patryka na głowie...

– Patryka?

– No wiesz, ten Święty Patryk z mojego obrazka, nie pamiętasz? Tak jest namalowany, jakby miał włosy sczesane z tyłu aż na czoło.

– A, ten! – roześmiał się. – Już wiem. – Zawęszył głośno i wytrzeszczył oczy na stół. – Wiem też, że jak będziemy tak się zagadywać i odkładać zjedzenie ciasta na później, to zjemy je w końcu zimne, tracąc szanse na ból brzuszka.

Puścił do mnie oko, a ja – oho, czekałem na to już od dawna – odstrzeliłem mu je natychmiast. I zabraliśmy się do pałaszowania ciasta. Świetne, wyśmienite-nite!

– Opowiesz? – zapytałem po trzecim kawałku, kiedy moje tempo nieco spadło.

Kiwnął głową, że tak, ale zaraz pokazał niedokończony kawałek ciasta i resztę na paterze. Boziu, ten to może!..

– Czy mógłbym prosić... – powiedział do mamy oblizując wargi. ... o powtórkę w najbliższych dniach?

– Jutro?

– Nie chciałem tego sugerować – uśmiechnął się szeroko.

Mama uśmiechnęła się również i ja dołączyłem do nich.

– Co teraz robisz?

– To, co i wcześniej – nawadniam.

– Już tyle lat? – zdziwiłem się.

– A co ty myślisz!? Te osiem lat suszy po odwiedzinach komety Fenix niemal uśmierciło ludzkość, dlatego wszyscy mężczyźni walczą o wodę dla nowych pustyń, przy okazji dla starych pustyń i tak dalej.

EUGENIUSZ DĘBSKI

Urodzony 26 stycznia 1952 w Truskawcu. Rusycysta po Uniwersytecie Wrocławskim, kierownik Studium Języków Obcych AWF we Wrocławiu. Członek i gwiazdor popularnej parę lat temu wśród fanów tzw. wrocławskiej trupy rozrywkowej (Dębski-Drzewiński-Inglot-Ziemiański). Tym razem ED przedstawia się Państwu opowiadaniem poważnym, jeśli nie posępnym. Ciekawa proza, ciekawy konflikt, ciekawa sytuacja, wyprowadzone z nieprzebranych zasobów klasycznej SF, która przecież nie całkiem umiera, lecz transformuje, zbliżając się do głównego nurtu (ten z kolei mocno odparował).
Oprócz shortów drukowaliśmy następujące dłuższe opowiadania ED: „Najważniejszy dzień 111384 roku" („F" 5/84), „Czy to pan zamawiał tortury?" („F" 4/87), „Śmierdząca robota" („NF" 5/93). Przy ostatnim opowiadaniu zamieściliśmy obszerny biogram z informacjami o bogatym książkowym dorobku Dębskiego.

(mp)

– A gdzie teraz jesteś?

– Teraz, bąbelku, holuję icebergi do Australii. Chociaż akurat tego nie pochwalam – tam po prostu nie ma nic i nic chyba nie będzie. Ale to nie mój interes. Trzeba, to trzeba.

– A kiedy skończysz?

Parsknął przez nos, zwalił się na oparcie fotela i sięgnął do kieszeni koszuli. Oczekiwałem, że wyciągnie swój ulubiony „Four Star", ale nie była to ta paczka. Chyba „Canyon". Zapalił, popatrzył na mamę i to jakby uruchomiło ją:

– Fuj! Znowu trzeba będzie wietrzyć firanki przez całą noc.

– Od kiedy cię znam, zawsze tak mówisz.

– A ja od kiedy cię znam, zawsze zasmradzasz całe mieszkanie.

– A ja... – włączyłem się do tej ich gry w głuchy telefon ... od kiedy was znam, muszę wysłuchiwać tego samego tekstu.

– He-ej? Przemądrzałek nam tu rośnie – powiedział tatek z dziwnym niezadowoleniem w głosie.

– Nie jestem przemądrzałek! – zaprotestowałem. Chciałem mu udowodnić, że tak nie jest, ale mama się włączyła i nie dopuściła mnie do głosu:

– Ruf, nastaw wodę na wrzątek, dobrze?

Poszedłem do kuchni, nalałem wody i zawróciłem do pokoju. O krok od drzwi usłyszałem czyjś szept i odruchowo, naprawdę odruchowo zatrzymałem się tuż przed drzwiami. Usłyszałem jak mama mówi:

– Nie, wszystko w porządku.

Aha, pomyślałem, pewnie tatek pyta, jak mi idzie w szkole albo czy jestem grzeczny, czy coś w tym stylu. Wachałem się, czy podsłuchiwać dalej, ale zrezygnowałem. Odskoczyłem od drzwi, a potem głośno tupiąc wróciłem do salonu. Przypatrywali mi się z napięciem i nagle mama przygryzła wargę, zamrugała oczami i zawołała:

– Och, woda!

Wybiegła do kuchni. A przecież założyłem gwizdek na czajnik i go nie słyszałem?

Tatek przez trzy godziny opowiadał o wyszukiwaniu gór lodowych, ich holowaniu, cięciu. Zrobiło mi się zimno jak przy czytaniu książek Shermana. Potem mama pognała mnie do pokoju, myślałem, że zasnę na schodach, ale kiedy położyłem się, sen nagle odfrunął. Słuchałem, jak tatek gwiżdże rozpakowując się do szafy, a potem rozmawiali o czymś z mamą, cicho i poważnie...

ŚRODA, popołudnie, 26 września, 2203. Zostałem ukarany. Jak bum-bum – nie wiem za co. Pani Pentwisk powiedziała, że za arogancję. No, ludzie – jak ja jestem arogancki, to co powiedzieć o Katherine albo o Hansie, albo o Peterze? Oni poszli sobie do domu, a ja, któremu najbardziej zależy na tym, żeby już być z rodzicami – siedzę w pustej klasie. Trudno. To znaczy – trudno się z tym pogodzić.

Powiedziałem rano Hollingowi, że przyjechał tatek. Holly od razu rozprzestszenił to po całej klasie, a Peter natychmiast zameldował pani Pentwisk.

– Naprawdę uważasz, że powinieneś się tym chwalić, Schurman?

– Ja się nie chwalę, ja...

– Świetnie wiesz, ile dzieci ma na stałe ojca – powiedziała zupełnie nie słuchając mnie. – Niemal wszyscy mężczyźni walczą dla nas o życie całej planety. Nie mamy słów uznania za ich poświęcenie i wytrwałość. Ale ich wizyty, choć prawnie usankcjonowane zapewne, odrywają ich od pracy...

– Mój tata w normalnych czasach miałby już osiem lat urlopu! – wtrąciłem się.

– Ale nie mamy normalnych czasów, prawda, dzieci? Być może nawet godzina może rozstrzygnąć walkę z przyrodą na jej korzyść.

Oczywiście, paru lizusów nie straciło okazji – Karen, Georg, Paula zaczęli potakiwać na wyścigi. Nie mam im tego za złe – do mnie przyjechał tatek, oni muszą czekać. Zwłaszcza dziewczyny, te, które nie mają ojców na miejscu, niemal nie mają odwiedzin, co prawda, więcej jednak dziewczyn ma ojców tutaj niż chłopaków. Kiedyś to policzyłem i pokazałem pannie Klein, a ona powiedziała mi, że statystyka może okropnie sfałszować rzeczywistość, a kiedy nie zrozumiałem, powiedziała, że jeśli człowiek stanie jedną nogą na rozpalonej płycie pieca, a drugą wsadzi do zamrażalnika, to statystyk powie, że przeciętnie ten facet czuje się nieźle. Mnie to bardzo rozśmieszyło, ale gdy opowiedziałem to mamie, to się nie śmiała.

Pamiętam, jak zazdrościłem Hugonowi, kiedy miał ojca w domu, tylko że ja bym się nie poniżył... A, niech im będzie. I tak się czuję wspaniale. Tatek będzie z nami całe dwa tygodnie...

– Mój tata został wręcz wyrzucony na urlop, nie brał go od pięciu lat! – nie wytrzymałem i krzyknąłem.

Może by i nic się nie stało, ale ten wredny gnojek Georg powiedział: – Cho-cho-choooo?.. – Jakby się dziwił pani Pentwisk, że tyle wytrzymuje i ona, oczywiście, nie wytrzymała:

– Schurman, jesteś arogancki w stopniu przekraczającym wszelkie dopuszczalne granice! Zostajesz w szkole do czwartej, dopilnuję tego.

Dopilnuje, akurat! Pół godziny później już maszerowała przez boisko w stronę przystanku tramwajowego. Pewnię komuś kazała rzucić na mnie okiem, ale kto by pilnow...

Tak mnie zaskoczyła, że przestałem na chwilę pisać – po korytarzu szli Georg i Peter. Podeszli do okienka w klasie i sprawdzili, czy jeszcze w niej jestem. Potem zrobili dumne miny i odeszli. Zjawili się po kwadransie, ale już bez min, potem przyszli jeszcze raz. Chyba byli źli, a ja postanowiłem, że niechby nie wiem co, nie ruszę się z klasy przed czwartą. To się zrobiło śmieszne jak diabli – oni zaczęli mnie pilnować, a skończyło się tak, że ode mnie zależy, kiedy skończą służbę. No to ich przetrzymam. Rozłożyłem podręczniki i udawałem, że się uczę, a nawet trochę się rzeczywiście pouczyłem.

Wyszedłem z klasy chwilę po tym, jak zegar ratuszowy wydzwonił czwartą, wskoczyłem do tramwaju, tego najstarszego na linii, w całym miasteczku. Najbardziej go lubię – zrobiony ma model z połowy XX wieku albo i wcześniejszy, mosiężne rury, welur na siedzeniach, podnóżki. Stał sobie w miejskim muzeum, ale gdy okazało się, że wszyscy nie mogą korzystać z samochodów, bo to nieekonomiczne i nie wystarczy nośników energii, to wtedy powyciągało się wszystkie takie cuda na elektryczność, bo łatwo obsługiwać i już. Przepchnąłem się do okna, miałem nosa – po dwóch przystankach zobaczyłem, że tatek idzie wolno w kierunku szkoły. Runąłem do wyjścia, doczekałem się przystanku, przedarłem przez te wszystkie kobiety i rozdarłem na całe gardło:

– Taaatehhek!

Pognałem w jego kierunku pustą jezdnią, przeskoczyłem płotek i już byłem z nim.

– Nie wrzeszcz tak, synu. Nie jestem głuchy, a ty zachowujesz się jak dziecko – powiedział uśmiechając się wprawdzie lekko, ale chyba nie był ze mnie zadowolony. – Gdzie byłeś?

Aha, mama posłała go na poszukiwania. Opowiedziałem mu wszystko, wysłuhał i odchrząknął.

– Synu, musisz zrozumieć – nie wszyscy mają komplet rodziców, walka z naturą wymaga olbrzymiej liczby ofiar. A ci, co mają obu rodziców, mogą ich widywać w najdziwniejszych odstępach czasu, to nie od nas zależy. Jeśli akurat w danym miejscu nic się nie dzieje, prognozy są pomyślne i wszystko inne – zaczyna się loteria, kto z kilku tysięcy ludzi może pojechać do domu. A jeszcze może być tak, że tuż przed odlotem prognozy się zmienią, może się popsuć samolot i kilka innych „może”...

– Ja przecież rozumiem – powiedziałem. – Chyba nie powiesz, że coś zrobiłem nie tak?

– No nie, nie powiem.

– To dlaczego jesteś ze mnie niezadowolony?

– Ja? Niezadowolony? Co ci przyszło do głowy?

– Zawsze kiedy mówiłeś do mnie „synu”, to to był sygnał, że wiesz, że coś przeskrobałem...

– Synu-u... – Jasne, teraz żartował sobie ze mnie, ale to nie zmieniało sytuacji. – Dobra, szczerze: nie podoba mi się słowo „tatek”. Nie wiem, czy to zrozumiesz – to było fajne, śmieszne i trochę wzruszające, kiedy przekręciłeś jakieś inne słowa i zmontowałeś z nich „tatek”. Byłeś malutki. OK. Ale już nie jesteś brzdącem i teraz mnie to jakoś... pocmokał krzywiąc się i kręcąc głową. – No, nie lubię. Przepraszam cię, gdybyśmy mieszkali razem, nie powiedziałbym ci tego tak jak teraz, ale mamy mało czasu. Musimy co kilka lat zmieniać się, dostosowywać do siebie i to w krótkim odcinku czasu. Rozumiesz mnie?

Zastanawiałem się chwilę. Rozumieć – rozumiem, tylko nie rozumiem, co to ma wspólnego z tatkiem. Zawsze był tatek... Ale – w końcu – nie będziemy się kłócić o jedno słowo.

– To jak mam mówić?

– Hm? Nie wiem – tatuś, ojcze, może po prostu Charlie? Co?

Nagle poczułem, że wychodzę z wieku dziecinnego – własny tate... ojciec proponuje przejście na „ty”?! Niby dokoła nic się nie zmieniło, te same tramwajowe tory, te same sklepy i witryny, te same liście na chodnikach, ale ja jestem od tej chwili inny. Przez chwilę coś mnie nawet zaszczypało w oczy.

– Charlie – oświadczyłem z całą powagą – Ty to jak coś powiesz, to wiesz!..

Tatek... No, znowu ten tatek! Chyba nie tak łatwo będzie mi się odzwyczaić, a zresztą tu, w dzienniku, chyba nikomu to nie pszeszkadza? Tatuś... Nie, jeszcze gorzej. Zostanę na razie w pamiętniku przy tatku. Więc tatek położył mi rękę na ramieniu i tak maszerowaliśmy po głównej naszej ulicy. Mnóstwo ludzi się nam kłaniało, tatek był zamyślony i właściwie pierwszy sam się nigdy nie ukłonił, ale grzecznie wszystkim się odkłaniał, poznawał ich chyba, bo nie pytał mnie kto to, ale myślami był daleko. Może przy swoich górach lodowych? Więc mu nie przeszkadzałem. Doszliśmy do końca ulicy, praktycznie do granicy miasta, postaliśmy chwilę na wzgórzu widokowym, na kopczyku usypanym kiedyś, hen, w zamierzchłej pszeszłości. Wcale się do siebie nie odzywaliśmy, ale i nie było trzeba.

W domu czekała zdenerwowana mama (musieliśmy się obaj ostro tłumaczyć) i tort, sześciowarstwowy. Potem, wieczorem, zadzwoniła ciotka Carmen i wprosiła się z wizytą. Teraz, kiedy to piszę, przypomniałem sobie, że tak pomyślałem: „wprosiła się”. Jestem świnią. Ciotka zawsze mnie rozpieszczała i jej córki, Edna i Michelle, są bardzo fajne i ładne. Dlatego nie wiem, czemu pomyślałem z taką złością „wprosiła się”. Zazdrość!? Chyba tak? Na szczęście uprzytomniłem to sobie, jeszcze zanim ciotka przyjechała. To jest ładna kobieta, prawie tak ładna jak mama. Ma nawet trochę więcej w biuście. Odstawiła się na tę wizytę ze smakiem i bez przesady. Ciotka bomba-omba! Po torcie zabrałem kuzynki do siebie i pograliśmy w *carnavalie*; jak zwykle przegrałem z tymi czarownicami i jak zwykle nie potrafiłem się na nie rozzłościć. Po prostu – bliźniaczki są tak ze sobą zgrane, że nie masz szans. Usiłowałem się zemścić łaskocząc Michelle, ale one – mimo że są młodsze, mają po jedenaście – są dwie. Po chwili miały mnie w rozkładzie i łaskotały, jak i gdzie chciały. Na dół zeszliśmy zaczerwienieni i z mokrymi od śmiechu oczami. Carmen – sama roześmiana od ucha do ucha i rumiana – rzuciła na nas jedno spojrzenie, kiedy jeszcze byliśmy na schodach i coś powiedziała do rodziców. Tatek się roześmiał, a mama nie. Michelle, jak to zobaczyła, ze złością syknęła do Edny: „Głupia!”, ale nie zdążyłem zapytać, kto i dlaczego. Teraz, kiedy to piszę, widzę, że wyszedłem na kpa i gamonia – wszyscy coś usłyszeli i zrozumieli, tylko nie ja. Muszę wypytać kiedyś Michelle albo lepiej Ednę.

Zupełnie inaczej jest w domu, kiedy jest w nim tatek. Koszmarna jest ta rozłąka, mama też tak uważa: kiedy kończyłem już robić zapiski z dzisiejszego dnia, przypomniałem sobie, że obiecałem Holly'emu pożyczyć swoją procę, więc wstałem i poszedłem do szafki, i usłyszałem, jak mama powiedziała:

– Ileż to jeszcze będzie trwało? Przecież to nieludzkie!..

– Któż to może wiedzieć? – odpowiedział tatek. – Cieszmy się, że w ogóle jest jeszcze o co walczyć.

Wstrzymałem oddech i bez najmniejszego szmeru chwilę stałem pod drzwiami, ale wystraszyłem się, że któreś z rodziców nakryje mnie przy podsłuchiwaniu. Wskoczyłem pod kołdrę; mamie chodzi o ten brak ojców i mężów. Nie dziwię się, że ma tego dosyć. Chociaż nie tylko ona ma ten problem – w naszym miasteczku, proszę – środek Europy, cztery i pół tysiąca mieszkańców. Dwustu mężczyzn! Sami prawie dziadkowie lub podobni. Wszyscy pracują nad utrzymaniem miasteczka przy życiu – elektrownia, pompownia, serwis ciężkiego miejskiego sprzętu drogowego. Pozostali są gdzieś w świecie, a ponieważ komunikacja międzykontynentalna jest podporządkowana przede wszystkim walce z przyrodą, to na pocztę nie ma co liczyć. Na przykład, tak mi tłumaczył tatek, na pokład samolotu biorą listy pod warunkiem, że jest akurat jeszcze miejsce, a ponieważ nikt nie ma czasu, żeby zająć się sortowaniem poczty – bierze się pierwszy lepszy worek ze stosu. W ten sposób twój list może leżeć na lotnisku kilka lat. Dlatego listy od tatka przychodzą – jak to mówi ciotka – jakby chciały, a nie mogły. Swoją drogą, nasza okolica, w ogóle cała kontynentalna Europa mało ucierpiała od anomalii pogodowych, na przykład w naszej okolicy nie ma rzadnych oznak pustynienia pejzażu. Wiem – kontynent, góry chłodzą rozgrzane powietrze, które gdzie indziej bez przeszkud wali znad pustyń i wysusza inne areały. No i gdzie tu sprawiedliwość – nam się udało w pierwszym momencie, ale i tak cierpimy już od kilku pokoleń, bo nie ma naszych ojc...

– Ruf?

Leżałem pod kołdrą, w ciemnym ciepłym gnieździe. Głośny szept mamy wystraszył mnie i dlatego nie odezwałem się. Mama jeszcze raz zawołała, ale już cichszym szeptem, potem usłyszałem ciche ocieranie się drzwi o framugę. Odleżałem jeszcze chwilę nieruchomo, potem taki znany robal ciekawości poruszył się w mojej głowie. Co to miało znaczyć? Mama sprawdzała, czy śpię? Nigdy tego nie robiła. Chwilę walczyłem z robalem, ale jednak wstałem i na palcach podkradłem się pod drzwi. Było cicho, potem usłyszałem mamy siąpanie nosem, tatek coś pomrukiwał.

– Żyjemy w zakłamaniu, w grzechu – odpowiedziała mu bulgoczącym głosem.

– Żyjemy, to najważniejsze – usłyszałem jego głos. – Możemy przetrwać...

Nie wiem, co jest takiego ciężkiego, takiego gniotącego w słowie „przetrwać”; niby same miękkie głoski, tylko jedno „r”, a jak tatek powiedział „przetrwać”, odechciało mi się podsłuchiwać. Czym prędzej zwiałem pod kołdrę.

Piszę to wszystko w szkole. Znowu siedzę po lekcjach. Za arogancję, ma się rozumieć. Choć jeśli mam być szczery, to tym razem rzeczywiście odszczeknąłem pannie Pentwisk. Zostawiłaby mnie na kilka godzin, chciała ponownie zrobić moimi strażnikami Georga i Petera, ale po tym, jak ich wczoraj przerobiłem, nie chcieli już się jej wysługiwać ani inni. W rezultacie panna Pentwisk zostawiła mnie tylko na godzinę – tyle, ile jej się chciało pilnować mnie samej.

NOC, Czwartek. 28 września, 2203. Okropna sprawa, nie wiem, czy w ogóle o tym pisać. Wróciłem do domu, mama musiała wyjść na posiedzenie zespołu agrarnego. W salonie tatek siedział rozwalony w fotelu, ale miał zamknięte oczy i sapał przez nos. Przemknąłem obok niego do kuchni, ukroiłem kawałek ciasta, nalałem z dzbanka soku i poszedłem do siebie. Pouczyłem się trochę, pszejrzałem zaniedbaną ostatnimi czasy kolekcję filumenistyczną, poziewałem, a potem postanowiłem zejść na dół sprawdzić, czy aby tatek jeszcze tnie komara. Znalazłem się na szczycie schodów, usłyszałem czyjś podenerwowany głos, zatrzymałem się odruchowo i już było za późno, żeby się pokazać. Po pierwszych słowach już było za późno.

Głos należał do ciotki. Była zła, wściekła.

– ...by to wszystko cholera wzięła! Już nie wytrzymam, ja nie wytrzymam i cała fura bab nie wytrzyma! Rozumiesz? Powiedz to komuś z tego pieprzonego komitetu ocalenia, rozumiesz?

– Nie znam tam nikogo. Uspokój się.

– Możesz zarządać ode mnie wszystkiego, ale nie że się uspokoję. Jestem spokojna, usiłuję być spokojna od cholernych dwudziestu kilku lat, od chwili kiedy dowiedziałam się, że należę do grupy podwyższonego ryzyka i że męża mogę sobie wybić z głowy. Na osłodę, z łaski wpadło was do mnie trzech, z czego mam – niestety! – tylko córki, i obie już są w mojej grupie, więc one to już chyba za cholerę nie zakosztują fiuta. Chyba że sobie kupią w sekretnym sklepie pod salonem z dywanami. – Ciotka zamilkła na chwilę, wysiąkała nos. – Jeździsz po świecie... – zmieniła ton na zjadliwy. – ... czy w każdym miasteczku taki sklep znajduje się w salonie z dywanami?

– Posłuchaj...

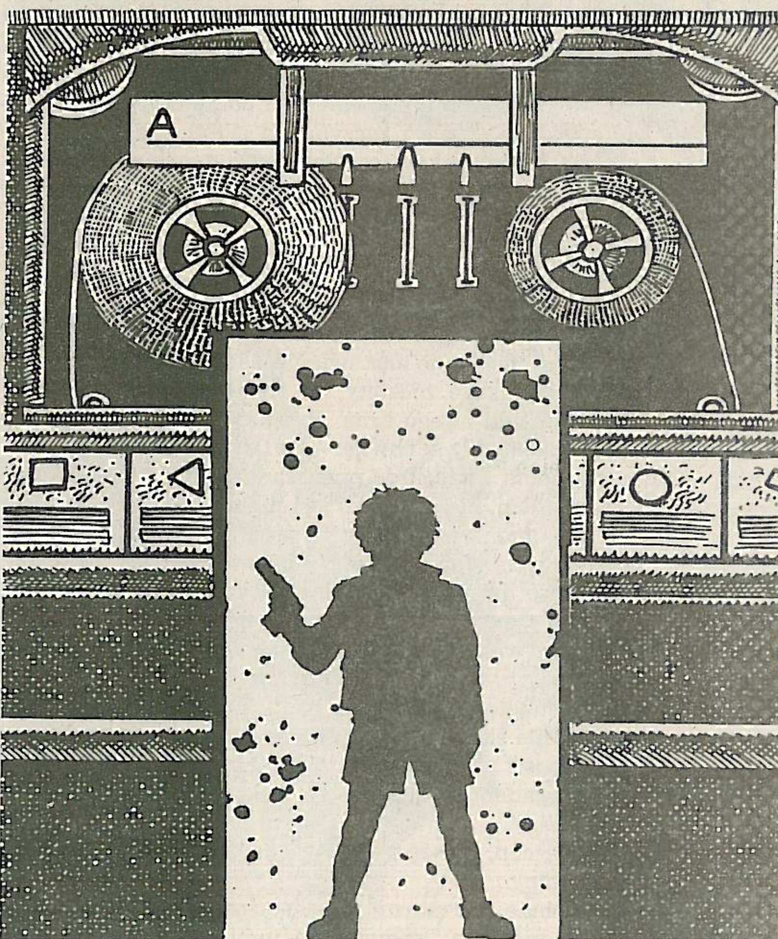
– Gówno tam będę słuchała! Pieprzony samiec!... – nagle zaszlochała tak gwałtownie, że nie wytrzymałem, położyłem się na podłodze, przesunąłem na brzuchu; moja głowa wysunęła się między balaskami poręczy i zobaczyłem kawałek salonu. Ciotka siedziała na kanapie, tyłem do schodów, tatek na fotelu obok kanapy, nie przyszło im do głowy, że może ich ktoś słuchać. – Powiedz mi...

– Nic ci nie powiem, bo sam nie wiem. Nie rozumiesz, że nie jestem z rządu, nie ja jestem odpowiedzialny za

Piotr Kowalski







realizację planu, ja go tylko – bo nie mam lepszych pomysłów – częściowo realizuję. I tylko dlatego, że będąc zdrowy nie mogę się wycofać. Rozumiesz to, kobieto?

– Nie mów do mnie „kobieto", jak do sprzątaczki! – ciotka Carmen wrzasnęła tak gwałtownie i tak głośno, że głos się jej załamał. Pomyślałem, że teraz oboje się roześmieją i to będzie na tyle, jeśli chodzi o ciotkę i tatka. Ale się myliłem. – To chyba nietrudno zrozumieć – my was nie wysyłałyśmy w ten popieprzony kosmos, to wy mężczyźni, cholerni zdobywcy, szarpaliście się, żeby go spenetrować. I co? Ledwie wysunęliście czubek nosa poza najbliższe sąsiedztwo Ziemi, jak z podkulonym ogonkiem wróciliście, przynosząc w prezencie swoje jaja pełne nieziemskiej zarazy.

– Daj spokój! – Tatek poderwał się z fotela i zniknął mi z oczu, ale wiedziałem, dokąd poszedł, i miałem rację – brzęknęła butelka i delikatnie zaciurkał jakiś płyn. – To było kilka pokoleń temu i trzeba być durniem, żeby marnować czas na ględzenie, kto był dziewięćdziesiąt lat temu mądrzejszy i co należało kiedy zrobić. Jest tak, jak jest – niecałe dwa miliardy ludzi, w tym czterysta milionów mężczyzn, z czego tylko jedna czwarta niedawno jeszcze była płodna.

– Jak to ?

– Tak, że Furia nie wymarła całkowicie i wcale nie ma pewności, czy osobnik A, dziś zdrów, jutro nie stanie się nosicielem lub siewcą. – Tatek wszedł w moje pole widzenia, wysunął rękę ze szklanką do ciotki i jednocześnie chyba zerknął do góry. Błyskawicznie schowałem głowę i długą chwilę tylko nasłuchiwałem. – Ponieważ jednak wiadomo, że jeśli kobieta urodzi chłopca, to ona sama nie ulegnie już Furii, że może urodzić innego chłopca, ponieważ nie mamy możliwości, żeby wciąż masowo badać całą ludzkość, dlatego trzeba się pogodzić z taką uproszczoną i krzywdzącą procedurą i z tym, że tego systemu zalety – jeśli są – dotyczą tylko tej garstki potencjalnie zdrowych mężczyzn i kobiet, ponieważ oni są... – Tatek zamilkł na chwilę, a ponieważ to zdanie było strasznie długie i zaczynałem się w nim gubić i, po drugie, byłem ciekaw, co robi – wysunąłem głowę. Tatek stał z uniesionym do góry palcem. – Słuchajcie, uwaga: Nadzieją i Szansą Ludzkości.

– Pieprzę taką... – warknęła ciotka, ale tatek przerwał:

– Zrobisz, jak zechcesz. Ja ci tylko przedstawiam sytuację – trzeba zajmować się tylko tym, co daje szansę na przetrwanie. Twoje nastawienie, sąd, opinia i twoje życie wreszcie, nikogo, niestety, nie obchodzą. Co innego, gdybyś miała zdrowego syna. Przykro mi. Nie ja... – przerwał i nasłuchiwał chwilę. – O, Dora wraca – wtrącił innym tonem i wrócił do przerwanego zdania: – Nie ja to wymyśliłem, nie wszystko jest moim zdaniem sensowne, ale nie mam, powtarzam, lepszego pomysłu, skoro ten system wciąż funkcjonuje. I nikt inny nie ma. Po prostu – zdrowe dziewczynki plus garstka zdrowych chłopców da nam szansę na przetrwanie.

Mama weszła – słyszałem jej kroki i szczęk zamka w drzwiach – ale się nie odezwała. Pojawiła się przed kanapą, chwilę stała patrząc na tatka i ciotkę, potem ciężko zwaliła się na kanapę, obok ciotki. Carmen prychnęła przez nos.

– Wygadanego masz... – nie dokończyła. – Nie taki jak ci wcześ...

– Carmen, proszę cię – powiedziała cicho mama. – Nie marnujmy...

– Dobrze, nie marnujmy – machnęła ręką ciotka. Była już opanowana, sięgnęła do torebki, wyjęła lusterko, przejrzała się w nim. – Nie marnujmy niczego – czasu, nasion, elektryczności, wody, paliw, macic, żywności, papieru, złomu, spermy, ciepła, słodu, lekarstw...

– Carmen?!

– ... i przede wszystkim nie marnujmy inseminatorów! – Ciotka zachichotała z – tak bym to określił – z okrucieństwem w głosie. – Mamy ich tak niewielu, że tylko wybrane mogą być...

– Carmen! – teraz włączył się tatek, głośniej niż przed chwilą mama i zdecydowaniej. – Bo oberwiesz po buzi!

– Dlaczego? Czyżbyś czuł się w jakiś sposób dotknięty...

– Wiesz, skąd wracam? – wtrąciła się mama. Odwróciła się do ciotki, położyła jej rękę na ramieniu. – Przecież wiesz. Przywieźli przesyłkę skądeś tam. To takie upokarzające – najpierw zapładniają mnie jak krowę, potem patrzą z wyrzutem, jeśli nic z tego nie wychodzi, i mówią za każdym razem: „Proszę się nie przejmować. Warunki transportowe są tak fatalne, pobieranie odbywa się również w nienormalnych warunkach". Wzruszają ramionami i poklepują na zakończenie po ramieniu: „Będziemy z panią w kontakcie, jeśli tylko coś będzie, natychmiast zadzwonimy". Tak, jakbym nie marzyła o niczym innym jak o siedzeniu pod telefonem i czekaniu na kilka „swoich" plemników. Carmen, wierz mi...

– Carmen, wierz mi!? – krzyknęła ironicznie ciotka i poderwała się z kanapy. – Jesteś biedna, a mnie jest dobrze – rzadnych kłopotów, rzadnych egzystencjalnych rozterek, mój wibrator nie grymasi w jadalni, nie przepija pieniędzy i nie ogląda starych meczów z taśmy, kiedy ja mam do niego sprawę. Pochyliła się i pocałowała nieruchomo siedzącą mamę. – Poza tym nie boi się Furii, i – co też jest ważne – nie boi się konkurencji, bo w ramach oszczędzania prawie się ich nie produkuje. A, co tam! Ludzi i tak coraz mniej, dostanę jakiś w spadku, urządzę im konkurs. Pa, kochani. Bawcie się dobrze – zróbcie coś do towarzystwa Rufowi!

Zastukały jej obcasy, a ja na dźwięk swojego imienia błyskawicznie schowałem głowę i miałem rację – mama zapytała:

– Rufen śpi?

Trzasnęły drzwi po ciotce. Tatek nie odpowiedział, albo kiwał głową, że tak, albo ruszał do góry, żeby sprawdzić. Zamarłem. Nie, chyba kiwał głową.

– Bożże, głowa mi pęka...

– Jeśli mógłbym ci coś radzić...

– Nie, to nie ma związku z Carmen. To nie pierwszy jej taki występ i nie ostatni. Jutro będzie zupełnie inna, pełna poświęcenia i tak dalej. Aż do kolejnego ataku, tak już chyba będzie zawsze.

Przez długą chwilę z dołu nie dochodziło nic poza głęboką ciszą.

– Sprawdzę, czy Rufen śpi – powiedział nagle tatek.

Omal się nie zakrztusiłem i nie parsknąłem na całe gardło. Na szczęście, mama zatrzymała na chwilę tatka i dała mi szansę ucieczki:

– Posłuchaj, w apteczce w łazience jest opakowanie Lanadolu, mógłbyś mi przy...

Zamknąłem cicho drzwi i skoczyłem do łóżka. Rozwaliłem się jakbym spał głęboko, choć nie wiem, jak wyglądam, kiedy śpię głęboko, zasapałem miarowo i sennie. Po chwili smuga światła liznęła moje łożko, ale tatkowi było mnie żal i nie otworzył drzwi tak szeroko, żeby mnie obudzić. Tatek zamknął drzwi, zapadła ciemność. Rodzice rozmawiali jeszcze dość długo na dole, a ja zapisałem ten wieczór, choć niewiele z tego rozumiem. Dziwne – wszystkie słowa zrozumiałe i znane, a jak złożysz do kupy – gruzy. Potem – ja jeszcze pisałem przy latarce w namiocie z kołdry – rodzice poszli do sypialni i jeszcze rozmawiali. Kiedy doszedłem do opisu wyjścia ciotki Carmen – zaczęli się kochać, nie jestem dzieckiem, pewne rzeczy kapuję od razu.

Aha, i sprawdziłem jak się pisze „rzadko" i „żadnych", chyba czasem piszę inaczej, od teraz będę się starał zapamiętać.

NIEDZIELA,

30 września, roku znanego. Yyy... Tatek swój przenośny magnetofon mi PODAROWAŁ! Oi-oi-oi-ou!!! Ii... tego... okropnie brzmi mój głos z głośnika, zupełnie nie mój. Właśnie: mój – nie mój? Obsługuję wszystkie funkcje, ale... eee... nie potrafię mówić gładko. Pisać jest ciężej, ale za to zdania są już uporządkowane, to znaczy zanim myśl dojdzie do ręki, gdzieś po drodze jeszcze się szlifuje. A z gadaniem to od razu – co pomyślisz, to gadasz. Gdyby człowiek miał usta na kolanach – o! Yyy... Co by tu jeszcze?.. Aha, byliśmy na pikniku nad tym Potokiem z Dziurawego Wiadra, kapitalny jest. I było bombowo – pyszne kanapki, kąpiele do upadłego, rzucaliśmy z tatkiem nożem do tarczy i siekierką, rozbiliśmy namiot i w nim spaliśmy. Tatek... eee... to jest drań, drań do kwadratu, nic mi nie powiedział, że ma ze sobą magnetofon. Położyliśmy się spać i nagle coś zaczęło tak huczeć za namiotem. Mama pierwsza zareagowała, a tatek uważał, że coś jej się przesłyszało. Ja też słyszałem huczenie, ale się przezornie nie odzywałem. A tatek mówi: „Ruf, wyjrzyj, co? Ja już się oplątałem śpiworem..." O rany, ale się spociłem ze strachu, ale nic, wyplątałem się z wora, modliłem się przez cały czas, żeby ustało huczenie. Mama zaczęła protestować, ale tatek powiedział, że przecież nic nie słyszy, to o co chodzi. Więc wylazłem robiąc dużo hałasu, żeby spłoszyć to huczenie. I ustało, o dziwo. Yyy... No... Co to ja?.. A! No to chciałem wrócić do namiotu, ale tatek powiedział, żeby jednak do końca sprawdzić, bo jeśli to niedźwiedź, to trzeba go przepłoszyć, bo inaczej nie da nam spać całą noc, tylko będzie przychodził co i rusz i zjadał kolejnego z nas. No to już wiedziałem, że mnie robi w konia, nie to, że przestałem się zupełnie bać, ale bałem dużo mniej. Poszedłem za namiot, a tam stoi na pniaku magnetofon. Połyskuje w świetle księżyca, syczy cicho i nagle zaczyna huczeć. Skapowałem wszystko. Chwyciłem go i wpadłem do namiotu, ale z umiarem, bałem się, że potknę się i połamię. Uściskałem tatka i z rozpędu mamę... Eeem... Wszyscy się ściskaliśmy i było fajnie, ale potem zaczęło się piekło – ja nie mogłem zasnąć, wierciłem się, sam byłem na siebie zły, bo chciałem jak najszybciej się obudzić, żeby już coś nagrać, a tu nie mogłem zasnąć! Ciągle mnie łagodnie sztorcowali rodzice, a przecież nic nie mogłem zrobić! Na dodatek jeszcze nacisnąłem ten przycisk... „Odtwarzanie" i nagle w namiocie zahuczało, tatek zaczął się złościć, burknął, że przesadzam, ale mama nagle roześmiała się na całe gardło, tak nas zaskoczyła, że obaj zamarliśmy, a mama połaskotała mnie, oczywiście szarpnąłem się, kopnąłem w coś miękkiego, tatek jęknął. Mama zaśmiała się jeszcze mocniej, ja też zachichotałem, tatek wyburczał coś. Potem nazwał nas dwuosobową bandą wariatów i... tego... dołączył do rechotów. I dopiero potem udało nam się zasnąć. Będę na razie kończył, bo już tyle się ponagrywałem – ptaki, potok, mama... Chciałem nagrać też tatka, ale za skarby się nie dał – kiedy napierałem, uśmiechał się i milczał, kiedy chciałem z zaskoczenia – mówił obcym dudniącym głosem. Szkoda, mógłbym za jakiś czas, na przykład w zimie sobie puszczać taką letnią rodzinną kasetę. Po-



Piotr Kowalski

wiedziałem to mamie, przytuliła mnie i nagle poczułem, że płacze, ale kiedy się oderwałem, pomachała rękami i krzyknęła: „Mam czkawkę, Boże, najmocniejszą, jaką kiedykolwiek miałam!” i rzeczywiście czkała długą chwilę. Przyznam, że mnie nabrała, dopiero potem zrozumiałem – maskowała płacz czkaniem. Głupek ze mnie mówić mamie o wspomnieniach z kasety, kiedy wiadomo, że tatek nie zostanie z nami na zawsze, jeszcze nie teraz. Niestety... No, kończę, akumulatory mi siadają – błyska takie światełko. Akumulatory są podobno najlepsze, ruskie. Przypomniałem sobie, że kiedyś słyszałem w tramwaju, że ruscy mają najlepsze baterie, bo mieli kupę surowców, nie oszczędzali, było ich, tych ruskich, bardzo dużo, a jak przyszła susza i wymarli, to siłą rzeczy zostało ich potomkom strasznie dużo niezłych produktów, na małą liczbę ludzi. Dlatego mogą wciąż eksportować i żądać... O, drugie światełko, kończę...

ŚRODA, 3 października. Równo tydzień temu przyjechał tatek. Wszystko jest inaczej – mama, ciotka i ja też. Postanowiłem jednak pisać, a nie nagrywać, szkoda sprzętu. Nikt nie ma takiego magne jak ja. Powiedziałem to pani Leufer, pokiwała głową i powiedziała:

– I nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie...

Przerwała i zacisnęła usta. Popatrzyła na mnie dziwnie.

– Naprawdę fajny, Ruf. Idź już.

Ciotka Carmen odwiedziła nas w poniedziałek.

Wpadła – jak to ona – jak bomba, ucałowała mamę i mnie.

– Spodziewaliście się? Co? Raczej nie, przyznajcie. – Podała mamie pudło z ciastkami. Pociągnąłem nosem, czy aby nie ciasteczka z płatków owsianych. Były też, i dwa inne rodzaje. Usiadłem z kuzynkami na werandzie, ale wyjątkowo dzisiaj nic nam się nie kleiło – one były jakieś złe, nic, co zaproponowałem im się nie podobało, skubały ciasteczka i co jakiś czas zerkały przez okno do salonu, jakby chciały wywołać swoją matkę i wracać do domu. Pewnie nawet tak było, po godzinie Michelle popatrzyła znacząco na Ednę i wstała, obie pomaszerowały do salonu i przypomniały swojej mamie, że mają dzisiaj jeszcze odwiedzić doktor Keiseman. Carmen westchnęła i pokręciła głową, ale bez słowa wstała i pożegnała się. Bliźniaczki dygnęły i wybiegły, za nimi ciotka. Ciasteczka zostały. Ale został też jakiś specjalny humor, jakby ciotka zabrała ten dobry, chociaż może go i nie było. Były tylko ciasteczka.

Wróciłem do salonu. Tatek stał przed telewizorem, patrzył na przyciski, jakby je widział pierwszy raz w życiu. Mama miała spojrzenie takie trzy pszystanki do przodu. Ktoś musiał się odezwać, i na swoje nieszczęście zrobiłem to ja.

– Tatek...

– Cholera jasna, prosiłem cię! – wrzasnął nagle odwracając się gwałtownie od ekranu. Wyciągnął rękę i szarpnął mnie do siebie, uderzyłem nosem o jego rękę, łzy napłynęły mi do oczu. – Czy tak trudno zapamiętać, że nie znoszę...

– Charles? – Mama podskoczyła do nas i wczepiła się w jego rękę. Kiedy szarpnęła ją i oderwała, oberwałem drugi raz. Odskoczyłem od nich i rozbeczałem się. – Nie masz prawa...

– Nie znoszę takich żydowskich odzywek! – ryknął tatek. – Diabli-diabli-diabli! Czy o tak wiele proszę? Tatełe, mamełe – wykrzywił się i zaczął machać rękami. – Robię to i tamto, męczę się, cholera, nie dla mnie, bo mnie to już bokiem wychodzi, więc może mógłbym jakoś po ludzku...

– Zamilcz! – powiedziała mama. To nie był jej głos, nawet tat... Charlie to poczuł. Posłusznie zamilkł. Mama stała przed nim, niższa, ale górowała nad nim. Miała swoje małe dłonie zaciśnięte w piąstki i na pewno uderzyłaby. To żadna żydowska odzywka, Ruf tak od zawsze mówił, przecież pamiętasz, tak samo jak mówił „kordła”, „lewizor” czy „indyfikator”. A gdyby nawet – nie wolno ci podnosić na niego głosu. Zabraniam! – Znowu użyła tego swojego nieswojego kamiennego głosu. – Rozumiesz? – Odczekała chwilę i choć on nic nie powiedział, tylko stał i patrzył na nią, skinęła głową i odwróciła się. – Pójdziesz do siebie, kochanie? – Zrobiła krok i przytuliła mnie do siebie. – Tatuś jest zmęczony, na pewno nie chciał cię skrzywdzić, ale tego wieczora nie będzie ci tu miło, idź spać.

Skinąłem głową, nie popatrzyłem na tatka, tylko od razu poszedłem na górę. Teraz, kiedy to spisuję, wpadłem na pomysł. Będę pisał „Tatek”, kiedy będę miał na myśli Tatka sprzed lat, kiedy mu to nie przeszkadzało, i będę używał „tatek”, kiedy będę chciał opisać dzisiejszego ojca. Więc tak: tatek, kiedy wchodziłem do góry, powiedział „Dobranoc, Ruf”, ale hardo nie odpowiedziałem. Myślałem, że mama zwróci mi uwagę, ale nie. Widocznie była bardzo zła na tatka. Ja też. Na tyle, że jak zobaczyłem magnetofon, to przez chwilę chciałem go oddać, ale potem zrezygnowałem. Nie dlatego, że zrobiło mi się żal. Dlatego, że, w końcu, nic aż tak szczególnego się nie stało, w końcu nie jesteśmy z tatkiem zgrani, i gdybym mu nagle honorowo oddał prezent, nastąpiłaby ekskal... eskalacja całego tego zamieszania. W końcu, czytałem to w lekturach szkolnych, kiedyś, kiedy świat był nieco inny, z kompletem rodziców w każdym domu, dzieci często obrywały od swoich „starych” i były na różne sposoby karane. Kiedy wpadali w furię... A! Furia!? Co to jest? O czym mówiła ciotka Carmen? Przeczytałem dokładnie poprzednie zapiski, zamyśliłem się nad pisownią tego słowa – napisałem z dużej litery, dlaczego? I to kilka razy. Musiała ciotka tak akcentować to słowo, nie poprawiłem pisowni. Ale obiecałem sobie, że spróbuję to wyjaśnić. Najlepiej byłoby popracować na szkolnym komputerze, ale jest używany sporadycznie, tylko przy ważnych okazjach, nawet nie wiem, jak się go obsługuje, wiem tylko, że kiedyś stały takie w każdym domu i można było na nich grać, liczyć, pisać książki i muzykę i jeszcze całą masę świetnych rzeczy. Po suszy zostały zabrane i ponieważ nie możemy teraz ich produkować ani nawet za bardzo naprawiać, stoją w składach i służą tylko wymianie, jeśli któryś z tych pracujących się zepsuje. Z tego, co wiem, to w naszym mieście są trzy: w merostwie, w szkole i szpitalu. Są połączone w sieć, jeden wysiada – dwa pozostałe pamiętają, co miały pamiętać, zamienia się ten zepsuty i już.

O rany, jak mnie ręka boli, ledwo piszę. Jakbym miał komputer, cho-cho! To by było! Muszę tatka zapytać, czy na jego holowniku jest komputer. Na pewno, na pewno. Kończe.

Na jutro mam się nauczyć wiersza. Nie lubię takich zadań, spróbuję ułatwić sobie robotę – nagram wiersz i po prostu będę później powtarzał razem z taśmą. Hghm! Tak... No więc... „Spłowiałe łąki zamarły w szarości, zieleń...” Co tam, eee... „Las zieleń stracił... Las zieleń stracił na...” O, Holly przyjechał i dzwoni. HO-LLY-Y! Już schodzę...

Przesłuchałem taśmę. Matko, co ja zrobiłem... Poryczałem się jak dzidziuś, smarkam cały czas. Siedzę w altanie pani Leufer i tak szybko do domu nie pójdę. Ale po kolei – zostawiłem magnetofon w salonie na oknie jak pobiegłem do Holly'ego. Żeśmy sobie pojeździli po mieście, byliśmy w parku i... Nieważne. Wróciłem i przypomiałem sobie o magnetofonie, dostałem pietra, że się wyładował, ale dopiero pierwsza leda zaczęła mrugać, chwyciłem go i pognałem do góry. Jeszcze nic nie wiedziałem, myślałem, że nagrała się cisza, bo w końcu nikogo w domu nie było, ale kiedy przewijałem kasetę, nie wiem dlaczego, sprawdziłem i okazało się, że tatek był w domu. Ja – głupi – ucieszyłem się, że go podsłucham. Przewinąłem do początku i przesłuchałem. Najpierw oczywiście byłem ja i początek wiersza, potem kilkanaście minut ciszy, tak jak się spodziewałem. A potem trzasnęły drzwi i usłyszałem pogwizdywanie tatka. Zachichotałem sobie, myślę: „Zapytam potem: – A kto wyjadł sałatkę? Tatek zrobi głupią minę, a ja: – Ty, bo słyszałem. I puszczę mu, jak otwierał lodówkę”. Rzeczywiście – szczęknęły drzwiczki, tatek brzęknął czymś, siorbnął. A lodówka cały czas otwarta, potem mama będzie się dziwiła, że znowu trzeba wymieniać butlę. Tatek chrumkał i mlaskał. Potem zamknął lodówkę i wtedy otworzyły się drzwi, pomyślałem, że wróciła mama, zdziwiłem się. Jeszcze bardziej się zdumiałem, kiedy usłyszałem głos ciotki.

– Zdziwiony?

(Puszczam sobie po kawałku taśmę i przepisuję, słuchałem już trzy razy, ale musi być wszystko dokładnie, już wszystko obmyśliłem. Ta kaseta będzie komuś potrzebna, więc robię stenograf).

– A nie powinienem?

– Nie. Nie zgrywaj się. Musiałeś czuć, wiedzieć.

– Rzeczywiście, feromony fruwają gęsto.

– A żebyś wiedział!

Ciotka mówi zupełnie nie jak ona – jakoś hardo, wyzywająco, jakby chciała do czegoś sprowokować tatka. On jest spokojny.

– Tak, wiem. Nie jesteś pierwsza...

– Pierwsza jest Dora!

– Poniekąd tak.

– Tylko poniekąd?

– Daj mi spokój, nie czepiaj się słówek. Dora to co innego.

– Jasne, łączą was stosunki służbowe?!

– Cóż za cięty kalambur!

– Trafny.

– Może.

Stukot obcasów ciotki, chyba trąciła krzesło, szurnęło po podłodze.

– Powiedz, co cię ode mnie odstręcza?

– Nic. Jesteś atrakcyjna, apetyczna. Masz wszystko, może za dużo pieprzu na języku.

– No-o to-o?

– Żadne „no-oo to-oo”. Nie mam ochoty.

– A może lekarze się pomylili, może jednak warto mnie wciągnąć na listę oczekujących...

– Carmen, stajesz się nudna. Zapomniałem dopisać do listy twoich cech, że nie znasz podstawowego znaku przestankowego – kropki.

– Przestań chrzanić. – Ciotka straciła głos, zachrypiała jakby coś wpadło jej do gardła. Znowu coś szurnęło. – Naprawdę do niczego nie może między nami dojść?

Słychać kroki tatka, oddaliły się od mikrofonu, potem zbliżyły, zrozumiałem, że obszedł kanapę i usiadł w fotelu. Westchnął długo, na cztery obroty szpulek w kasecie.





Piotr Kowalski

– Powiedziałbym, że się poniżasz, że stworzyłaś niezręczną sytuację, ale wiem, że to nie ma sensu. Nie myśl, że jesteś pierwszą, która tak mnie traktuje. Nie wyobrażasz sobie nawet, ile już razy to przeżywałem. Jak zdarta płyta, nie rajcuje mnie to, tylko denerwuje.

– Gdybyś dał mi szansę podnie...

– Daj spokój, mówię. Nie mam ochoty. – Roześmiał się z goryczą. – Te wszystkie męskie marzenia o dominacji nad światem kobiet, te bajki o tysiącach kochanek, Casanowach i Don Juanach!.. Czytałem takie powiastki, w których facet uwalnia dżina z butelki i każe mu sprawić, żeby wszystkie baby kochały się w nim na zabój, idiota. Ile można, jak sądzisz? Nie spotkałem jeszcze ani jednego z mojej puli, który nie marzyłby o samotnej wyspie, rozumiesz? Myślisz, że to frajda miotać się od miasteczka do wsi i do miasta wiedząc, co cię czeka na końcu drogi? Kolejna rodzina, żona i syn. Zawsze syn, czasem dwaj. Raz – trzej.

– No to nie rób tego, zostań z jedną. Mam na myśli siebie.

– Aha, to łatwe. Nasrać na całą Ziemię!

– Dlaczego nie?

Głos ciotki również się przemieścił, musiała teraz stać gdzieś blisko tatka, chociaż tyłem do mikrofonu.

– Dlaczego nie... Nie wiem. Obowiązek? Miękkość charakteru? Nie wiem. Co jakiś czas odwiedzam psychologa, powtarza mi, że nie mam szczególnych rozterek, tylko klasyczne, powtarzalne, standardowe. Podobno każdy z nas to przeżywa, tak musi być. Skoro wszyscy robią to samo – symulują ojców i mężów kilkuset rodzin...

– No to po co to robicie?

– Układ jest prosty – trzeba dbać o chłopców. Może inaczej, wyszukiwać kobiety nie zarażone przez F 11Ra. Te kobiety muszą rodzić, ale ponieważ częstotliwość zachorowania wśród mężczyzn jest wielokrotnie wyższa, absurdalnie i koszmarnie wyższa niż wśród kobiet, musimy przede wszystkim dbać o chłopców. Każdy zdrowy płodny chłopak to skarb, wspólny, nas wszystkich... Musi się rozwijać w normalnych, w miarę normalnych warunkach...

– To są normalne warunki? Wizyty raz na kilka – kilkanaście lat?

– A jak inaczej sobie to wyobrażasz? Ja, gdybym wiedział, nie pętałbym się po świecie i... I już.

– Pieprząc ciągle te same kobitki...

– Wulgarnie rzecz ujmując – tak.

– Ale co jakiś czas następują zmiany, prawda? Na przykład tu był...

– Nie wiem, nie interesuje mnie!

– Ale musi. Pół biedy, kiedy mały był mały, ale teraz już będzie ciebie pamiętał. Co mu powiecie, kiedy pojawi się kolejny tatuś?

– Niedługo dowie się wszystkiego.

– I sam ruszy na samczy szlak, cha-cha!

– Wiesz co? Imponujesz mi w pewnym sensie.

– Wreszcie jakieś cieplejsze uczucie – parsknęła ironicznie.

– Nie łudź się.

– To moja sprawa. Wolno mi mieć zdanie, wolno opiniować, wolno być złą? Wolno – odpowiedziała sama sobie. Wolałabym, żebyście się pozamykali w jakichś rezerwatach, wy wszyscy – zdrowi, perspektywiczni, rozpłodowe jałówki i buchaje! Serce nie boli, gdy oko nie widzi, czujesz?

– Nie, to absurd. Zdarzają się jeszcze wybuchy lokalnych epidemii Furii. Nie wszyscy są zaszczepieni nawet tą nieskuteczną szczepionką. Gdyby tak ściągnąć z waszej części Europy wszystkich, jak to nazywasz, perspektywicznych, i grzmotnęła w nich Furia, to co?

– Wiesz co? Słucham ciebie i słucham... Pomijam, że mam wrażenie, jakbyśmy mimo wszystko marnowali czas, to wydaje mi się, że jeszcze czegoś nie dopowiadasz. Co?

Zamilkli na długo. Aż za pierwszym razem wystraszyłem się, że wysiadł magnetofon, ale nie, po minucie chyba odezwali się. Tatek się odezwał:

– Owszem, mogę ci powiedzieć. Mam w sobie coś z ekshiba. Skoro już tak sobie gaworzymy... Upieram się tak przy swoim, bo jestem właściwie impotentem. Już.

– Co – już?

– Już możesz się śmiać. Sam to czuję – przeznaczony i wyznaczony do pewnej roboty, nie bardzo może ją wykonywać.

– Nie, to nie jest śmieszne.

– Akurat.

– A pani psycholog?

– Fajnie się rżnie. Przynajmniej się stara. Rozpłodowa, nie marnowalibyśmy się na byle co.

– To jasne, ale co na to?

– Nie dziwi jej to. Powiada – ciągłe zmiany partnerek, wszystkie wymuszone, brzemię obowiązku, presja i tak dalej-dalej-dalej.

– Przestań!

Ciotka syknęła tak głośno, że aż zafurczało w głośniku.

Nie będę już pisał więcej. Nie bardzo jest co. To, co słyszałem brzmi tak samo jak wcześniej z mamą w sypialni. Nienawidzę tatka! Zresztą – jakiego tatka! Już wiem. To nie Tatek, ten mój, prawdziwy. To jakiś pszybłenda. Świnia. Oszust. Nienawidzę-nienawidzę-nienawidzę-nienawidzę go!!! Udawał cały czas, podarował mi magnetofon, obłudny bydlak. Wykorzystywał mamę. I kochał się z ciotką. Koniec...

Musiałem pszerwać na chwilę pisanie, tszęsły mi się ręce i kapało z oczu i nosa. Spuchły mi oczy i prawie nic nie widzę. I już jest ciemno w altanie.

Wszystko pszemyślałem.

W ubiegłym roku mama wywiozła mnie niespodziewanie za miasto i pokazała pistolet Tatka. Prawdziwy, siedmiostrzałowy 7,65 Walther PPK. Rozebrała go, pokazała mi wszystko i objaśniła. Wystrzelałem dziesięć magazynków. Mama powiedziała, że ta broń ma nas bronić, mnie bronić. Że jeśli trzeba będzie, jeśli ktoś będzie nastawał na moje życie, mam go użyć bez skrópółów. Powiedziała, że jestem wszystkim, co ma i mam nie pozwolić zrobić sobie krzywdę. Wtedy nie wiedziałem, o co jej chodzi, tylko cieszyłem się ze strzelania, choć ręka mnie bolała jak diabli. Teraz wydaje mi się, że wiem, o co chodzi.

Nie dam się skrzywdzić!

Zostawiam tu pamiętnik i magnetofon. Pani Leufer znajdzie i wszystko się wyjaśni. Idę do domu. Ciotka już wyszła, a mamy chyba jeszcze nie ma. Pistolet leży w dolnej części mamy szafy.

Wezmę go. Wiem, jak to zrobię. Zejdę na dół, nacisnę spust do pierwszego oporu. Powiem:

– Tatek?

Może powtórzę jeszcze raz:

– Tatek!

Po drugim oporze pistolet wystrzeli. Z metra nie spudłuję. Nie pozwolę mu zaprzeczyć ani się zdenerwować.

Umrze słysząc to właśnie słowo.

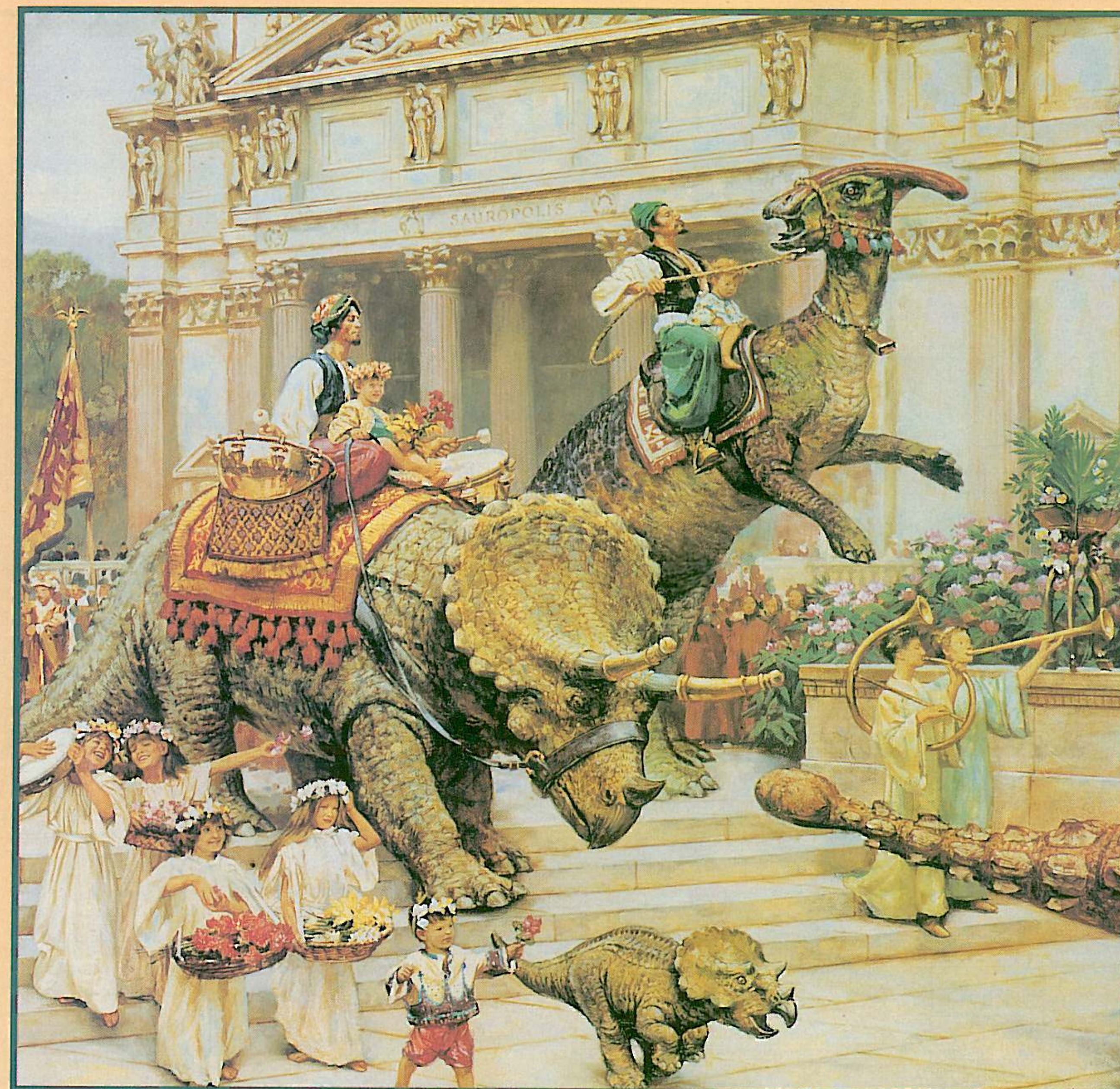
Było dla mnie tak cenne.

On nie usłyszy już nic innego. Cenniejszego.

Idę.

grudzień 1993

Eugeniusz Dębski



Ilustracje: James Gurney

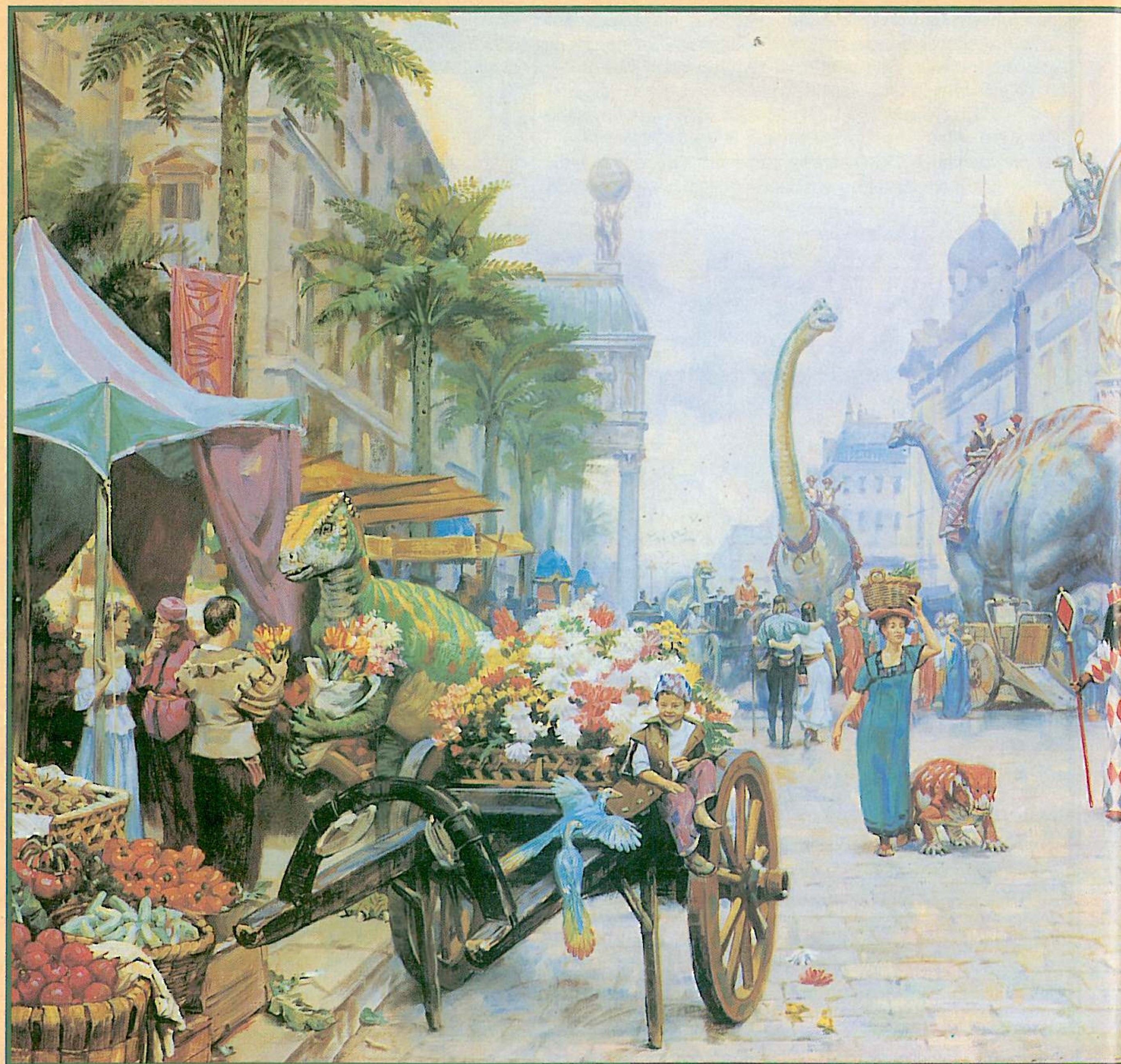
DINOZAURY SĄ NA ŚWIECIE

MAREK ORAMUS

Zwolennicy przewodników po fenomenach uchodzących za bajkowe pamiętają zapewne wydany w 1990 roku monograficzny album „Skrzaty". Opisano tam i zilustrowano prawie wszystko, co dotyczy krasnoludków: obecnie otrzymaliśmy dzieło z tej samej parafii, traktujące o dinozaurach. Zainteresowanie tymi wymarłymi 65 milionów lat temu gadami ciągle się utrzymuje jako efekt znanego filmu Spielberga, ale w 1991 roku, kiedy James Gurney pracował nad albumem „Dinotopia", istniała tylko powieść Crichtona „Jurassic Park". Można więc sądzić, że Gurney wziął się za dinozaury nie z powodów koniunkturalnych, tylko z wewnętrznej potrzeby: może fascynowały go ich zwaliste cielska, a może temat stanowił dlań wyzwanie plastyczne.

„Dinotopia" ma konstrukcję fabularną. W 1862 roku biolog Artur Denison z synem zostali wyrzuceni na nieznany ląd po katastrofie szkunera „Pionier". Ocaleli jako jedyni z całej załogi dzięki pomocy uczynnych delfinów, które doholowały ich do brzegu. Okazał się on częścią niezbadanej po dziś dzień wyspy Dinotopii, leżącej prawdopodobnie na Morzu Południowochińskim, gdyż ostatnim portem, do którego zawinął „Pionier", był Hongkong.

Album stylizowany jest na notatnik Denisona: profesor z właściwą sobie skrupulatnością opisywał swe wrażenia z nowej, szokującej rzeczywistości. Dzięki talentom plastycznym obficie zdobił te zapiski rysun-





kami (tekstu i obrazków dostarczył oczywiście sam Gurney). Dzięki zwłaszcza stronie plastycznej roztacza się przed czytelnikiem zapierająca dech w piersiach wizja. Dinotopia nie jest bowiem zwyczajną wyspą – dinozaury żyją tam w zgodzie z ludźmi i ściśle z nimi współpracują. Są to inteligentne, dobroduszne stworzenia pozwalające ludziom, a zwłaszcza dzieciom, na wszystko. W zamian ludzie pomagają im przy znoszeniu jaj i hodowaniu młodych. Leczą także i czyszczą te olbrzymy, nie wyobrażają sobie bez nich fet, parad i pochodów. Na przykładzie Dinotopii widać wyraźnie, że stworzenie państwa, gdzie człowiek żyłby w harmonii z przedstawicielami świata przyrody, jest stosunkowo łatwe do zrealizowania. Potrzeba tylko dobrych chęci.

Od chwili postawienia stopy na Dinotopii ojciec z synem oprócz nadbrzeżnej wylęgarni odwiedzili najważniejsze miasta wyspy: Wulkanię, Wodospadowo, Drzewogród, Kanionowo i wreszcie stolicę – Zauropol. Nazwy tych miejscowości mówią o ich specyfice, co od razu odbija się na stronie plastycznej. Przy okazji dowiadujemy się sporo o życiu codziennym Dinotopian, o uprawianych przez nich rzemiosłach, o rozrywkach, posiłkach, strojach, o naturze i ustroju tej sielskiej krainy.

Nazwa Dinotopia wydaje się sugerować, że mamy do czynienia z utopią z udziałem dinozaurów. Nic bardziej błędnego: to, że ludzie żyją razem z dinozaurami i nie traktują ich jak domowe bydło, lecz jak trochę inaczej zbudowanych sąsiadów, wydaje się dziwne tylko przedstawicielom cywilizacji, która maltretowanie przyrody uczyniła naczelną swą powinnością. Na Dinotopii ludzie uznali olbrzymie gady za domowników, żyją z naturą za pan brat, nie ma tu żadnej wielkiej techniki, wyspa zachowała swój pierwotny, piękny i zarazem groźny wygląd. Ochroną środowiska zajmują się zresztą specjalne zespoły, złożone z ludzi i dinozaurów. Każdy taki zespół penetruje określony fragment biocenozy i nic nie umknie wyostrzonej uwadze inspektorów.

To, że Dinotopia pozostała dotąd nieodkryta, Gurney tłumaczy innym upływem czasu. Cywilizacja zachodnia opowiada się za czasem płynącym po linii prostej, od przeszłości ku przyszłości. Wschód z kolei wierzy, że czas płynie po okręgu. Dinotopianie łączą te dwie interpretacje: dla nich czas porusza się po ślimacznicy, historia się powtarza, ale i mknie do przodu. Stąd wniosek, iż spotkanie z Dinotopią wymaga zestrojenia zespołu czynników; dopóki to nie nastąpi, cudowna wyspa będzie dla nas niedostrzegalna.

W dziedzinie ilustracji fantastycznej Gurney nie jest żadnym nowicjuszem. Zaczynał na początku lat osiemdziesiątych jako pomocnik przy animacji filmu „Fire and Ice". Specjalizuje się głównie w fantasy, zaprojektował ponad 70 okładek do książek tego gatunku, ilustrował też scenami ze starożytności artykuły w „National Geographic". Zdobył za swą działalność artystyczną szereg nagród, m.in. na kongresie World SF w 1989 roku. Jego prace plastyczne, przynajmniej te z „Dinotopii", wydają się prawie doskonałe. Stosując technikę akwarelową jest w stanie oddać wielkie bogactwo szczegółów w nienaganny technicznie sposób. Dochodzi do tego imponująca wyobraźnia i łatwość w przekładaniu własnych wizji na język plastyczny. „Dinotopia" jest dziełem niezwykle sugestywnym: świat przedstawiony przez Gurneya wydaje się nie tylko możliwy, ale wręcz realny. O stronę edytorską postarał się wydawca – album zdobył nagrodę za najpiękniej wydaną książkę w 1993 roku.

Dla miłośników fantastyki starym znajomym jest także Bogdan Baran, tłumacz „Dinotopii". Ten były pracownik krakowskiego WL-u stał się obecnie tłumaczem filozofów oraz samodzielnym wydawcą. Starsi czytelnicy pamiętają go jednak z takich przekładów jak „Nowy wspaniały świat" Huxleya czy „Dziecko Rosemary" Levina. Obracamy się więc cały czas we własnym gronie.

Marek Oramus

James Gurney:
Dinotopia. Kraina poza czasem.
Tłum. Bogdan Baran.
Wydawnictwo Baran i Suszczyński
1993.

ZNIKNĄĆ W OTCHŁANI

W Stanach Zjednoczonych panuje typ kultury autarkicznej, całkowicie ksobnej – publiczność tamtejsza słabo toleruje produkty obce, tak książki jak i filmy. Producenci amerykańscy, jeśli uznają jakąś np. europejską czy japońską historię za interesującą, zlecają jej ponowne nakręcenie w amerykańskich realiach i z amerykańskimi gwiazdami. Zdarzyło się to „Siedmiu samurajom" Akiro Kurosawy („Siedmiu wspaniałych" Sturgesa) i „Do utraty tchu" Jean-Luc Godarda („Breathless" reż. Jim McBride).

Przypadek „Zniknięcia" George'a Sluizera wygląda dosyć osobliwie – europejska wersja filmu powstała w 1988 roku, wywołała spore zainteresowanie, po czym obrotni faceci z Hollywood powierzyli mu nakręcenie nowej wersji, odstępując od swych uświęconych zasad (dla Amerykanów przez Amerykanów z Amerykanami – Sluizer to Holender). Z porównania oryginału i remake'u jasno widać, w jaki sposób płaci się tam za dostęp do szerokiej widowni (i dużych pieniędzy).

Bohaterem wersji europejskiej (pokazywanej w TVP) jest francuski prowincjonalny nauczyciel, Raymond Lemorne (grany przez Bernarda Pierre'a Donnadieu), który porywa i morduje przypadkową dziewczynę, młodą Holenderkę Saskię – tylko po to, aby udowodnić sobie, że potrafi to zrobić. Podobnie jak Lafcadio (bohater powieści Andre Gide'a „Lochy Watykanu"), Lemorne bada granice własnych możliwości – w skórze poczciwego mieszczucha mieszka bluźnierczy demon. Zło wciąga go i fascynuje. Przyjaciel Saskii, Rex (Gene Bervoets) nie może o niej zapomnieć i podąża śladami dziewczyny, aż do samego dna otchłani, czyli zakopanej pod kwietnikiem skrzyni. Czuje do Lemorne'a pomieszaną z obrzydzeniem nienawiść, ale jednocześnie poddaje się jego demonicznej osobowości, jakby gdzieś na dnie duszy pragnął posmakować absolutu Zła.

„Zniknięcie" przeraża zimną, intelektualną grozą – Lemorne to krewniak doktora Lectera z „Milczenia owiec", choć nie jest tak efektowny, jak tamten. Swoje piekło dusi w sobie, nic nie przenika przez kamienną, płaską i zaciętą twarz. Mord swój przygotował z beznamiętną starannością niczym pokazową lekcję. Udowodnił sobie, że z równą łatwością może człowieka uratować, jak i zabić – jest zatem jednostką absolutnie wolną, doskonałą, dorównującą antycznym bogom, tak samo jak oni obojętną wobec dobra i zła.

Co z tego zostało w wersji zrealizowanej za oceanem? Prawie nic – demon w wydaniu amerykańskim, nauczyciel chemii Barney, ma twarz wiejskiego przygłupa (Jeff Bridges), pseudonietzscheańskie wywody brzmią w jego ustach równie wiarygodnie co „Jezioro łabędzie" w wykonaniu podwórkowej kapeli. Został starannie przykrojony do amerykańskich realiów, gdzie roi się od świrów, rzucających w jednej sekundzie w diabły dom, rodzinę i pracę i lecących z karabinem na najbliższą wieżę kościelną, aby pruć stamtąd do wszystkiego, co się rusza. Żadna filozofia nie jest do tego potrzebna.

Barney przypomina nie tyle Lectera, co raczej wesołego transwestytę z kompleksami i talentem do szycia, Jame Gumba, nie jest jednak aż tak przerażający, raczej śmieszy swą poczciwą niezgułowatością. Nie wiadomo, jakim sposobem przekonał Jeffa (Kiefer Sutherland), aby podążył w ślad za porwaną dziewczyną, Dianą.



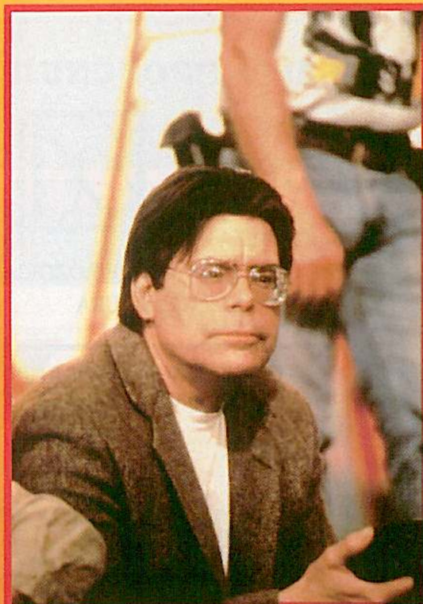
Film europejski kończy się krzykiem przerażenia odchodzącego w otchłań chłopaka Saskii, zakopanego żywcem przez Lemorne'a. Potem mamy sielankową scenę, gdy nauczyciel wraz z nieświadomą niczego rodziną urządza sobie piknik na grobach – pod trawnikiem gniją dwa ciała, a demon, równie nieprzenikniony co na początku, patrzy mrocznym wzrokiem w przyszłość.

To oczywiście w Ameryce przejść nie mogło – film bez happy endu? Zły wygrywa, drwiąc sobie z praw ludzkich i boskich? A co na to Superman czy inny samotny acz dzielny szeryf? W tym miejscu w naszym remake'u mamy westernową dokrętkę: dziewczyna Jeffa, Rita, którą poznał już po zniknięciu Diany, istne wcielenie amerykańskiej energii i przedsiębiorczości, rusza śladem ukochanego, stacza z Barneyem morderczy pojedynek, odkopuje Jeffa, który, cudem życiu przywrócony, szatkuje zbrodniarza łopatą. W ostatniej scenie zwycięscy bohaterowie triumfalnie szczerzą ku nam wypielęgnowane zęby – będą żyli odtąd długo i szczęśliwie, niczym wyrwani z paszczęki czarownicy Jaś i Małgosia.

W Ameryce każda bajka musi mieć szczęśliwe zakończenie. Inaczej dzieci się zestresują i przestaną wierzyć w *american dream*.

Jacek Inglot

SPOORLOOS. **Reż. George Sluizer. Występują: Bernard Pierre Donnadieu, Gene Bervoets i in., Francja-Holandia, 1988.**
THE VANISHING. **Reż. George Sluizer. W głównych rolach: Jeff Bridges, Kiefer Sutherland i in. USA, 1992.**



Stephen King – występuje w „Bastionie" w epizodach... w drużynie Dobra!

POTYKANIE SIĘ Z DIABŁEM

MACIEJ PAROWSKI



Wiadomo mniej więcej, czego oczekiwać od kina katastroficznego. Na pewno obrazu zniszczeń, mrowia trupów i gruzów, jak było na przykład w „Ucieczce z Nowego Jorku", w „Nazajutrz" czy częściowo u Szulkina. Albo wizji pustego nietkniętego miasta, po którym snują się niedobitki, a za chwilę unicestwi ich śmierć popromienna; to znamy z „Ostatniego brzegu". Albo przerażającego, barwnego wizerunku społeczności, która oszalała, cofnęła się do stanu malowniczego barbarzyństwa – najwięcej jest tego w „Mad Maxach", w „Ucieczce z Nowego Jorku" i w „Ucieczce Logana". Albo zapisu powolnego umierania i rozpadu ludzkich więzi, mogliśmy to obejrzeć w „Listach martwego człowieka" i w „Sieci"...

„Bastion" – miniserial telewizyjny nakręcony przez Micka Garrisa według powieści Stephena Kinga z 1978 roku (wyświetlony z oszałamiającym powodzeniem w maju tego roku przez program ABC amerykańskiej TV), nie lekceważy tej katastroficznej tradycji. Przeciwnie, reżyser i autor scenariusza w świadomy sposób odwołują się do bogatego fantastycznego dziedzictwa, ale próbują je przekroczyć, rozwinąć. King i Garris proponują widowni film w całym tego słowa znaczeniu apokaliptyczny, w którym zgodnie z Biblią równie ważna jak doświadczenie zniszczeń fizycznych, jest ostateczna rozgrywka między Dobrem a Złem, między zwolennikami Boga i szatana. Nie lekceważąc strony widowiskowej, wizualnej (trupy naznaczone chorobą, wybuchy, akcje wojskowe, zamachy, strzelaniny, kraksy, sceny miłosne czy wreszcie groźne sceny diabelskich przeistoczeń wzięte z rasowego horroru...) koncentrują się twórcy „Bastionu" na walce, na upadkach i wzlotach w dziedzinie ducha. Film ma bardzo wyraźny zaśpiew mitologiczny, więcej nawet – religijny.

Z tajnego wojskowego laboratorium wymyka się nieznacznie tylko zmutowany (podrasowany) wirus zwyczajnej grypy i w błyskawicznym tempie zaczyna zbierać niezwyczajne śmiertelne żniwo. Wojskowi zrazu kłamią, że nic się nie stało, próbują izolować chorych, zamykać teren zarazy, ale to się nie udaje. Prawda przebija się do prasy, do telewizji, wirus zabija także lekarzy i wojskowych. Natomiast nie zabija niektórych izolowanych przez nich osób, paru zamkniętych więźniów, zostawia w spokoju jakąś postrzeloną nimfomankę w małym miasteczku, jakiegoś wioskowego przygłupa, muzyka rockowego na dorobku, przystojnego niemowę, sędziego, malarza, szefa policji, szalonego podpalacza...

Jesteśmy u Kinga, jesteśmy na amerykańskiej prowincji, ale to nie jest seans realistyczny. Dość szybko z opowieści, która w warstwie zewnętrznej przypomina trochę pierwsze sceny słynnego katastroficznego technothrillera „Andromeda znaczy śmierć" wkraczamy w rasowy amerykański film drogi... W kojarzący się z „Twin Peaksem" Lyncha film o duchach, dziwakach i snach... W horror z Diabłem-Krukiem-Człowiekiem w roli głównej. W religijny film o męczennikach, którzy ruszają koncentrycznym marszem na bastion szatana – Las Vegas, by dać się tam ukrzyżować, zbawić siebie i świat...

Krytyka amerykańska pisze o „Bastionie" jak o znakomitym horrorze, który podnosi włosy na głowie. To też, choć jest tak raczej z młodym widzem, który widział niewiele. Dla mnie znacznie bardziej przejmujący, rzucający się w oczy niż groza (nie najgorszej próby, ale dawkowana oszczędnie) jest ciąg halucynacyjnych scen niosących ze sobą nie strach, lecz intelektualne zaskoczenie. Zaskakujący jest rytm, w jakim Garris montuje swój film, bardzo muzyczny, z nawrotami, z najazdami i odjazdami kamery z różnych kątów, odsłaniającymi nieoczekiwane perspektywy. Zaskakujące jest, że spora część akcji dzieje się w snach – zwiastowaniach bądź koszmarach, znajdujących potem dopełnienie w rzeczywistości. Fabuła wiąże się luźno, główni, zdawałoby się, bohaterowie, znikają z ekranu na długie kwadranse, akcja skacze, w sensie policyjnej, precyzyjnej intrygi jest jej zresztą niewiele. Nie chodzi tu o fakty, o precyzyjne studium socjotechniczne; chodzi o emocje, o powinności, o obnażające się bezwiednie charaktery – gra nie idzie o sukces, lecz o to, kto ocali duszę.



Oszczędzeni przez zarazę dzielą się jakby na dwie drużyny. Jednych przyciąga do siebie w snach duch dobra ucieleśniony w postaci starej muzyki matki Abagail grającej na gitarze na werandzie południowego domku. Drużynie zła przewodzi Randall Flagg, goguś w dżinsowej kurtce – zmieniający wcielenia ducha zła, który rządzi szczurami, potępieńcami, podpalaczami i politykami. Dobro i zło... To zawsze kwestia wyboru, ale także – często spotykamy u Kinga tę nutę – przeznaczenia. Nadine Cross nie wie, czemu musi pójść za Flaggiem, uwiódł ją w snach, przeraził, ale kiedy chciała odeń uciec – okazało się, że jest za późno. Przestępca uwolniony przez Flagga z więzienia, pójdzie za nim z wdzięczności, ze strachu, nie będzie chciał stracić władzy nad Las Vegas, jaką uzyskał z rąk szatana, ale trzyma się diabła także dlatego, że nigdy od nikogo nie usłyszał tyle prawdy, co od niego. Wiem, że to dwuznaczne, szatan w Biblii jest także dwuznaczny.



Bohaterowie „Bastionu" są wystawieni na podobne próby i zdają podobny egzamin moralny, jak bohaterowie „Stalkera" Tarkowskiego poddani dziwnemu działaniu Strefy. Wiem, to dość odległe skojarzenie, zwłaszcza że jak to



u Kinga pełno jednak w filmie realiów amerykańskich. Zebrani w wolnej strefie ocaleńcy, opowiadający się po stronie dobra, śpiewają amerykański hymn, bez zmrużenia oka wysłuchują posłania o woli Boga, o konieczności stawienia czoła złu i dochowania wiary. W finale filmu pojawia się dosłownie „ręka Boga", robiona pewnie przez tego samego albo zaprzyjaźnionego speca, który wykreował wizje w „Ghostbusters" i „Poltergeist", ale to w „Bastionie" nie razi. Podobnie jak nie razi wizja szatana w kukurydzy, świecącego oczami. Film jest bardzo ciekawie grany, histerycznie, właśnie... po Lynchowsku, a rola Flagga to prawdziwa perła – doskonale odrażająca i przerażająca. Także bez maski. Tak jest, szatan jest potworny, a jednocześnie zalotny, przymilny, twardy i miękki, na przemian. Ale jak przystało na Apokalipsę, przegrywa. Nie wszyscy o tym pamiętają, Apokalipsa to powieść optymistyczna, o ostatecznej bitwie i przegranej zła, zniszczenia materialne, chaos i zamęt są w niej tłem dla tego zasadniczego konfliktu. I właśnie tak mamy w „Bastionie" – zwycięża młode życie i nadzieja.

Taki film teraz, w Stanach – staroświecki, mitologiczny, chrześcijański aż do obrzydzenia – i sukces. Tylko dlatego, że dobrze zrobiony? Co to znaczy? Zabawne, ale dwadzieścia lat temu w „Carrie" też według Kinga, Bóg, religia były brzydką obsesją, szkodliwą chorobą, która wypaczyła stosunki matka-córka i zniszczyła młodą duszę. Tu Bóg jest wyborem, drogą prawdy, łaską i wybawieniem. Ale zawsze możemy wybrać Zło, które jest tandetne, zwodnicze, zalotne, groźne i... wiele może. Tako dziś rzecze King, a Garris to nakręcił zręcznie i oryginalnie.

Maciej Parowski



BASTION (THE STAND)

Reżyseria: Mick Garris. Scenariusz: Stephen King (na podstawie własnej powieści z 1978 r.). Zdjęcia: Edward Pei. Muzyka: W.G. Snuffy Walden. Obsada: Gary Sinise, Molly Ringwald, Jamey Sheridan, Laura San Giacomo, Ruby Dee, Ossie Davis, Miguel Ferrer, Corin Niemec, Matt Frewer, Adam Storke, Ray Walston, Ed Harris i in. USA 1994. Dystrybucja w Polsce: Warner Home Video (4 kasety a 1,5 h; Pomór, Sny, Zdrada, Bastion). Tłumaczenie listy dialogowej: Marek Marszał.

Trzeciego stycznia 1892 r. w przygranicznym miasteczku Bloemfontein, w afrykanerskiej republice Oranje Vrystaat, żona angielskiego emigranta-bankowca powiła swe pierwsze dziecię. W sto lat później John Ronald Reuel Tolkien był poważany w całym europejskim, a zwłaszcza anglojęzycznym, świecie za epicki romans heroiczny „Władca Pierścieni". Takiej sławy nie doczekał się żaden z XX-wiecznych poprzedników Tolkiena w gatunku heroicznego romansu – Lord Dunsany, E. R. Eddison, James Branch Cabell czy David Lindsay – ani nikt z rzeszy następców (czasem – imitatorów), których zainspirował.

Elwin Fairburn

Tolkien: mitologia dla Anglii

Oferowali oni eskapizm, ucieczkę w fantasy, przyjemniejszą od rzeczywistości XX wieku. Jak powiedział Tolkien, w ucieczce nie ma nic niewłaściwego, kiedy siedzi się w więzieniu, a właśnie on jako pierwszy zdemaskował nasze czasy jako jedno z najgorszych duchowych więzień w historii ludzkości. Lecz żaden z pisarzy proponujących sam tylko eskapizm nie był w stanie konkurować z ogromem wpływu Tolkiena. Tolkien dotknął głębszego nerwu w naszej nowoczesnej, „zachodniej" cywilizacji. Lecz dzięki czemu? Cóż jest sekretem jego sukcesu?

Przede wszystkim Tolkien ofiarował swym czytelnikom wyraziste poczucie kulturowej i etnicznej tożsamości, odzwierciedlające jego własne poczucie tożsamości i dumę z niej. Opisywał to swym amerykańskim wydawcom w ten sposób: *Właściwie jestem, wedle angielskich pojęć, mieszkańcem Środkowo-Zachodniej Anglii* (w oryg.: West-Midlander), *zadomowionym tylko w hrabstwach sąsiadujących z Marchią Walijską; sprawiło to, jak sądzę, tak moje pochodzenie jak okoliczność, iż języki staroangielski i zachodni średnioangielski oraz wiersz aliteracyjny były zarówno atrakcją mego dzieciństwa, jak i zasadniczym przedmiotem mojego zawodu.* Tolkien przyznawał się do XVIII-wiecznych niemieckich przodków (którym zawdzięczał swe nieangielskie nazwisko), lecz dodawał, że jego rodzina była *głęboko angielska (nie brytyjska).*

W liście do W. H. Audena Tolkien podkreśla, że jest mieszkańcem Środkowo-Zachodniej Anglii z pochodzenia i kiedy zetknął się z wczesnym środkowo-zachodnim dialektem średnioangielskiego, od razu go rozpoznał. W liście do swego syna Christophera przypomina mu, że *pomijając rodowód Tolkienów (który już dawno musiał stać się wątłą niteczką) jesteś Mercyjczykiem lub Hwiccianinem (z Wychwood) i po mieczu, i po kądzieli* (Mercja – jedno z ośmiu anglosaskich królestw w VI-IX w. – przyp. tłum.). Do innego z synów, Michaela, pisze, że każdy zakątek hrabstwa Worcestershire, skąd wyrasta dziedzictwo jego matki, *jest dla mnie w pewien niewypowiedziany sposób „domem", jak żadna inna część świata.* Owa duma ze swej tożsamości pobudzała jego głęboką miłość ojczyzny. Kocham Anglię, powiedział swemu synowi, *lecz nie Wielką Brytanię i na pewno nie Brytyjską Wspólnotę (tfu!).*

Ta głęboka duma i świadomość angielskości, a dokładniej – mercyjskości, przepełnia powieści Tolkiena, przede wszystkim „Władcę Pierścieni", lecz również „Hobbita" oraz – bardziej subtelnie, jak zobaczymy – „Silmarillion". I tak, jak ich twórca z naciskiem powtarzał, szczególnie w notatkach na temat dokonanej w 1956 r. przez Audena recenzji III tomu „Władcy Pierścieni", jego *Śródziemie nie jest wyimaginowanym światem.* Śródziemie to nie tylko znakomita część naszego świata, *północo-zachód Starego Świata, na wschód od Morza,* ale, co się tyczy Shire, tej wyidealizowanej sielskiej ojczyzny hobbickich bohaterów, jest to jego, Tolkiena, własna część owego świata. *Shire*, pisał do swego wydawcy, Raynera Unwina w 1956 r., *odzwierciedla wiejską Anglię, nie zaś jakikolwiek inny kraj na świecie.* Co więcej, ów Tolkienowy obszar wiejskiej Anglii – Shire, *jest faktycznie w mniejszym lub większym stopniu wioską Warwickshire w dobie Diamentowego Jubileuszu.*

Subkreacja Tolkiena była ściśle zakotwiczona w poczuciu lokalnej tożsamości. Swe dzieciństwo spędzone w Sarehole, położonej na południe od Bristolu rolniczej wówczas miejscowości hrabstwa Warwickshire (jego rodzina wróciła do Anglii, gdy miał cztery lata) postrzegał jakby *żył przez swoje wczesne lata w „Shire", w erze przedmechanicznej.* Nazewnictwo Shire, odnotował Tolkien nieco później, *jest wymyślone zgodnie ze stylem, genezą i sposobem tworzenia angielskich (a zwłaszcza środkowoangielskich) nazw miejsc.* Nawet dom Bilba i Froda znajduje się w Mercji: *Bag End to miejscowa nazwa gospodarstwa mojej ciotki w Worcestershire, które było końcem polnej drogi wiodącej do niego.*



Andrzej Grzechnik

Jak kraj z serca „Władcy Pierścieni" był jego krajem, tak i ludzie będący bohaterami opowieści są „jego" ludźmi – pochodzącymi z Anglii, szczególnie z Anglii Mercyjskiej. Tolkien powiedział w jednym z wywiadów: *Hobbici są ni mniej ni więcej tylko angielskimi wieśniakami, których niewielkie rozmiary odzwierciedlają ich niewielką wyobraźnię, lecz nie odwagę czy utajoną siłę.*

Tę odwagę i ukrytą siłę angielskiego ludu Tolkien miał okazję obserwować w pełni, gdy jako podporucznik fizylierów Lancashire walczył w morderczej bitwie nad Sommą w 1916 r., w której zginęła większość jego szkolnych kolegów. Tej odwadze i sile pisarz starał się oddać sprawiedliwość, opisując jedną z najulubieńszych postaci trylogii – lojalnego towarzysza Froda, Sama Gamgee. Jak później wyjawił, *mój Sam Gamgee jest odbiciem angielskiego żołnierza, szeregowców i ordynansów, których poznałem podczas wojny 1914 r., dostrzegając jak dalece mnie przewyższają.*

Lecz nie tylko hobbity zaczerpnął Tolkien ze studni swej angielskości. Enigmatycznego Toma Bombadila widział jako *ducha zanikającej wiejskiej krainy Oxfordu i Berkshire.* Jeźdźcy Rohanu nie mówili zwyczajnym staroangielskim – „anglosaskim" – lecz, jak to zaobserwował T. A. Shippley (następca Tolkiena w roli wykładowcy języka angielskiego i literatury średniowiecznej na uniwersytecie w Leeds), specyficznie mercyjskim staroangielskim – mową mercyjskich przodków Tolkiena: *Saruman, Hasufel, Herugrim zamiast „zwykłych" Searuman, Heasufel, Heorugrim.* Nazwa, jaką

nadawali sami jeźdźcy swojemu krajowi, *Marchii*, jest tą samą nazwą, którą przodkowie Tolkiena określali jego ojczyznę, Środkowo-Zachodnią Anglię; nazwą zlatynizowaną przez mnichów z Wessex, wymawiających raczej *Mearc* niż *Mark*. Inni bohaterowie Tolkienowej epiki także namacalnie zakorzenieni są w angielskiej ziemi i angielskim duchu lub, jak Gandalf, którego Tolkien wymyślił jako *podobnego Odynowi wędrowca*, z równie umiłowanego przez Tolkiena dziedzictwa Północy.

I właśnie to odzwierciedlenie dumy autora, wypływającej z głębokiej wiedzy o własnej kulturowej i etnicznej tożsamości – Tolkien kiedyś zanotował: *jeśli chcesz pisać opowiadania tego rodzaju, musisz sięgać do swych korzeni* – odróżnia jego pisarstwo od większości nowoczesnej heroic fantasy. Imitatorzy cierpią wyraźnie na brak takowych korzeni, być może dlatego, że częstokroć są to Amerykanie, którzy nie mają do czego sięgać lub ponieważ zapomnieli o dziedzictwie przodków.

Kulturowe bogactwo i niezmącona różnorodność Tolkienowego Śródziemia, z jego ludami, językami, wiedzą, tysiącleciami pisanej historii – wszystko to jest wspaniałe. Ale to jeszcze nie cały Tolkien. Ofiarowuje on bowiem nie samą tylko wspaniałość wyobraźni wyrosłej ze starożytnej, a rzeczywistej kultury, ale też ideę. Mit i manifest. Duma Tolkiena z tego, kim był (nie jako indywiduum, lecz jako jeden z ludzi, Anglik, Mercyjczyk zwłaszcza), była źródłem nie tylko tego, co pisał, ale również powodem, dlaczego pisał. I dlaczego to, co pisał, jest nie tylko pięknym opowiadaniem, lecz istotnym przesłaniem. Tolkien starał się uczynić coś więcej niż tylko opowiedzieć jakąś historię. Starał się kłaść podwaliny pod mit. Mit narodowy. „Mitologię dla Anglii".

Jego marzenie zrodziło się w młodości. W 1912 roku jako dwudziestoletni student Exeter College Oxford przeczytał w biuletynie akademickiego stowarzyszenia o „Kalevali", wielkim mitotwórczym eposie fińskim. Ów epos, narodowy mit, odtworzony ze starożytnych opowieści ludowych przez Eliasa Lönnrota w początkach XIX wieku, odegrał ogromną rolę w przeistoczeniu Finów z apatycznych prowincjuszy rosyjskich, a wcześniej szwedzkich, w odrodzony naród. Tolkien skarżył się: *Gdybyż nam więcej tego zostało – czegoś w tym samym rodzaju, co by przynależało do angielszczyzny*. Stąd narodził się jego wielki projekt, jak to sam sformułował: *Uczynić zasadniczy korpus z mniej lub bardziej powiązanych legend, począwszy od tych wielkich i kosmogonicznych aż do poziomu romantycznej baśni – te większe oparte na pomniejszych w styczności z ziemią, mniejsze czerpiące swą wspaniałość z monumentalnych dekoracji – które mógłbym zadedykować po prostu: Anglii, mojemu krajowi.*

Swemu krajowi, Anglii, Tolkien dedykował pierwszy epicki mit, wydany później jako „Silmarillion", a potem opowieści kolejno z niego wywiedzione, „Władcę Pierścieni" i „Hobbita". Jak odnotował prof. Shippey: *Wielkim pragnieniem czy też zamiarem Tolkiena było oddanie swemu krajowi legend, które utracił on w Mrocznych Czasach przed Najazdem* – najazdem normańskim (1066 r.). Jak zauważył jego biograf, najazd ten *sprawiał pisarzowi taki ból, jakby nastąpił za jego życia*. Planem Tolkiena było *w pełni wykończyć kilka wielkich opowieści, a pozostałe, umiejscowione w schemacie, zostawić jeno naszkicowanymi. Cykle winny być powiązane w majestatyczną całość, acz pozostawiające pole do popisu dla innych umysłów i rąk władających farbą, muzyką, dramatem.* Absurd!, skwitował to później. Lecz żadnej recenzji, być może, nie upodobałby sobie bardziej niż tej z „Guardiana" o „Silmarillionie", który ukazał się w cztery lata po śmierci swego twórcy: *Jak, mając niewiele więcej niż pół wieku pracy, jeden człowiek mógł stać się twórczym ekwiwalentem ludu?* Albo innej, z „Financial Times": *Czasami wznosi się do wielkości prawdziwego mitu.*



Włoska młodzież prawicowa organizuje coroczne zloty pod nazwą Campo Hobbit (Obóz Hobbitów).

Czy takie pochwały były w pełni zasłużone, czy Tolkien rzeczywiście tworzył zręby „mitologii dla Anglii", to kwestia dyskusyjna, którą rozstrzygnie przyszłość. Całkiem możliwe, że narodowe mitologie są stwarzane przez same narody, a nie przez jednostki, jak Tolkien ubolewał, *w Epoce Ciemności, poza odpowiednim czasem*. Ale mitologia ta była źródłem „Władcy Pierścieni", a jej trwałe oddziaływanie na miliony mogło, na swój własny subtelny sposób, przyczynić się do kulturowego odrodzenia angielskości, któremu właśnie miał służyć stworzony przez niego „narodowy mit".

Kulturowe odrodzenie Anglików, *których główną wadą jest lenistwo*, jak odnotował – było w opinii Tolkiena konieczne. Inaczej Anglia utraci swą tożsamość i utonie w tym, co nazywał on *amerykanokosmopolityzmem*. To zagrożenie zauważał już w 1943 roku, pisząc w liście do swego służącego w RAF syna Christophera, że *to, co było większe, mniejszym się teraz staje, a świat cały matowieje i spłyca się. Przeobraża się cały w jedno przeklęte, małe, prowincjonalne przedmieście. Kiedy już amerykańska higiena, dziarskość, feminizm i produkcja masowa rozprzestrzenią się na cały Bliski Wschód, Daleki Wschód, Środkowy Wschód, ZSRR, Pampę, Gran Chaco, Nizinę Dunajską, Afrykę Równikową, Bliższy, Dalszy i Średni Mumboland, Gondwanę, Lhasę i najbardziej zapadłe wiochy Berkshire, jacyż wtedy będziemy szczęśliwi! W każdym razie powinno to położyć kres podróżom. Nie będzie dokąd pojechać. (...) Znajduję ten amerykanokosmopolityzm nader okropnym. Tak w umyśle, jak w duszy... Nie jestem wcale pewien, czy jego zwycięstwo okaże się dla świata jako całości i na dłuższą metę czymś wyraźnie lepszym.*

Amerykanokosmopolityzm nie był jedynym aspektem otaczającego świata kontestowanym przez Tolkiena – miłośnika swej ziemi, ludu, kultury i tradycji. Jak zaobserwował krytyk Roger Sale, *Tolkien zwykł mawiać, że tylko głupcy mogą przyglądać się XX stuleciu bez zgrozy.* W rezultacie, jak to przedstawia inny krytyk, Colin Wilson, *„Władca Pierścieni" jest krytyką nowoczesnego świata i wartości charakterystycznych dla cywilizacji technologicznej. Broni własnych wartości i stara się przekonać czytelnika, że są one lepsze od obowiązujących współcześnie. (...) W tym, jak sądzę, tkwi istota zjawiska, którego moi pierwsi przewodnicy po owym dziele nie potrafili wyjaśnić: dlaczego można je traktować tak poważnie. W istocie rzeczy jest to, podobnie jak „Ziemia jałowa", atak na nowoczesny świat, credo, manifest.*

Jest to manifest na rzecz świata tak bardzo różnego od wartości *amerykanokosmopolityzmu*, jak tylko można to sobie wyobrazić. Świata tożsamości i hierarchii, szlachetności, piękna i heroizmu. Świata, w którym każdy z Wolnych Ludów, Elfów, Krasnoludów, Hobbitów, Entów i rozmaitych narodów człowieczych, miał swą własną kulturę, ziemię i historię – a stąd i poczucie wartości. Wszystkie ludy chronią, bez wzajemnej wszakże wrogości, swą własną mowę, narodowość i sposób życia. Jak wyjaśnia prof. Paul Kocher z Uniwersytetu Stanford, *Tolkien nie tęskni bynajmniej za wymieszaniem gatunków, które mogłoby zerodować odrębną tożsamość każdego z nich... Współżycie wolnych ludów Śródziemia oparte jest na wzajemnym szacunku i współpracy.* To świat, jak stwierdza prof. Shippey, wzorem *Beowulfa* i nordyckich sag oparty *na przekonaniu, że ludzie są tym, co dziedziczą.*

Wynika to stąd, iż jak skomentował prof. Walter Scheps – *jedyny powiew egalitaryzmu, jaki porusza delikatnymi drzewami Śródziemia, nadchodzi ze Wschodu, a egalitaryzm, którego zapowiedź przynosi, polega na nikczemnym niewolnictwie.* We „Władcy Pierścieni" najbliższe demokracji typu zachodniego jest to, co Tolkien nazwał *półrepubliką, pół-arystokracją Shire*, a co w rzeczywistości prawie wcale nie posiada rządu. Zwycięstwo Zachodu to nie świat uchroniony dla demokracji lecz, jak głosi tytuł ostatniego tomu „Władcy Pierścieni" – „Powrót Króla". Restauracja tradycyjnej, dziedzicznej władzy w osobie predestynowanej do rządzenia przez pochodzenie, wrodzone zdolności, charakter i doświadczenie.

Tolkien, jak sam się jasno określił, nie był *demokratą w żadnym z aktualnych znaczeń.* Ale Aragorn, Król Elessar, nie jest tyranem ani führerem, lecz mądrym, dobroczynnym zwierzchnikiem respektującym lokalne tradycje samorządu i niepodległości. To nie żaden komisarz ani gauleiter przysłany z Minas Tirith rządzi w Shire, zarezerwowanym dla hobbitów *Wolnym Kraju pod opieką Północnego Berła*, lecz swojak Sam Gamgee, wybrany Majorem na uczciwym, wolnym zgromadzeniu ludowym.

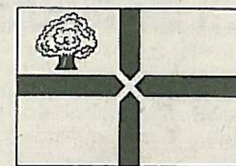
Wolne Ludy Śródziemia nie są demokracjami. Lecz, jak to wykazuje prof. Shippey, *wolność nie jest przywilejem demokracji*. Niewolnictwo natomiast jest prerogatywą superpotężnego Państwa, egzemplifikowanego w Śródziemiu przez totalitarną tyranię Pana Ciemności. Echo nowoczesnego faszyzmu i komunizmu, którymi Tolkien się brzydzi, słychać w Orkach meldujących swoje imię i numer Nazgulowi. Natomiast prości ludzie Śródziemia, dalecy od tego, by być ciemiężonymi przez Wolnych Panów, są tymi, do których Wielcy i Mądrzy muszą się zwrócić w godzinie próby. To nie królewski Aragorn ani czarodziej Gandalf, ale Frodo Baggins, bojaźliwy hobbit z Shire jest głównym bohaterem „Władcy Pierścieni".

Śródziemie jest również światem mniejszego hałasu i bujniejszej zieleni, w którym na przykład lasy i drzewa traktowane są jako wartość sama w sobie, a nie jako „zasoby drewna". Biograf Tolkiena odkrywa, że twórca odmówił korzystania z samochodu, gdy zobaczył, jakie szkody czyni on w krajobrazie. Tolkien nawet wtedy, gdy dzięki honorariom za „Władcę Pierścieni" stał się już człowiekiem zamożnym, nie miał w domu telewizora, pralki ani zmywarki. W Tolkienowym świecie honor i przyzwoitość liczą się daleko bardziej niż materialny dobrobyt. W tym świecie właśnie Pierwszy Pierścień dokonuje zemsty przez materialistyczną chciwość, chęć posiadania i żądzę bodaj chwilowej władzy.

Ten antymaterialistyczny „Manifest" wyrażony we „Władcy Pierścieni" spotkał się z możliwym do przewidzenia atakiem z pozycji Politycznej Poprawności. Pewien amerykański profesor *college'u* ubolewał wręcz, że *jeśli spróbujemy odnieść moralne wartości tkwiące w trylogii do „świata rzeczywistego", to okaże się, że będziemy mogli je nazwać paternalistycznymi, reakcyjnymi, antyintelektualnymi, rasistowskimi, faszystowskimi i – najgorszy chyba z używanych dziś terminów – niekoherentnymi.* Ta sama antologia poświęconych Tolkienowi recenzji, w której znajdziemy ów wyskok, zawiera także pracę innego uczonego z USA, wychwalającego Tolkiena za jego *antyfaszyzm.*

I on właśnie bliższy jest prawdy. Tolkiena pogląd na faszyzm możemy poznać czytając jego list do syna Michaela z 1941 roku: *Mam w tej wojnie swoją prywatną, piekącą wściekłość... na cholernego małego nieuka Adolfa Hitlera, który rujnuje, deprawuje, nadużywa, czyni przeklętym na zawsze szlachetnego ducha Północy, ten najwspanialszy składnik Europy, który ja zawsze kochałem i starałem się prezentować w prawdziwym świetle.* W tym samym liście znajdujemy jeszcze bardziej nonkonformistyczną uwagę: *Ludzie w kraju zdają się nie uświadamiać sobie jeszcze, iż w Niemcach mamy wrogów, których zalety (a to są zalety!) posłuszeństwa i patriotyzmu są większe niż w naszych masach. Którzy są odważni tak samo jak my.*

REGIONALISM
IN
EUROPE



THE VIEW
FROM
MIDDLE ENGLAND

Działający od 1988 r. Ruch dla Środkowej Anglii stara się zrealizować w praktyce ideały Tolkiena: odrodzenie anglosaskiego dziedzictwa i demokracji opartej na lokalnych zgromadzeniach ludowych.

Polityczne oblicze Tolkiena odsłania jeszcze bardziej inny z jego wojennych listów, do syna Christophera: *Moje polityczne poglądy skłaniają się coraz bardziej ku anarchii (rozumianej filozoficznie, oznaczającej zniesienie kontroli, a nie brodatych facetów z bombami) – lub ku „niekonstytucyjnej" monarchii. Skłonny byłbym zamknąć każdego, kto używa słowa „państwo" w innym znaczeniu niż nieożywiona dziedzina Anglii i jej mieszkańcy – bez władzy, praw ni woli... Właściwym podmiotem ludzkich badań jest tylko sam człowiek, a najbardziej niewłaściwym zadaniem dla kogokolwiek, nawet dla świętych (którzy w każdym razie nie zamierzali się go podejmować), jest przewodzenie innym ludziom. Ni jeden z miliona nie nadaje się do tego, a już najmniej ci, którzy szukają sposobności... Największą grozą obecnego świata jest to, że cała ta przeklęta rzecz znajduje się w jednej sakwie. Nie ma dokąd polecieć. Nawet nieszczęśliwi mali Samojedzi mają, jak przypuszczam, puszkowaną żywność i wioskowy głośnik opowiadający na dobranoc bajki Stalina o demokracji i niegodziwych faszystach, którzy jedzą dzieci i kradną psy zaprzęgowe.*

Ale nikt nie podsumował Tolkiena lepiej niż prof. Shippey, jego bratnia dusza, filolog i badacz starożytnej mowy angielskiego ludu. W sercu wszystkiego, co Tolkien napisał, zauważa Shippey, kryje się *angielska tradycja, choć Tolkien skłonny był zaakceptować swe pokrewieństwo z Islandią lub Saksonią albo Ameryką, a w ostrożniejszy sposób – z Irlandczykami czy nawet Finami. Tolkiena moglibyśmy nazwać dziś „pisarzem etnicznym", jakkolwiek istota etniczności wydaje się leżeć w zasadzie, że każdy może być etniczny z wyjątkiem Anglosasów* (notabene jako katolik Tolkien nie był stuprocentowym WASP-em). Zastrzeżenie to jest karą za sukces: od czasu, gdy angielski stał się językiem międzynarodowym, w naturalny sposób zmalał narodowy doń sentyment. Jednakże Tolkien był świadom, że za tym sukcesem kryje się wiele stuleci zniechęcenia, które przytłumiły rodzimą tradycję w Anglii szybciej, być może, niż w jakimkolwiek innym kraju europejskim. To, co odeszło, cenił bardzo wysoko. W tym, co pisał i czytał, można odnaleźć człowieka usiłującego powrócić do czasów sprzed Pomieszania, kiedy to tradycje Shire i Mark nie były jeszcze zepsute.

Nie zepsutych, jak się zdaje, są jeszcze miliony w naszym nowoczesnym świecie rozkładu i chaosu. Stanowczy nacisk Tolkiena na tożsamość kulturalną, jego „mitologia dla Anglii" i wizja świata, którego wartości są antytezą nowoczesnego amerykanokosmopolityzmu – rozprzestrzeniły się w tylu sercach. Skoro dochodząca do głosu kontestacja naszego upadłego społeczeństwa konsumpcyjnego może zostać podchwycona przez miliony, to widocznie w najgłębszym Cieniu naszego nowoczesnego Mordoru żyje jeszcze nadzieja.

Być może, nasz Cień, jak i Sauronowy, będzie *tylko małą i przemijającą rzeczą*, ale Tolkien pokazał, że w sercach wielu ludzi nawet pod szlamem współczesnej antykultury żyje *wysokie i lekkie piękno na zawsze poza jej zasięgiem.*

Przełożył **Jarosław Tomasiewicz**

Artykuł pochodzi z brytyjskiego pisma tzw. nowej prawicy „Perspectives", nr 4 z lata 1992.



Tolkien dla dorosłych

Ostatnio pojawiło się w naszych księgarniach kilka pozycji przybliżających odbiorcom sylwetkę J.R.R. Tolkiena. Z reguły były to książki o charakterze przedmiotowym, np. biografia Michała Błażejewskiego „Powiernik pieśni" czy „Przewodnik encyklopedyczny" J.E.A. Tylera. I oto nakładem Iskier ukazała się pozycja opatrzona intrygującym tytułem „Tolkien dzieciom". Nie jest to jednak przekład „The Father Christmas Letters" – gwiazdkowych listów „od Świętego Mikołaja" do dzieci profesora. Pod hasłem „Tolkien dzieciom" kryją się dwa znane utwory: „Rudy Dżil i jego pies" oraz „Kowal z Podlesia Większego". Dodano do nich „na przyczepkę" rzecz w Polsce nie publikowaną: „Przygody Toma Bombadila".

Bombadila znają wszyscy. Dziwak, wesołek, świszczypała – jednych bawi, innych denerwuje. Zachowuje się, jakby brak mu było piątej klepki, a jednocześnie z jego słów przemawia głęboka mądrość. W świecie Śródziemia sprawia wrażenie osoby „z innej bajki". Postać bardzo trudna do zdefiniowania, niejednoznaczna. Dlaczego więc uznano go za bohatera „dziecięcego"? Pojęcia nie mam. Najwidoczniej namnożyło się dzieci nad wiek rozwiniętych.

Tytuł jest mylący. „Przygody..." bowiem to zbiór szesnastu wierszy Tolkiena pomyślany jako dodatek do „przekładu" Czerwonej Księgi Marchii Zachodniej. Bombadil pojawia się zaledwie w dwóch pierwszych utworach (w utworze siódmym występuje jeszcze postać o imieniu Tom). Większość wierszy to tradycyjne hobbickie rymowanki przekazywane z pokolenia na pokolenie. W przedmowie do zbioru powiedziane jest, że „autorami" kilku z nich są (lub mogą być) Bilbo, Frodo i Sam Gamgee. Wpływa to oczywiście na styl i kształt utworów.

Wiersze sygnowane inicjałami Sama należą do cyklu zabawnych opowiastek opisujących bestiarium Śródziemia („Troll", „Perry Winkle", „Olifant"). Natomiast w lirykach przypisywanych Bagginsom można zauważyć spore wpływy poezji elfów. Przeważają tu motywy nostalgiczno-refleksyjne odwołujące się w znacznej mierze do odejścia za Morze. Przedostatni utwór w zbiorku, zatytułowany „Morski dzwon" (z podtytułem „Sen Froda"), jest na tyle dziwny i niepokojący, że zachodzi podejrzenie, iż jego „autorem" jest jakiś anonimowy elf.

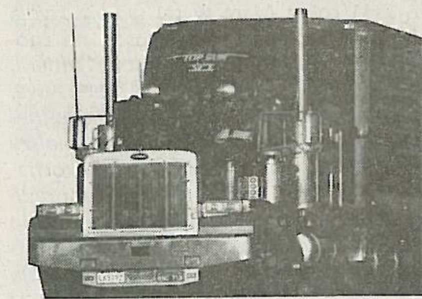
Kilka wierszy z „Przygód Toma Bombadila" znalazło się wcześniej we „Władcy Pierścieni" (m,in. „Olifant", „Człowiek z Księżyca I"), dzięki czemu czytelnicy mają teraz okazję porównać znakomity przekład Marii Skibniewskiej z mniej znakomitym tłumaczeniem Agnieszki Kreczmar. Jest ono przede wszystkim bardzo nierówne. Pani Kreczmar wspina się na wyżyny talentu np. w wierszu „Kot" (swoją drogą zupełnie niefantastycznym), po czym fatalnie kiksuje (zakłócenia rytmiczne prawie w każdym utworze!).

Irytację budzi też fakt, że tłumaczka nie zadała sobie trudu, aby zajrzeć do „Przewodnika..." Tylera, gdzie zostały omówione wszystkie liryki ze zbiorku Tolkiena. Każdy tytuł został tam spolszczony, i to w większości przypadków inaczej niż w wykonaniu pani Kreczmar. Powoduje to nielichy zamęt informacyjny, bo np. „Perry Winkle" w „Przewodniku..." opisany jest jako „Perry Zmruż-Oko", a „Żujpaszcze" (tytuł wiersza i nazwa bestii) u Tylera występują jako „Płakuny". Pomijam milczeniem pozostałe nie mniej rażące rozbieżności. Agnieszka Kreczmar w prywatnej dedykacji dziękuje swoim bratankom, *przewodnikom po świecie Tolkiena*. Wygląda na to, że w roli przewodników bratankowie nie spisali się najlepiej.

Po lekturze „Przygód Toma Bombadila" przyszło mi na myśl pytanie: któż to w wydawnictwie Iskry wykoncypował, aby kapitalny zbiór dojrzałych liryków opatrzyć hasłem „Tolkien dzieciom"?! Co sprawiło, że „Przygody..." sprofanowano wydawniczo prawie pod każdym względem (koszmarna plastycznie okładka)? Odpowiedź brzmi: czysty pragmatyzm. Wiadomo, że na Tolkiena popyt będzie zawsze, choćby drukowano go na powielaczu.

Krzysztof Lipka

Tolkien dzieciom: *Rudy Dżil i jego pies. Kowal z Podlesia Większego.* Tłum. Maria Skibniewska. *Przygody Toma Bombadila.* Tłum. Agnieszka Kreczmar. Iskry 1994.



Wir pamięci

Wiem, pamiętam – nie wolno streszczać, a zwłaszcza zdradzać puenty. Powiem tyle: to bardzo dobra powieść Dicka, racjonalna i nad podziw konsekwentnie, jak na niego, zamknięta. Żadnego rzucania końców w wodę. Jednocześnie prawie do końca lektury wygląda na historię o paranoiku, o obłędzie, o cudowności graniczącej z wyrafinowaną metafizyką. Tymczasem jesteśmy koło Zajdla, który boksował przede wszystkim z kłamstwami polityków, a nie z cudownością świata. Jesteśmy bardzo blisko linii fabularnej „Wiru pamięci" Wnuk-Lipińskiego.

Ragle Gumm, nawiedzony rozwiązywacz codziennych prasowych łamigłówek, weteran wojny na Pacyfiku, prowadzi szare życie w prowincjonalnej mieścinie na południu Stanów u schyłku lat pięćdziesiątych. To ktoś taki jak Ender (i jak Kafkowski Józef K. zarazem) – gigant, którego zmuszono do pracy, pozbawiając wiedzy o własnym znaczeniu i wielkości. Zaczyna się od drobiazgów, ale przeczucia i usterki iluzorycznego uniwersum, które go otacza, każą Gummowi przystąpić do akcji demaskacyjnej. Do ryzykownej, niepewnej, trochę histerycznej i szalonej gry o prawdę. Gumm wraz z przyjacielem ukradnie ciężarówkę, przekroczy granice tego świata, zobaczy nową rzeczywistość, dokona nowej identyfikacji i... straci przyjaciela. W zamian odkryje znów swoje prawdziwe powołanie, rozszyfruje swój los.

I tu, jak w swoich najlepszych kawałkach („Ubik", „Człowiek z Wysokiego Zamku", „Czy androidy..."), pozostaje Dick pisarzem charyzmatycznym o rozpoznawalnej metodzie. Jak zwykle bardzo ogranicza pole, u niego to zawsze jest gra na parę osób, nie na tłumy statystów. Ulica, parę domów, sąsiad, piękna żona sąsiada, siostra, szwagier, ich syn, baza ciężarówek, bar, szosa... Wystarczy, by wysnuć mistrzowską opowieść o pozornym obłędzie i wielkim kłamstwie, o świecie sfałszowanej przeszłości i ponurej przyszłości, o manipulacji polityków i nieefektownym, ale gdzieś tam skutecznym oporze szaraków. Wiele u Dicka bezradnych gestów nasyconych emocjami, uczuciami i parę chwil olśnienia, w których absurd daje się zdefiniować, a obraz prawdy wyłania się spod atrapy.

Zrazu poruszamy się w tej powieści w trochę podobnie sennym pejzażu jak ten z głośnej „Inwazji porywaczy ciał" Finneya i ten z przedmieść Los Angeles, które nawiedzał Chandlerowski Marlowe. Lata pięćdziesiąte, nostalgia za tamtym czasem. Paroma pociągnięciami pióra rysuje Dick obraz miasteczka jak z pierwszego „Powrotu do przyszłości". W 1959 roku (właśnie umarł Chandler), oddając „Czas poza czasem" do druku, 31-letni wówczas Dick przewidział, że taka nostalgia nastąpi, wymyślił już wówczas przyszłe strajki, kryzysy gospodarcze, wielkie niepokoje i młodzieżowe subkultury, z których perspektywy jego epoka wyda się złotym wiekiem. I rozegrał, zmitologizował narodziny ery kosmicznej, która na dobre zacznie się (a może skończy?) dziesięć lat później zdobyciem Księżyca. Bo podstawowa intryga powieści, ciążąca ku rasowej SF, wiąże się ze zdobyciem Księżyca, z konfliktem Ziemia – Luna w latach dziewięćdziesiątych. Ale w książce na pierwszym planie mamy senne Południe AD 1959, straszenie się atomówką Sowietów i oszołomionego, zagubionego Gumma, który, popijając ciepłe piwo, z narastającą determinacją wstaje od swych superkrzyżówek, by roztrącić woale iluzji, by ponownie dokonać wyboru i... stać się obywatelem Kosmosu.

Dziwne. Sądziłem, że w dziewiętnaście lat po pierwszym polskim wydaniu „Ubika" najlepsze „dicki" mamy dawno za sobą.

Maciej Parowski

Philip K. Dick: *Czas poza czasem.* Tłum. Robert Reszke. Amber 1994. Cena 45.000 zł. Mistrzowie SF.

Latające miasta

Wygląda na to, że po okresie chaosu na rynku księgarskim fantastyki nadszedł etap porządkowania. Wydawcy chyba zaprzestali wyciągania pojedynczych powieści z całościowych cykli i zaczęli publikować właśnie owe cykle (np. Iskry, Prima, Phantom Press). Amber jako pierwszy utworzył z tego serię pod nazwą „Wielkie serie SF" (wolałbym „Wielkie cykle SF", seria to jednak coś innego); na pierwszy ogień poszły tam cykle o latających miastach Blisha oraz o Stalowym Szczurze Harrisona.

„Będą im świecić gwiazdy", pierwszy tom tetralogii Jamesa Blisha, pochodzi z 1956 roku, a więc z ery zdecydowanie prekosmicznej – jest więc tu ów charakterystyczny dla tego czasu niezdrowy entuzjazm fantastów, którzy przyszłość ludzkiego rodzaju widzieli w kosmosie. (W podobnie bezkrytycznym duchu pisali o tym np. Clarke i Asimov). U Blisha na razie chodzi o przygrywkę do całej sagi, pierwszy tom poświęcono opanowaniu grawitacji oraz wydłużeniu ludzkiego życia – wszak odległości międzygwiezdne są spore, trzeba więc trochę pożyć chcąc je pokonać. Do tego dochodzą intrygi politycznego typu, gdyż nie wszyscy podzielają wizjonerski optymizm senatora Wagonera i usiłują torpedować jego zabiegi o środki na badania.

Przełom następuje skokowo, po dłuższej stagnacji w nauce, ale otwiera na tyle nowe i szerokie perspektywy, że szczupła garstka zapaleńców nie waha się ni chwili: Ziemię trzeba zostawić Rosjanom, prawdziwe szczęście jest wśród gwiazd. Z racji czasu, który upłynął, jest to w zasadzie fantastyka archiwalna, niezbędna jednak do śledzenia dziejów i rozwoju gatunku. Wydawnictwo postarało się o okazałą szatę graficzną i twarde okładki, co świadczy o prestiżowym charakterze tego zamierzenia edytorskiego, ale w równej mierze o znudzeniu czytelników, których już nie porwie klasyka wydana byle jak.

Kunktator

James Blish: *Będą im świecić gwiazdy*. Tłum. Witold Nowakowski. Amber 1994, cena 58 tys. zł. Wielkie serie SF.

Kłopoty z Julią

Książki Petera Strauba, niewątpliwego mistrza horroru, mają jeden feler – naprawdę ciekawe i intrygujące stają się gdzieś od połowy. Straub ostentacyjnie lekceważy zalecenia geniusza suspensu, Alfreda Hitchcocka, nakazującego zaczynać od trzęsienia ziemi i potem stopniowo podnosić napięcie. I tak w „Julii" przez blisko sto stron relacjonuje dzieje tytułowej młodej Amerykanki, która wyszła za angielskiego prawnika i po tragicznej śmierci ich córki pragnie się z nim rozwieść. Te utrzymane w konwencji psychologiczno-obyczajowej perypetie rozczarowanej mężatki są rozwlekłe i raczej nudne; jej wewnętrzne rozterki wydają się zbyt wydumane. Nie bardzo chce się wierzyć, iż Julia znienawidziła swego męża, ponieważ, gdy ich córka zadławiła się kawałkiem szynki, próbował wykonać tracheotomię i poszło mu źle.

Znacznie ciekawiej zaczyna się dziać, gdy Straub rozwija swój ulubiony wątek – ingerencji tajemniczych, krwiożerczych istot z innego świata. Julia zamieszkuje w domu. w którym straszy Olivia, dziewczynka zabita niegdyś przez własną matkę. Teraz, pobudzona obecnością Julii, domaga się krwi – podobny wątek żądnej mordu niewiasty znajdujemy w innej książce Strauba, „Upiornej opowieści".

To są najlepsze partie powieści – owo pogrążanie się Julii w misternej sieci, jaką rozsnuwa wokół niej Olivia. Młoda kobieta podąża ku zagładzie bezwolnie, odczuwa nawet pewną fascynację tym, co ma nastąpić – to też stały motyw Strauba, utajony pociąg do zła.

Peter Straub na tandetnym rynku horroru jest twórcą nietypowym, bo przykłada wielką wagę do strony literackiej swoich utworów. „Julii" można sporo zarzucić, ale jest to powieść napisana z wręcz ostentacyjną starannością, świadczącą o tym, że mamy do czynienia z rzetelnym pisarzem, a nie producentem pornohorroru jednorazowego użytku.

Karburator

Peter Straub: *Julia*. Tłum. Aleksander Gomola. Rebis 1994. Horror.

Czterysta łbów

Obserwujemy odchodzenie od twardej, czystej SF – ale zdarzają się wyjątki. Powieść Beara „Głowy", tłumaczona przez znanego z własnej twórczości Marka Pąkcińskiego, relacjonuje pewien eksperyment naukowy, a z drugiej strony konflikt polityczny, wynikły ze sprowadzenia na Księżyc 410 zamrożonych głów. Ich właściciele przed śmiercią życzyli sobie przyszłej reanimacji – pomysły takie SF obśmiewa regularnie. Brak dotąd tylko opowiadania, jak to nasi dalecy potomkowie z zamrożonych łbów sporządzają cieszący się wielkim wzięciem salceson.

U Beara jednak to makabryczne pogłowie narusza międzyplanetarny *status quo*, gdyż w transporcie znajduje się czerep twórcy znaczącej w XXII wieku religii zwanej logologią. Z mózgów tych można uzyskać myślowe przecieki, co zagraża sekcie opartej na fałszywych dogmatach, wymyślonych przez jedną z głów, gdy jeszcze była na szyi właściciela.

Co do eksperymentu, polega on na schłodzeniu próbek poniżej zera absolutnego, gdzie rzekomo istnieje nowy stan materii. Jest to sprzeczne z prawami termodynamiki; Bear do przeprowadzenia tego daremnego z punktu widzenia fizyki zadania zaprzęga nieokreślone zjawiska kwantowe, Pompy Chaosu, Kwantowego Logika itp. Dowiadujemy się tyle, że pod zerem absolutnym coś jednak buzuje, działając pod prąd czasu i wpływając na rzeczywistość eksperymentatorów. Podzerowa przestrzeń wdziera się do laboratorium pochłaniając naukowców wraz z głowami, które trzyma się w tym samym lodowym magazynie.

Bear nie jest fizykiem, więc wyraża się mętnie, już lepiej idzie mu knucie intryg. Cynizm samozwańczego proroka obraca się przeciw niemu oraz jego ideologii, choć trzeba na to czekać wiele lat po jego śmierci. W tekście powieści zamieszczono niezłe ilustracje.

Predator

Greg Bear: *Głowy*. Tłum. Marek Pąkciński. Amber 1994, cena 39 tys. zł. Mistrzowie SF.

Etatowy zbawca Wszechświata

Jak przez mgłę przypominam sobie filmy (kilka odcinków z gigantycznego serialu wyświetlano u nas w latach siedemdziesiątych) o ekscentrycznym doktorze Who, którego jedynym zajęciem było ratowanie Wszechświata z przeróżnych opresji. Teraz, po dwudziestu kilku latach, pojawiły się na naszym rynku książeczki o fabule opartej na scenariuszach popularnego serialu brytyjskiej BBC.

Doktor Who nie jest człowiekiem, należy do rasy Władców Czasu. Na Ziemi przebywa za karę, bowiem podchodził do swych obowiązków bez należytej powagi. Bywa w swoich działaniach skuteczny, acz niekonwencjonalny, bardziej skomplikowane problemy naukowe zwykł rozwiązywać metodami cokolwiek chałupniczymi. W pierwszej książeczce cyklu („Władcy Czasu") Who likwiduje Omegę, wszechpotężną niemal istotę, która bezlitośnie dąży do eksterminacji Wszechświata. W części drugiej („Dzień Daleków") doktor przeciwstawia się okrutnym Dalekom, w trzeciej zasię („Zemsta Cyborgów") tytułowym Cyborgom, które uczulone są na – bagatela – złoto (za pomocą tej niekonwencjonalnej, acz kosztownej broni ludzkość zostaje uratowana). Istotną rolę w pracy doktora Who odgrywa *tardis*, urządzenie do złudzenia przypominające policyjną budkę, służące bohaterom do czasoprzestrzennych wojaży

W fabułach książeczek roi się od uroczych głupstw i rozwiązań na zasadzie *deus ex machina*, lecz – paradoksalnie – w tej słabości ich siła. Przy lekturze przypominają się bowiem czytelnikowi czasy radosnej twórczości autorów SF, kiedy to nauka nie stanowiła żadnego ograniczenia dla ich równie infantylnych, co bujnych wyobraźni. Książeczki czyta się szybko i nie bez przyjemności. Zresztą podobnego zdania musi być Steven Spielberg – chodzą słuchy, że zamierza on wskrzesić postać doktora Who w telewizyjnym remake'u.

Reanimator

Terrance Dicks: *Władcy Czasu*. Tłum. Juliusz Garztecki. *Dzień Daleków*. Tłum. Andrzej Solny. *Zemsta Cyborgów*. Tłum. Grzegorz Woźniak. Empire 1994.

Anglia po staropolsku

Powieść Johna Dicksona Carra „Diabeł w aksamitach" jest jak schabowy z bitą śmietaną. Autor znany w Polsce m.in. z niezłego kryminału „Trucizna?" (w pamiętnej serii „z kluczykiem") z nieznanych powodów opublikował książkę, od której włos się jeży na głowie. Fabuła polega na połączeniu motywów, które same w sobie są dosyć atrakcyjne, natomiast „w gromadzie" dają efekt przyprawiający o ból głowy.

Oto profesor Fenton z uniwersytetu w Cambridge wskutek umowy z szatanem (oj!) odbywa podróż w czasie do XVII wieku (ojoj!) i wciela się w postać swojego przodka, sir Mikołaja Fentona (ojojoj!), aby zapobiec zbrodni, jaka ma się wydarzyć i odnaleźć mordercę (ojojojoj!). Nie mogło oczywiście zabraknąć wątku romansowego i uwikłania profesora w wydarzenia historyczne. Wątek kryminalny – organizujący całą powieść – jest poprowadzony nieporadnie; dziw bierze, że „Diabeł w aksamitach" został wydany w nowo powstałej serii: Czarny pająk. Biblioteka sensacyjno-kryminalna. Przecież „Diabeł..." jest raczej utworem fantastycznym.

Oddzielną kwestię stanowi język powieści. W oryginale dialogi prowadzone są w siedemnastowiecznej angielszczyźnie, co tłumacze zastąpili stylizowaną staropolszczyzną. Powiedzmy sobie szczerze: przestylizowaną. Zdania typu *Dufam jeno, żem właściwie ogolon* dają głównie efekt komiczny. Imię głównego bohatera (Nicholas) po zdrobnieniu (Miki – w oryginale Nick) kojarzy się głównie z Myszką.

Tłumacze zajęci „staropolszczeniem" tekstu zapomnieli zupełnie o przełożeniu na polski dodatku do książki, mówiącego o realiach i niektórych obyczajach w siedemnastowiecznej Anglii, a znacznie ułatwiającego zrozumienie książki.

Krzysztof Lipka

John Dickson Carr: *Diabeł w aksamitach*. Tłum. Jan Zakrzewski, Ewa Krasnodębska. Alfa 1994. Czarny pająk. Biblioteka sensacyjno-kryminalna.

Osławiony „Park Jurajski” sprawił, że rozumienie terminu „technothriller” zawęziło się do podobnych naukowo-przygodowych śledztw. Samo określenie wprowadził pod koniec lat sześćdziesiątych właśnie Crichton i mniej więcej takie posiadało ono wówczas znaczenie. Kilka lat później pojawił się specyficzny odłam technothrillera, jego odmiana militarno-polityczna, i do dziś jest ona co najmniej tak samo popularna (jeśli nie bardziej) jak Crichtonowe scjentystyczne spekulacje. Choć są one bliższe sercu każdego naukowego fantasty, przestrzegałbym przed zignorowaniem tego nowego podgatunku.

Jacek Dukaj

Nie tylko Crichton

Technothriller wojenny to w istocie fantastyka bliskiego zasięgu – polityczna, socjologiczna, także naukowa. Jest to mniej lub bardziej literacka prognoza rozwoju sytuacji światowej; w efekcie zazwyczaj dochodzi do zbrojnego konfliktu. Zwykle gdzieś tak do trzechsetnej strony rzecz rozgrywa się w gabinetach polityków, generałów i dyrektorów wywiadów, a potem na polu bitwy: na lądzie, w powietrzu, na i pod powierzchnią morza, na orbicie i w centrach komputerowych. Autorom z reguły sprawia kłopot pogodzenie planu strategicznego i taktycznego, co rozwiązują wybierając po obydwu stronach (no, czasem jest ich więcej niż dwie) po paru sztabowców oraz majorów, poruczników i sierżantów – zwłaszcza ci ostatni cieszą się ich sympatią.

De facto są to książki sensacyjne. Bywa to wadą. Często. Taki ma wszak rodowód ów podgatunek i zresztą nie odcina się odeń. Obce mu są frustrujące ambicje wyzwolenia się od komercjalizmu, które pisarzy wyższych lotów doprowadziły już do schizofrenii. (Crichton również nie jest źródlanie naukowy, nie sprzedałby się).

Zaczęło się to wszystko od atomowego katastrofizmu: autorzy popularnych sensacyjek jęli podbudowywać swe fabuły twardą polityką i uatrakcyjniać wizją nuklearnych zagrożeń. Pamiętajmy, że był to okres zimnej wojny – Reagan, *star wars*. Od kiedy poczęto mierzyć moc bomb w megatonach, nie było już odwrotu; system chwycił. Szybko odpadli ignoranci i grafomani; gdy za scenę dramatu służą gabinety władców tego świata, perorujących o globalnych strategiach, potencjalnym overkillu i wpływie rakiet powietrze-powietrze na równowagę sił w Europie – nie trzeba wybitnego krytyka, by się poznać na dyletanctwie. Właściwie jednak nie nastąpił żaden skok jakościowy, narodziny przeszły spokojnie i długo nie orientowano się w niezwykłości noworodka.

Druga fala technothrillerów militarnych uderzyła w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych. Za pióra chwycili wówczas fachowcy, specjaliści, byli wojskowi, stratedzy, pracownicy Departamentu Stanu i Pentagonu oraz nie mniej utalentowani maniacy-amatorzy. Dla nich technothriller nie był odmianą powieści sensacyjnej, ale zupełnie nowym gatunkiem. Najwybitniejszy przedstawiciel tej fali to bez wątpienia Tom Clancy, szary urzędnik ubezpieczeniowy, który w ciągu dziesięciu lat został multimilionerem i mieści się co roku w pierwszych dwudziestkach najlepiej zarabiających gwiazd show businessu; jego debiutanckie „Polowanie na Czerwony Październik” to pozycja już klasyczna.

To właśnie wtedy ukształtował się literacki kanon militarnego technothrillera, ze wszystkimi jego wadami i zaletami, wtedy zarysowały się dwie odmiany: szpiegowska i czysto wojenna. Celowo pomijam tu pierwszą, cokolwiek kameralną i mniej fantastyczną, bliższą klasycznej sensacji; zresztą owa dychotomia nie jest specjalnie jaskrawa, ci sami autorzy piszą powieści i takie, i takie, i to w ramach jednego cyklu (*exemplum* „Kardynał z Kremla” Clancy'ego).

Jak właściwie wygląda ten kanon technothrillera militarnego? Zwykle taki utwór to cegła wielusetstronicowa, wielowątkowa, o dziesiątkach postaci pierwszoplanowych, których spis dla ratunku czytelnika umieszcza się na początku; a pozbawiona prawdziwego głównego bohatera. Jest to prostą pochodną przyjętej konwencji: jeśli opisujemy konflikt globalny, takowym bohaterem mógłby być jedynie Duch Święty dzięki swej wszędobylskości. Niektórzy autorzy (m.in. Clancy, Coonts) wzięli się na sposób, tworząc cykle, w ramach których operują wciąż mniej więcej tym samym zestawem postaci (i tak idących w tuziny). Czytający może śledzić ich kariery, życie codzienne, wzloty i upadki – bez szkody dla poszczególnych powieści (stanowiących dzieła całkowicie autonomiczne). Wówczas autor może sobie pozwolić na „głównego” bohatera (Jack Ryan, intelektualista, doktor historii, szary analityk CIA; admirał Jake Grafton, wojskowy z ludzką twarzą). Jest to posunięcie tym sprytniejsze, że technothrillery czyta zamknięta (lecz pokaźna!) grupa odbiorców.

Z drugiej strony rozwiązanie to ma wielką wadę. Otóż im dalej pisarz idzie w politycznej ekstrapolacji, tym ciekawsze się to staje dla czytającego – lecz zbytnie odejście od historii „oficjalnej” (czyli – od rzeczywistości) prowadzi do samobójstwa cyklu, który po czymś takim bardzo trudno logicznie kontynuować (*vide* „Suma wszystkich strachów” Clancy'ego, w której zrównuje on z ziemią Denver za pomocą wodorówki i w tytule następnym cofa się dwadzieścia lat wstecz, bo po prostu się pogubił).

Technothrillery militarne na dobrą sprawę nie rozwinęły się nigdzie poza USA. Można by je nawet uznać za literaturę narodową Amerykanów, z tą ich niemal mistyczną fascynacją nowoczesną techniką, poczuciem potęgi, przedziwnym, ambiwalentnym stosunkiem do wojska oraz lekkim zimnowojennym skrzywieniem osobowości. Są tego i inne przyczyny. Jakże, na ten przykład, opisać z naszego punktu widzenia jakąś napaść na Polskę, skoro nawet aktualnie rządzący nie znają schematu przepływu rozkazów w takich wypadkach? (Bond zrobił tu unik.) W USA każde dziecko wie o takich rzeczach jak nazwy kodowe stopni pogotowia wojny czy też noszona za prezydentem teczka (tak zwana „piłka”), za pomocą której jest on w stanie odpalić rakiety z dowolnego miejsca na Ziemi.

Wspomniałem już, że technothrillery nie stanowią ideału pod względem literackim (byli sztabowcy nie grzeszą lotnością pióra), lecz nasi wydawcy na dodatek je dorzynają, przydzielając im fatalnych tłumaczy („Czas patriotów”, dajmy na to, koszmar na papierze). Jeśli taki tłumacz nie zna się również na technice wojskowej i chociażby podstawach informatyki i fizyki (te osławione „megabity”!), dorzyna taką książkę. W „Sumie strachów”, którą uważam za najlepszy z wydanych dotąd w Polsce technothrillerów, cały rozdział poświęcony jest kilku pierwszym nanosekundom wybuchu bomby wodorowej, który to wybuch opisano dosłownie neutron po neutronie. Proszę spojrzeć jeszcze przed wykaz *dramatis personae*, na te strony podziękowań dla przeróżnych profesorów MIT-u i admirałów/generałów, niekoniecznie w stanie spoczynku. Zaprzysięgłych humanistów odrzuca od Clancy'ego i spółki jak diabła od wody święconej. Podobnie amatorów czytadeł spływających krwią i spermą – wbrew pozorom w tej komercyjnej skądinąd literaturze podobnych scen ze świecą by szukać. Nikt, kto nie wytrzyma dwudziestu stron rozważań nad sytuacją geopolityczną na Bliskim Wschodzie czy wyjaśnień funkcjonowania układu napędowego łodzi podwodnej włącznie z chłodzonym wodą reaktorem – nie powinien się na Bonda, Coontsa i innego Paytona porywać. Za to każdy miłośnik Nivena, Hogana i im podobnych poczuje się tu jak u siebie.



Jakub Szczęsny

Francuzi umierają za Gdańsk

Larry Bond swego czasu pracował jako analityk w Pentagonie – to znaczy pisał na zamówienie grubych ryb absolutnie tajne opracowania typu „co by było gdyby”. Znudziło mu się, rzucił robotę i napisał grę „Harpoon”, dziś już klasykę komputerowych gier strategicznych, wciąż jednak popularną i szpikowaną coraz to nowszymi scenariuszami. W oparciu o „Harpoona” niejaki Tom Clancy napisał z kolei „Polowanie na Czerwony Październik” – musieli się spotkać, nie było wyjścia. Razem napisali „Czerwony sztorm”, kanon technothrillera wojennego. (Scenariusz „Konwój-84”). Bond – najwyraźniej niezdolny do samodzielnej pracy nad książką – najnowszą, „Kocioł”, stworzył wspólnie z Patrickiem Larkinem, który jest również współautorem jego paru wcześniejszych tytułów.

„Kocioł” należy do najbardziej rozbudowanych, fantastycznych technothrillerów wojennych. Dla polskiego czytelnika może być interesujący podwójnie, jako że pokaźna część akcji rozgrywa się właśnie w Polsce. Cała wojna jest o Polskę. O Gdańsk, który najechali Niemcy. Czas akcji: lato 1998.

Jak się przedstawia wizja przyszłości według Bonda i Larkina? Ponuro. Rozpada się NATO i Unia Europejska. Chwilowe zacietrzewienie populistycznych polityków i wzrost nastrojów nacjonalistycznych prowadzą do wojny celnej; zamiera handel i przemysł, miliardy ładuje się w dotacje. Co prowadzi do recesji i kryzysu, również w USA. Na tym europejskim gospodarczym pobojowisku dominującą rolę odgrywają Francja i Niemcy, powstaje pod ich przywództwem Konfederacja Europejska (EuroCon) o cokolwiek totalitarnych konotacjach, i stara się wchłonąć jak najwięcej krajów, coraz kontrowersyjniejszymi metodami. Opierają się im: Polska, Czechy i Słowacja – popierane przez USA. Narasta konflikt. Iskrą jest w nim powstanie na Węgrzech, w które się włączamy wspomagając powstańców (F-15 z biało-czerwoną szachownicą na skrzydłach nad Budapesztem), mimo blokady ekonomicznej i zatrzymania przez Rosję dostaw gazu i ropy (w Rosji odsunięto Jelcyna od władzy, doszło do tajnych porozumień rosyjsko-francuskich). Cała pomoc USA dla nas (później – także wojskowa) idzie przez Gdańsk. Cel strategiczny EuroConu: przejąć port. Trzy korpusy niemiecko-francuskie przekraczają granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej o czwartej nad ranem 5 czerwca 1998 roku; plan nosi kryptonim „Letnia Błyskawica”.

Teraz następuje 350 stron huku dział, grzmotu bombardowań, swądu spalenizny, pancernych rajdów, powietrznych pojedynków i wielkich bitew morskich z użyciem taktycznej broni jądrowej.

Poziom literacki pomija się przy omawianiu tego typu książek milczeniem, lecz tu nie byłby on nawet taki najgorszy, gdyby nie wpadki tłumacza (żenujące zdrobnienia polskich imion) i praktycznie brak redakcji. Wydawnictwo AiB przyzwyczaiło czytelników do luksusu edycji; tu podtrzymuje tradycję, „Kocioł” nie rozpada się w rękach i ładnie wygląda na półce.

Osobną sprawą jest merytoryczna ocena przedstawionej prognozy rozwoju wypadków, stworzonej w 1992 roku. Bez wątpienia autorzy przedłożyli efektowność wizji nad jej prawdopodobieństwo, co normalnie nie byłoby tak wielką wadą, lecz przy specyfice tego gatunku stanowi poważny zarzut. Co prawda, faktycznie już ładnych parę lat istnieje eksperymentalny francusko-niemiecki korpus, jednakże pełny sojusz militarny tych państw zdaje mi się odrobinę egzotyczny. Podobnie niezbyt chce mi się wierzyć, że tak łatwo rozpętać wojnę, a 90 proc. polityków to krótkowzroczni, egoistyczni cynicy.

Z kolei nadmiernym optymizmem Bond i Larkin zgrzeszyli w kwestii siły polskiej armii i jej zdolności do tak długiego stawiania oporu przeciwnikowi o opisanej przewadze liczebnej i technicznej; co prawda, usprawiedliwiają to monstrualną wręcz głupotą francuskich dowódców. Jest tu więcej drażniących moje oko rozwiązań fabularnych, wynikających z apriorycznych założeń, niezbędnych dla gładkiego opisu toku wojny – zgodnych z planem pisarskim, a kłócących się, jeśli nie z prawami probabilistyki, to z połową praw Murphy'ego; wychodzi na wierzch owa prawie religijna wiara Amerykanów w niezawodność nowoczesnej techniki.

Jeśli natomiast mowa o szczegółach i znajomości wojskowych realiów, to nic autorom nie można zarzucić. Zamieszczony na końcu słowniczek terminów i rodzajów broni dla osoby, która technothriller wojenny ma w ręce po raz pierwszy, stanowi pomoc konieczną. Prawdę rzekłszy, przydałoby się również parę map z naniesionymi planami bitew.

Jacek Dukaj

Larry Bond, Patrick Larkin: *Kocioł*. Tłum. P. Siemion. Adamski i Bieliński 1993.

GALAKTIKA

Możliwości definiowania naszego ukochanego gatunku są niewyczerpane. W kwietniowym numerze współpracownicy Instytutu Historii Literatury Węgierskiej podzielili science fiction na sześć wielkich tematyk: 1. Gra z przestrzenią; 2. Gra z czasem; 3. Wizje przyszłości; 4. Gra ze świadomością; 5. Pozaziemskie cywilizacje; 6. Golemy i roboty. Całkowity podział zawiera 194 typy. Wśród sześciu wielkich tematyk najobszerniejsza jest pierwsza, w tym walka z obcymi, spotkania z obcym umysłem, paralelne rzeczywistości, niewykryte przestrzenie i zagrożenia teraźniejszości – jednym słowem elementy gatunkowe klasycznej SF.

Druga, godna polecenia lektura to opowiadanie Csaby A. Vargi „Dzień Armady”. Ostatnio pojawiają się opinie, że po wielkich zmianach politycznych Zachód nie udzielił postkomunistycznym krajom należytej pomocy. Budziło to dużo goryczy i rozczarowań w tych państwach. Owo rozczarowanie odzwierciedla w sposób pośredni ta właśnie historia – w Chinach upada komunizm, a dziesięć milionów Chińczyków wyrusza w drogę morską (na pokładach statków, dżonek, łodzi) w stronę Stanów Zjednoczonych. Amerykanie jednak nie przyjmują ich jak mile widzianych gości.

Na tylnej okładce ilustracja do powieści Wellsa „Niewidzialny człowiek”. Autorem jest Sandor Gugi, pionier węgierskiego komiksu.

Majowy numer ma charakter specjalny (tematyczny?) – publikuje wyłącznie opowiadania kobiet. Czasopismo po raz pierwszy w swej historii poświęca tyle miejsca przedstawicielkom białej płci, czyli – jak pisze Peter Kuczka we wstępniaku – przepięknym, uroczym (i tak dalej) czarownicom, które parają się pisaniem opowiadań, powieści, czasem wierszy.

Jak stwierdza Eva Balazs w artykule „Kobiety w science fiction”, i feminizm przyczynił się do tego, że w połowie lat sześćdziesiątych przed kobietami otworzyły się bramy SF. Autorki szybko dowiodły, że i w tej dziedzinie mogą się równać z mężczyznami. Harlan Ellison, który nie należy do zaślepionych zwolenników płci pięknej, stwierdził w latach siedemdziesiątych, że są one najświetniejszymi przedstawicielkami gatunku. Joanna Russ natomiast jest mniej zachwycona własną płcią: według niej wciąż jeszcze brak głębokiej, autentycznej charakterystyki kobiet.

Co do beletrystycznej części numeru, wraz z zagranicznymi gwiazdami (Ursula K. Le Guin, Joan Aiken, Lisa Tuttle, Joanna Russ, Josephine Saxton, i C. J. Cherryh) pojawiają się trzy pisarki: Julia Lovei, Viola Pap i Alice C. Varga, reprezentujące węgierską SF.

Julia Lovei wybrała na bohatera młodego studenta (opowiadanie „Egzamin”), który żyjąc w XXI wieku za pomocą przeprogramowania centrali komputerowej uniwersytetu zdaje pomyślnie egzamin. Viola Pap przedstawia dwa opowiadania. W pierwszym przeważają mistyczne, psychologiczne wątki; kobieta i mężczyzna jednocześnie przygotowują się do wieczornej randki. Nie wiadomo, gdzie i kiedy, ale to nieważne. Ważniejsze natomiast, że do spotkania nie dochodzi. A może dochodzi? Drugie opowiadanie – „Wielki proces” to klasyczny kryminał SF. Fabuła arcyciekawa: pozaziemskie istoty, manipulacje DNA, chirurgia genetyczna itd. Trzecia pisarka, Alice C. Varga, stawia pierwsze kroki w gatunku. Jej „Księżniczka-Smok” sprawnie balansuje na granicy gatunku i jego parodii.

Na tylnej okładce ilustracje Istvana Endrodiego, który narysował wiele komiksów w stylu realistycznym, ale był znany raczej jako karykaturzysta. Rysunek pochodzi z komiksu wg scenariusza Petera Kuczki „Drugi statek kosmiczny”.

László Ábrán

LOCUS

Czerwcowy numer „Locusa” przynosi wywiad z Danem Simmonsem, autorem nagrodzonego i wydanego już u nas „Hyperiona”. Pisarz poszedł w trylogię i po „Hyperion Rising” (Wschód Hyperiona) kończy część trzecią. Bohaterką jest kobieta-architekt, rzeźbiarka, która jest także mesjaszem. Simmons mówi: *Sądzę, że powodem, dla którego niektórzy moi znajomi porzucili science fiction dla horroru, była potrzeba odejścia od chłodnego konstruowania światów i przejścia do świata uczuć. Oto, co czuję. Oto, co czują inni. Tego się boję, a to mnie martwi... Dlatego nie potrafię żyć samą science fiction. Kiedy napiszę od deski do deski dwie powieści science fiction, potrzebuję wakacji. Muszę zacząć pisać coś innego.* Simmons skończył horror pt. „Pele's Fire”. Rzecz dzieje się na Hawajach (gdzie jest wulkan nazwany imieniem bogini Pele) w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, a jednym z bohaterów jest Mark Twain.

Czasem Simmons zamiast zmieniać gatunki woli je mieszać. Na przykład „The Hollow Man” (znów tytuł zapożyczony z poematu, tym razem Eliota) łączy elementy science fiction, horroru i powieści głównego nurtu.

Wojtek Siudmak otrzymał doroczną nagrodę czytelników miesięcznika „Asimov's Science Fiction” za najlepszą okładkę.

Kirył Bułyczow pisał niedawno w „Locusie” o bezprawiu i bandytyzmie w Rosji. Historia miała dalszy ciąg. Spalono mu daczę wraz z biblioteką i maszynopisami prac w toku. Celem ataku była staruszka mieszkająca w innej części domu.

David Hartwell i Kathryn Cramer wydali potężną antologię ilustrującą rozwój klasycznej science fiction – „The Ascent of Wonder: The Evolution of Hard Science Fiction”. 35 dolarów za 1004 strony. Będzie to zapewne jedna z podstawowych lektur dla badaczy fantastyki naukowej.

Lech Jęczmyk

Czy kaktusy mogą szczekać?

Maciej Oczkowski

W utworach science fiction pełno jest biologicznych dziwolągów. Przypomnijmy sobie choćby „Dzień tryfidów” Johna Wyndhama, gdzie krwiożercze rośliny polowały skutecznie na Bogu ducha winnych dwunogów. Jak się mają wizje fantastów do rzeczywistych możliwości wykształcenia rzadko spotykanych cech przez organizmy żywe? Czy zezwalają na to prawa biologii? Jest to mało prawdopodobne, ale jednak nie wykluczone. A skoro SF, jak stwierdził mistrz Zajdel, polega na *generowaniu światów* (i bytów, dodajmy) *o niezerowym prawdopodobieństwie*, przeto powoływanie do życia wszelkiej maści potworów w SF jest uprawnione – o ile nie przekracza granic rozsądku i dobrego smaku. (Red.)

Czy kaktusy mogą szczekać? Ależ tak! Z punktu widzenia biologa-ewolucjonisty nie istnieją żadne przeciwwskazania, aby ta umiejętność pojawiła się u tych sympatycznych roślin.

Wyobraźmy sobie dowolny żywy organizm. Może to być kaktus, ale poniższy wywód odnieść można do każdego innego przykładu. Już pobieżna obserwacja pozwala określić niektóre właściwości okazu. W przypadku typowego kaktusa uwagę zwraca łodyga, najczęściej gruba, z charakterystycznym użebrowaniem, no i oczywiście ostre ciernie.

Skąd biorą się takie a nie inne cechy? Co doprowadza do ich powstania? Dlaczego kaktusy są takie, jakie są? Spróbujmy odpowiedzieć na te pytania.

Narodziny

Historia kaktusów rozpoczęła się ok. 60 mln lat temu. W owym czasie zupełnie nie przypominały przyszłych władców stepów i pustyń. Prawdę powiedziawszy, nawet najwybitniejsi specjaliści nie są w stanie określić, jak wyglądały te zagadkowe rośliny. Jedno jest tylko pewne – należały do roślin okrytonasiennych. Wyodrębnione ok. 200 mln lat temu, okrytonasienne odniosły największy sukces ewolucyjny spośród wszystkich grup świata roślinnego, opanowując nieomal każde środowisko życia. Kaktusy są tu doskonałym przykładem.

W jaki sposób dochodzi do powstawania nowych grup roślin? Mechanizmy takich kreacji są oczywiście za każdym razem odmienne, raz doprowadzają do powstania kaktusów, innym razem np. storczyków. Natomiast sygnał do ich r o z p o c z ę c i a pochodzi zawsze z jednego źródła: jest nim ostra walka o przetrwanie, tocząca się pomiędzy organizmami. Choć mniej widowiskowa niż w świecie zwierząt, wśród roślin jest tak samo bezlitosna.

O co mogą walczyć między sobą rośliny? Głównie o światło i wodę. W jaki sposób wygrać to współzawodnictwo i przechytrzyć sąsiada?

Generalnie istnieją dwie drogi postępowania. Pierwszą z nich moglibyśmy nazwać „zwyciężaniem poprzez doskonalenie”, drugą „szukaniem najlepszego miejsca dla siebie”. Pierwszy przypadek zachodzi dzięki dużej podatności DNA żywych organizmów na mutacje, czyli zmiany wymuszone czynnikami pochodzenia naturalnego. Konsekwencją mutacji są ciągle pojawiające się nowe warianty organizmów lepiej lub gorzej przystosowanych do środowiska. Najczęściej nowa odmiana mutacyjna jest gorzej funkcjonującym osobnikiem – co ostatecznie doprowadza go do śmierci. Wraz z pechowcem pogrzebana też zostanie trefna mutacja. Ponieważ mutacje są procesami przypadkowymi, można również oczekiwać pojawiania się korzystnych zmian materiału genowego. W takim wypadku obdarowany nimi osobnik podwyższy stopień swojej konkurencyjności w stosunku do otaczających go organizmów, zwiększając swe szanse na przetrwanie i wydanie potomstwa.

Wśród kaktusów zaskakuje wielka różnorodność kształtów i rozmiarów. Jest to właśnie owoc zachodzących w przyrodzie zmian mutacyjnych, które pomyślnie zdały egzamin w walce o byt. Zostały też dziedzicznie utrwalone i powielone w kolejnych pokoleniach roślin. Owo bogactwo form staje się przyczyną ostrej rywalizacji pomiędzy odmiennie zbudowanymi osobnikami.

Tak jak obecnie, zapewne 60 mln lat temu mutacje wymuszały na okrytonasiennych ciągłe starcia nowo pojawiających się żywych konstrukcji z warunkami środowiska. Z takiej próby pomyślnie wychodziły tylko najbardziej udane egzemplarze.

Presja selekcyjna bardzo rzadko doprowadza do wyodrębniania się nowych grup organizmów. Mało jest więc prawdopodobne, aby stała się ona przyczyną pojawienia się kaktusów. Selekcja – jak wcześniej wspomniałem – jest tylko sygnałem gotowości do kreacji. Ta zaś jest konsekwencją drugiej możliwości radzenia sobie z przeciwnościami losu, którymi są w i e l k i e w ę d r ó w k i, jakie żywe organizmy (rośliny też!) odbywają. Wybierają tym samym pewien kompromis w walce ze środowiskiem, po prostu zmieniając go.

Najprawdopodobniej to właśnie doprowadziło kilkadziesiąt milionów lat temu przodków dzisiejszych kaktusów na skraj pustyni. Teraz dopiero mogła rozpocząć się batalia o przetrwanie w zupełnie nowych warunkach klimatycznych. Jej efektem była kompletna przebudowa nie przystosowanej do braku wody konstrukcji ciała i nadanie jej cech typowych dla dzisiejszych kaktusów.

Żywe odbicie środowiska

Najbardziej efektowne i charakterystyczne dla kaktusów są ciernie. Są one niczym innym jak zmienionymi liśćmi posiadanymi przez kaktusowych przodków. Decydującą rolę odegrał tu klimat. Na obszarach, gdzie parowanie wody z tkanek przewyższa jej dostawy, trudno utrzymać przy życiu roślinę mającą normalnie wykształcone, płaskie liście. W takiej postaci mają one dużą powierzchnię parowania. Kilkumiesięczna susza może doprowadzić do odwodnienia i ostatecznie śmierci.

Dlatego właśnie ówczesna presja selekcyjna środowiska ukierunkowała procesy ewolucyjne tak, by ograniczyć szkodliwą w tych warunkach powierzchnię liścia poprzez przekształcenie go w wydłużony, ostry cierń. Tak dalece uprościło to jego budowę, że przestał pełnić podstawową funkcję (produkcja cukru), a wszystkie jego zadania musiała przejąć łodyga.

Procesy upraszczania budowy liści znane są też wśród roślin europejskich. Dotyczy to w szczególności roślin nagonasiennych, których gałęzie pokryte są gęstwiną zielonych igieł. Przyczyną tego jest, jak w przypadku kaktusów – susza. W klimacie umiarkowanym rośliny także musiały nauczyć się walczyć z niedoborem wody. Cała sprawa polega na tym, iż w miejscach naturalnego występowania kaktusów susza jest wywołana dużą ilością ciepła oraz skąpymi opadami deszczu, natomiast suszę europejską wywołuje... zima!

W miesiącach zimowych na skutek niskiej temperatury dochodzi do uwięzienia ogromnych ilości wody w postaci śniegu czy lodu. W takiej postaci jest ona kompletnie niedostępna dla rośliny. Dlatego większość roślin strefy umiarkowanej odrzuca liście w okresie zimy, by radykalnie zmniejszyć zapotrzebowanie organizmu na wodę. Nagonasienne wybrały inną drogę ograniczenia strat wywołanych parowaniem: zamieniły liście w igły. Procesy przekształcające nie posunęły się jednak tak daleko jak u kaktusów i dlatego igłowate liście pełnią dalej swe podstawowe funkcje.

Powróćmy jednak do kaktusów.

Skoro główny ciężar odpowiedzialności za życie rośliny spadł na łodygę, należało jak najdokładniej zadbać o jej bezpieczeństwo. Przekształcane w ciernie liście nieoczekiwanie stały się jednym z narzędzi tego przedsięwzięcia. Ich ostre końce skutecznie zaczęły ochraniać wypełnione wodą wnętrze przed zakusami spragnionych zwierząt.

Nie tylko liście musiały ulec zmianom wymuszonym przez środowisko. Otwarte przestrzenie i żar z góry mogą bez trudu doprowadzić do przegrzania łodygi, a także do zamknięcia tkwiących w niej aparatów szparkowych. Konsekwencją tego byłoby wstrzymanie wymiany gazowej i zaprzestanie produkcji pożywienia.



Robert Sobota

Do rozwiązania tego zadania znów przydatny okazał się proces zamiany liścia w cierń. Jak wiadomo, normalny liść przytwierdzony jest do łodygi za pomocą „ogonka”. To te właśnie ogonki w trakcie swojej przebudowy, biegnącej równolegle ze zmieniającą się blaszką liścia, utworzyły typowe dla kaktusów guzowate użebrowanie łodyg. Podczas wędrówki słońca po nieboskłonie dzięki takiej budowie tworzą się na powierzchni rośliny mikroobszary cieni niosące ulgę tkankom. Żeberkowy typ łodyg umożliwia ponadto kaktusom wchłonięcie w razie ulewy dużych ilości wody bez niebezpieczeństwa rozerwania. Odnosi się wówczas wrażenie, że roślina spuchła i lada moment może pęknąć.

Szczekające kaktusy – kwestia przypadku?

Warunkiem wystąpienia jakiejkolwiek cechy u dowolnego organizmu jest obecność w jego DNA odpowiednich genów. DNA stanowi kompletny zapis informacji o wszystkich właściwościach żywej istoty. Ogromna liczba zawartych w DNA instrukcji podzielona jest na mniejsze fragmenty – geny, które odpowiadają za wykształcenie jednej cechy, np. długości cierni. Rzeczywistość jest jednak trochę bardziej skomplikowana i za prawidłowe funkcjonowanie bardzo wielu cech odpowiada nie jeden, lecz wiele genów.

Aby mogła pojawić się nowa cecha, w DNA muszą zaistnieć nowe geny albo już istniejące geny należy zmodyfikować. Pierwszy przypadek zachodzi bardzo rzadko i w wyjątkowych warunkach. Dużo ważniejszy dla nas będzie przypadek drugi, bowiem zmieniając obecne w DNA geny można modyfikować cechy będące pod ich kontrolą. Natura już dawno wymyśliła na to sposób: mutację. Mutując (zmieniając) geny środowisko wywiera wpływ na właściwości organizmu. Nie jest to jednak wpływ kontrolowany. Mając do dyspozycji setki tysięcy genów środowisko nie jest w stanie pokierować „ostrzem” mutacji w ściśle określony rejon DNA. Oznacza to, że pojawienie się nowej cechy – lub modyfikacja cechy już istniejącej – jest kwestią absolutnie p r z y p a d k o w ą. Nie sposób przewidzieć, czego konkretnie dotyczyć będzie mutacja.

Opisany wcześniej proces przemiany płaskiego liścia w cierń był więc dziełem przypadku, który polegał na korzystnej mutacji wielu genów akurat odpowiedzialnych za jego morfologię. Jednorazowe mutacyjne naruszenie struktury wszystkich tych genów jest w zasadzie niemożliwe. Co innego przypadkowe „ustrzelenie” jednego z nich przy zachowaniu nienaruszonej struktury pozostałych. Wywołana tym zmiana będzie niewielka, ale to już nie będzie ten sam liść! Całkowita zamiana w cierń wymaga powtórzenia podobnych operacji wielokrotnie, przy czym początek każdej będzie kwestią zupełnego przypadku.

W tym całkowicie nieprzewidywalnym mechanizmie tkwi jednak zbawienna metoda, pozwalająca gromadzić z pokolenia na pokolenie korzystne mutacje w ściśle określonych miejscach DNA. Prawie niemożliwy, a przy tym wielce ryzykowny proces jednoczesnego zaatakowania wszystkich genów określających cechy liścia został zastąpiony bardziej prawdopodobnym i bezpieczniejszym.

Co to ma jednak wspólnego ze szczekającymi kaktusami?

Zdolność do generowania dźwięków jest jedną z tysięcy cech, jakie mogą wykazywać organizmy. Może się więc pojawić tylko w sposób przypadkowy, tj. na drodze mutacji. Niemniej sama możliwość takiej mutacji wcale nie oznacza, że dotknięty nią osobnik stanie się źródłem hałasu. Efekt taki mógłby nastąpić jedynie wtedy, gdyby wydawanie dźwięku przynosiło korzyść zwiększającą komfort życia. W przeciwnym razie cecha ta jako nieprzydatna rozmyłaby się w następnych pokoleniach.

Czy szczekający kaktus lepiej radziłby sobie w środowisku niż jego niemy sąsiad? Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy zastanowić się, do czego właściwie przydaje się wydawanie dźwięku przez organizmy władne to robić. Z obserwacji wynika, że dźwięk jest chętnie używany do odstraszania potencjalnych wrogów czy konkurentów. Znajduje również zastosowanie w komunikacji wewnątrzpopulacyjnej, służącej przywoływaniu się w celach rozrodczych, lub we wczesnym ostrzeganiu o zagrożeniach. W przypadku ostatniego zastosowania nie ma mowy o przeniesieniu go na grunt roślinny. W przeciwieństwie do zwierząt rośliny nie są zdolne do szybkiej ucieczki i wczesne ostrzeganie dźwiękiem nie miałoby sensu. Mało prawdopodobne wydaje się też wykorzystanie dźwięku w procesach związanych z rozrodem. Struktury już istniejące, np. okazałe kwiaty czy smaczne owoce tak znakomicie zdają egzamin, że trudno wyobrazić sobie, aby dźwięk mógł się na coś przydać. Bardziej realistyczne wydaje się używanie dźwięku jako czynnika o d s t r a s z a j ą c e g o.

Kaktusy gromadzące w swym organizmie duże ilości wody, w środowisku powszechnego jej niedostatku, stają się atrakcyjnym celem ataku ze strony pustynnych heterotrofów. Ciernie gęsto okrywające łodygę mogą skutecznie zmniejszyć ryzyko takiej przykrej niespodzianki, ale tylko wtedy, gdy są dostatecznie długie i ostre. Znane są przecież kaktusy, których ciernie są bardzo słabo wykształcone i umiejętność szczekania z pewnością podniosłaby ich bezpieczeństwo.

Potencjalni amatorzy hodowli hałaśliwych roślin powinni jednak uzbroić się w anielską cierpliwość. Z jednej strony z powodu długiego oczekiwania na mutację, która na tyle zmieni funkcjonowanie obecnej już struktury anatomicznej, aby ruch powietrza mógł ją wprowadzić w stan wibracji, czego skutkiem byłoby wyprodukowanie fali dźwiękowej. Z drugiej strony zmiany mutacyjne w żadnym wypadku nie mogą ograniczyć się jedynie do struktur bezpośrednio generujących dźwięk.

Odpowiednie nakierowanie powietrza na element wibrujący wymaga wyprodukowania specjalnego systemu przewodzenia, co znów wiązać się będzie z potrzebą zmutowania wielu innych genów. Na dodatek nowa cecha musiałaby zostać włączona w cały system cech wspomagających. Na cóż bowiem szczekanie, kiedy roślina nie umiałaby wykrywać momentu zbliżania się spragnionego zwierzęcia (czyżby konieczne stało się wytworzenie oczu!?).

W ciągu 60 mln lat istnienia kaktusów zdolność do posługiwania się dźwiękiem nie pojawiła się. Nie oznacza to, że właśnie w tej chwili, gdzieś na słonecznym amerykańskim stepie, nie zachodzi w materiale genetycznym niepozornego kaktusa mutacja uruchamiająca cały szereg zmian, prowadzących do stopniowego uformowania się zupełnie nowej zdolności, której konsekwencji nie sposób przewidzieć.

Polityka i science fiction

Peter Nicholls, współautor „Encyklopedii Science Fiction", powiedział kiedyś, że politycy powinni czytać mniej kryminałów, a więcej science fiction. Czy rzeczywiście polityk może się czegoś z fantastyki naukowej nauczyć, a skoro tak, to czego?

Po pierwsze, chyba sztuki konstruowania i przewidywania przyszłości. Mistrzami w tej dziedzinie byli starzy Chińczycy i nie jest ważne, czy ich „Księga Zmian" (I-Cing) pozwala uchylić zasłonę przyszłości, czy nie. Orzeczenia wyroczni są tak wieloznaczne, że stają się zrozumiałe dopiero po fakcie. A może tak je interpretujemy. Ważne, że „Księga Zmian" wprowadza pojęcie starego i młodego *in* i *jang*, uczy, że są zjawiska dziś małe, które będą rosły i zjawiska dziś potężne, które będą zanikać. Pięknie pokazała to Ursula Le Guin w „Lewej ręce ciemności": sojusz między dwiema cywilizacjami kosmicznymi zaczyna się od przełamania bariery obcości między dwiema osobami. Tak rodzi się początek nitki, która z czasem rozrośnie się w potężną linę. Nawiasem mówiąc, jedna z tych osób, premier Karhidu wypowiada niezwykłe i mądre zdanie: *Ostrożność wzięła we mnie górę nad instynktem samozachowawczym.* Nauka z tego taka, że polityk, chcąc być skutecznym, chcąc być mężem stanu, musi wyciągać prawidłowe wnioski z przyszłości. A gdzie się tego uczyć, jak nie w science fiction?

Prymitywną metodą przewidywania przyszłości jest ekstrapolacja, to jest kontynuacja w przyszłości zjawisk teraźniejszości. Czytelnicy science fiction wiedzą na pewno, że Jutro będzie inne niż Dzisiaj, i że pojawią się w nim czynniki nieprzewidywalne. Na przykład inwazja niewidocznego mordercy – wirusa HIV, który surowymi metodami przypomina o niewłaściwości rozpustnego trybu życia lub, wprost przeciwnie, nagły desant olbrzymiego, trującego czterometrowego zielska pod pożywną nazwą barszcz.

Oto przyroda, nad którą tak długo znęcaliśmy się bezkarnie, przygotowała w swoich laboratoriach nowe bronie, jakby rodem z „Planety śmierci" i „Dnia tryfidów". A to dopiero zwiastuny tego, co szykuje się w okolicach Czarnobyla i Semipałatyńska. Przyroda wchłonęła tam potężne dawki naszych promieni śmierci i natychmiast zaczęła je analizować, przerabiać, i kiedyś sypnie nam takimi mutantami, że się nie pozbieramy. Czy będą to kilkugłowe smoki, czy dęby strzelające żołędziami dum-dum – tego nie wiemy.

Do dzisiaj uważa się, że podstawową nauką dla kandydata na męża stanu jest historia. *Historia jest nauczycielką życia.* To prawda, jednak fantastyka naukowa wzbogaca nasze myślenie, wprowadzając pojęcie historii alternatywnej, czyli równoległej. Również w życiu pojedynczego człowieka każdy wybór jest przełożeniem zwrotnicy i określa dalszą drogę życia. Jeżeli decyzję podejmuje wystarczająco silna i zorganizowana grupa ludzi, następuje wybór jednej z możliwych ścieżek historii. Ilu jest polityków, którzy w ten sposób zastanawiają się nad swoimi decyzjami?

Pięknym przykładem myślenia wariantowego są zapiski generała Roweckiego-Grota z okresu po 1939 roku, a przed wojną niemiecko-sowiecką. Generał Rowecki przedstawił w nich dziesięć możliwych wariantów rozwoju sytuacji. Dziewięć z nich może posłużyć za konspekty powieści fantastycznonaukowych. Historia potoczyła się drogą ostatnią, dziesiątą, najwyraźniej uznaną przez generała za najmniej prawdopodobną. Rowecki był zapewne jedynym człowiekiem na świecie, który nosił w głowie zapis tego, co się miało wydarzyć: atak Niemiec na Rosję, ogromny początkowo sukces, zatrzymanie armii niemieckiej na Wołdze i wkroczenie Sowietów do Polski.

W fantastyce ostatnich lat przedstawianie alternatywnych historii jest coraz częstsze. To oczywiście coś znaczy, ale jak to zwykle z proroctwami, dowiemy się co to było, kiedy się spełni. Japoński pisarz Fukuyama stwierdził, że historia się skończyła. Bardziej prawdopodobny jest pogląd, że żyjemy między historiami. Autorzy science fiction i politycy znaleźli się przed jakąś kurtyną, za którą tory przyszłości rozgałęziają się na wiele możliwych dróg. Pewnie chodzi po świecie ktoś, kto jak Rowecki-Grot w 1940 roku przewidział to, co się zdarzy i może kiedyś dowiemy się, kto to był.

Lech Jęczmyk

Na przełęczach Bullshit Mountains (2)

Podczas naszej poprzedniej ekskursji w tytułowe góry podziwialiśmy polot, z jakim krytyk potrafi rozprawić się z autorem klasycznej SF. Zadanie takie było łatwe i wdzięczne – z autora hard SF relatywnie łatwo robi się balona. Wystarczy, gdy taki bałaknie o wyrabianych z morszczynu prądotwórczych generatorach względnie pomyli system BIOS ze strukturą plikową danych. Wytknie mu się to i facet jest załatwiony. Pisze *bullshity*, wykazuje niewiedzę, a to dyskwalifikuje go jako autora gatunku, który wszak ma w swej nazwie słowo *science*.

W odniesieniu do literatury fantasy zadanie krytyka-czepiaka wydaje się natomiast karkołomne. Krytyk ma oto do czynienia z utworem, na którego stronicach kłębi się od smoków, demonów, upiorów, elfów, kotołaków – ba, nawet pegazów, jak twierdzą niektórzy znawcy przedmiotu. Rycerze w lśniących zbrojach dokonują tam nieprawdopodobnych cudów waleczności. Czarodzieje wyprawiają za pomocą magii niebywałe cuda, a niesamowicie wręcz piękne księżniczki uwalniane są ze szponów straszliwych potworów za pomocą metod urągających regułom prawdopodobieństwa.

Cały świat, w którym to wszystko się dzieje jest nieprawdopodobny – wynika to z kanonu i założenia. A jeśli kanonu komuś za mało, to wynika to z opisu i załączonej mapy. Wszystkie znane naszemu światu prawa i reguły – wliczając probabilistykę – zostały w Never-Never Landzie zawieszone. Nie działają albo działają w sposób odmienny. I oto przychodzi krytyk, dręczony pragnieniem wykazania, że coś tu nie gra. Boki zrywać.

Jak łatwo się domyślić, krytyka byle smok nie nastraszy, byle pegaz nie zbije z pantałyku. Krytyk swoje wie. Fantasy, czy nie fantasy, powiada, reguły obowiązują. Miecz dwuręczny to miecz dwuręczny, kolczuga to kolczuga, kusza to kusza, koń to koń, sum to sum, a mydło to mydło. I trzeba przyznać, że w wielu przypadkach krytyk ma absolutną rację. Autor fantasy, który twierdzi, że: (a) barbakan to przyrząd służący do kruszenia murów fortecznych, (b) gizarma to koszary straży miejskiej, (c) napięte kusze wozi się w jukach, (d) sum ma łuski, (e) mydło mydli się w morskiej wodzie – taki autor łamie zasady terminologii, logiki, nie zna się – *ergo*: jest wałem, i to bynajmniej nie korbowym.

Nieszczęśnikowi przyłapanemu na waleniu barbakanem w zamczyste wrzeciądze twierdzy pozostaje więc jeno schować się ze wstydu pod łóżko. Inni, cóż, mogą zacząć się stawiać. Co z tego, krzykną, że mieczem dwuręcznym machali tylko piesi knechci, u mnie wywija nimi konnica, bo to fantasy, a nie bitwa pod Azincourt. Co z tego, że w rzeczywistości bełt z kuszy radził sobie z każdym pancerzem? U mnie nie poradzi sobie ze zbroją zaczarowaną lub wykonaną z mithrilu. Moje, fantastyczne wszak, sumy mają łuski, różki, nóżki i oczka niebieskie jak *lapis lazuli*.

Rzecz jasna, takie tłumaczenie nic autorowi nie pomoże. Krytyk wie lepiej. Krytyk całe swe życie fechtował się na miecze, strzelał z kusz i cisowych łuków, skrobał sumy i mydlił się w różnych cieczach. Autor może powoływać się na fantastyczną *licentię poetikę ad mortem usrandum.* Jeśli krytyk obwołał go wałem, zostanie takowym *in saecula saeculorum.*

Niektórym krytykom, zwłaszcza tzw. poważnym, którym naszyto gwiazdki na pagony przy okazji recenzowania hard SF, powyższy sposób nie wystarcza. O kanonie fantasy nie mają oni bladego pojęcia, co zręcznie maskują poprzez udawanie, że *genru* nie znają nie dlatego, że są w nim „ni czytaty ni pisaty", lecz dlatego, że nim gardzą, albowiem mizerny on ci jest, prymitywny i głupi. Takim krytykom nie wystarcza wyłapywanie w tekście *bullshitów* dotyczących mieczów, kusz, gizarm, kordegard, barbakanów, halabard i detali rzędu końskiego. Ich recenzje muszą sięgnąć głębiej. I sięgają.

Najpopularniejszą metodą jest krytyczna ocena świata, opisanego w dziele. Świat ocenia się na podstawie jego, *excusez le mot*, ontologii. Metoda jest iście znakomita, umożliwia bowiem krytyczną ocenę utworu fantasy nawet wówczas, jeśli w ogóle się go nie czytało. Pisze się recenzje, naprzemiennie określając dany Never-Never Land danego autora jako „niespójny, ontologicznie chwiejny i niedokończony" lub jako „ciekawy, pełny, komplementarny". I zawsze trafia się bez pudła.

Potem bierze się na warsztat protagonistę utworu. Bohaterowie fantasy mają bowiem jedną wspólną cechę – są jak jeden mąż nieprawdopodobni. Po pierwsze, dokonują fizycznie niemożliwych wyczynów. Po drugie, zachowują się w absolutnie bezsensowny, nielogiczny, wręcz kretyński sposób. Krytyk, żwawy niczym sum w natlenionej wodzie, wytknie więc bohaterowi fantasy jego behawioralny kretynizm i odniesie tenże do autora, mianując i jego beznadziejnym głupkiem.

Panowie krytycy! Bardzo was proszę, odczepcie się nareszcie od Conana, Ksina i Geralta! Spróbujcie sił w *mainstreamie*, tam dopiero jest siła nieprawdopodobnych, bezsensownych, papierowych, byle jak ulepionych bohaterów! Udowodnijcie, że Robin Hood w życiu nie zdołałby rozszczepić utkwionej w środku tarczy strzały, a Zorro, choćby nawet pękł, nie wyciąłby rapierem swego inicjału na spodniach sierżanta Garcii. Zwróćcie uwagę, jakim kretynem był Robert Jordan, biorąc się w danych warunkach za wysadzanie mostu. Zauważcie też, do jakiego stopnia fałszywą psychologicznie postacią jest rybak Santiago, stary człowiek z morza. Wszakże zamiast jednego wielkiego marlina mógł on – a nawet powinien – złowić ekwiwalent wagowy małych makreli, dzięki czemu niechybnie uniknąłby pakowania się w bezsensowne kłopoty.

Andrzej Sapkowski

Wesel kontra święty Graal

Co to takiego święty Graal, każdy miłośnik fantasy wie doskonale. Nazwę Wesel znają już tylko wyjątkowo pilni czytelnicy „Opowieści Okrągłego Stołu", gdzie kilkakrotnie pojawia się jako synonim Graala. W przypisach do wydania krytycznego znaleźć można informację, że słowo to pochodzi z dawnego języka gallijskiego i że jego – bardzo niekonsekwentne – występowanie w niektórych wariantach tekstu tłumaczy się hipotezą, jakoby autorzy legendy o królu Arturze wykorzystali tu w charakterze tworzywa jakąś znacznie starszą, pogańską jeszcze opowieść.

Więcej na ten temat udało mi się znaleźć w jednym z brytyjskich tygodników. Otóż filologowie zdołali z poodkrywanych w różnych miejscach szczątków zrekonstruować tę pierwotną, zamierzchłą wersję historii świętego Graala. Szczerze mówiąc, nie grzeszy ona nadmiernym wyrafinowaniem. Ot, gallijscy wojownicy dowiedzieli się o istnieniu magicznego, złotego kielicha – Wesela – i zapragnęli go odnaleźć; w końcu jednemu się udało.

Jednak różnice w komplikacji fabuły, oczywiste, zważywszy, że pierwowzór od rozwinięcia dzieli kilka wieków, są mniej istotne. Ciekawsze jest porównanie samego przedmiotu, który wzbudza w bohaterach pożądanie. Pogański Wesel ma ze świętym Graalem tylko jedną cechę wspólną: w obu wypadkach chodzi o złote naczynie, raczej kielich niż misę. Cudowność Wesela ogranicza się jednak wyłącznie do spraw dość przyziemnych: kto go mianowicie ma, zawsze znajduje w nim takie jadło lub napitek, na jakie mu akurat przyjdzie ochota, i to w ilości wystarczającej do napchania kałduna po same gardłodziurki. Graal natomiast jest – hm, kto właściwie zdoła powiedzieć, czym? Jest samą świętością, boskością, ideałem. Nie można go posiąść tak, jak się zdobywa zwykły klejnot. Percival w pałacu Króla Rybaka ma ów święty kielich na wyciągnięcie dłoni, ale nie jest godny zaszczytu wzięcia go do ręki; Lancelot nie może wejść do otwartej kaplicy, w której Graal się znajduje, nazbyt przytłoczony dźwiganym na sumieniu brudem. Gdy zaś Galahad wreszcie ową upragnioną świętość zdobywa, dzięki temu, że siłę i sprawność w boju umiał połączyć z przymiotami ducha – przestaje już potrzebować od tego świata czegokolwiek i definitywnie kończy ziemską podróż.

Szkoda, że artykuł o pierwowzorze świętego Graala nie wpadł w ręce Andrzejowi Sapkowskiemu, zanim ten zabrał się do pisania swojego „Piroga". Trudno bowiem o lepszy dowód, jak bardzo fałszywe jest zawarte w tym tekście pojęcie o pogańskich mitologiach, których mniemane wspaniałości zniszczyli jakoby źli chrześcijanie w drodze wybijania zębów. A zarazem trudno o bardziej pouczający przykład, skąd się wzięły i po co były ludziom potrzebne tropione przez Sapkowskiego archetypy. Owoż, były one ludziom potrzebne do zaspokajania głodu. Dziś pozwalają nam dostrzec, jak w pewnym momencie dziejów narósł w naszych przodkach głód wyższego rodzaju, głód nie do zaspokojenia, który pchnął naszą cywilizację i kulturę do przodu tak bardzo, że na długie stulecia wyprzedziła wszystko inne, co się zdołało na naszym globie uląc.

Bez tego głodu nie byłoby także fantastyki. We wszystkich swych podgatunkach nie jest ona niczym innym niż wciąż na nowo podejmowaną wyprawą do świętego Graala. Wszystkich jej liczących się autorów gnała zawsze ta sama tęsknota i pozostaje kwestią drugorzędną, że zależnie od czasów i osobistej wrażliwości potrafiła ich zagnać w miejsca tak bardzo różne, jak Mars Bradbury'ego, tolkienowskie Śródziemie czy psychodeliczne otchłanie Dicka i nowofalowców.

Ale sukces tego archetypu wcale nie znaczy, że Graal raz na zawsze pokonał Wesela. Porównując kulturę dzisiejszą z wiekami poprzednimi odnieść można czasem wrażenie, że ludziom znudziło się obijanie nóg po bezdrożach w pogoni za czymś tak nieuchwytnym jak święty Graal i akcje Wesela znowu idą ostro w górę. Widać to i po fantastyce; przeciw Śródziemiu staje tępawy Conan, przeciw Dickowi jakiś „Glut-7" czy inna demoniczna galareta z kosmosu. Jak ich starcie w duszach czytelników przebiegnie i jak się rozstrzygnie – oto jest sprawa godna uwagi pisarza daleko bardziej niż to, że ktoś tam śmiał nazwać bohatera po słowiańsku zamiast po celtycku.

Być może się starzeję, ale odkąd literaturą zaczął rządzić rynek, a nie dotacje, przestały mnie irytować cudze błędy. Jeśli są jakieś Pirogi – no to niech sobie będą. Każe ktoś czytać? Dopłaca kto do nich z naszych podatków? Więc po co je tępić? Tym, którzy szukają świętego Graala, nawet jeśli robią to nieumiejętnie, jestem skłonny wiele wybaczyć. Bo kto zabierze ze sobą czytelnika na poszukiwanie świętego Graala, choć nawet nic nie znajdzie, to przynajmniej rozbudzi w nim ten wyższego rodzaju głód. Kto zaś przedmiotem literackiej wyprawy uczyni Wesela, ten sobie najwyżej napcha kałdun. Niechby i po same gardłodziurki – ale bez żadnego pożytku dla literatury i dla bliźnich.

Rafał A. Ziemkiewicz

...3...2...1...

Dziwactwa fin de siècle'u

Bogactwo dziwactw ogromne powtarza się co sto lat. I to się określa jako *fin de siecle* właśnie. Przypatrzmy się trzem takim datom.

Na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego stulecia rodziła się SF. Nazwę gatunku wymyślono później, lecz opowieści sięgające po horror, po średniowieczne baśnie; początki gotyckiego romansu i romantyzmu nadprzyrodzonych zjawisk... to owoc niepokojów przełomu dwóch wieków. Piszą wtedy Walpole, Lewis, Beckford – Brytyjczycy, a także Niemcy – von Arnim, von Chamisso, Hoffmann. Oprócz horroru artyści zaczynają proponować rzeczy wielkie, na przykład „Ballady i romanse" Mickiewicza – o duchach. W 1818 r. pojawia się „Frankenstein", klasyczna rzecz z gatunku fantastyki pióra Mary Shelley (żony jednego z największych romantyków epoki). To wszystko w okresie napoleońskich wojen i zaraz po nich.

Następny *fin de siecle* – znowu dekadencki nastrój na całym świecie. Nasz Przybyszewski siedzi głęboko w kulcie szatana, Verne wypisuje proroctwa o możliwościach nauki, modne są filozofie Dalekiego Wschodu. U nas zbiera je do kupy Antoni Lange w swoim „Dywanie wschodnim". Idee nirwany, nieba dla wszystkich dusz, czy ziemskiego zjednania w starohinduskiej zasadzie *tat twam asi* – „ja jestem ty", styl secesji z esami-floresami i erotyzmem – oto cechy schyłku w epoce maszyny parowej.

Nasz koniec wieku także trudno przeoczyć. W sztuce mamy postmodernizm; pokaz na przykład w architekturze, czy raczej popis w spożytkowaniu wszelkich stylów – kamienice jak pałace z szklanymi zwieńczeniami i ryzalitami. Wille jak zamczyska z XV wieku. W filmie „Czerwony" Kieślowskiego, te same co w poprzedniej epoce idee braterstwa i jedności dusz, prosto ze Wschodu, katastrofizm, boguiskatielstwo. Człowiek poszukuje bóstw i wierzy, że sam jest bóstwem.

Znajdujemy się w samym środku *New Age* – „Nowego wieku", ruchu obejmującego filozofię, obyczaje, a także naukę i jej przeciwieństwa. Istnieją więc dwa rodzaje egzystencji wszechświata – energia i materia. Ale energia i materia mogą (z punktu widzenia nauki, jak i paranauki) zamienić się jedno w drugie i w tym sensie jesteśmy nieśmiertelni. Nie tylko w tym. Wszechświat powstał w wyniku *big bangu*. Z pesteczki o straszliwym ładunku energii zrodził się potężny, stale ekspandujący... A my?

Bez względu na to, czy pochodzimy z gwiezdnych przestrzeni, czy z ewolucji energetyczno-materialnej na naszej planecie, odtwarzamy w swoim rozwoju nagły i przedziwny rozwój świata. Z mikroskopijnych, wiecznie żywych genów, rozrasta się człowiek i wszystko, co wielkie i małe na ziemi. Jakże obok tych zjawisk przejść obojętnie? A więc fantastyka! A więc kino szaleństw, erotyzmu i zbrodni. A więc horror – mistyka, boguiskatielstwo.

Zamykania się jednych, a rodzenia nowych epok wymagają i pobudzają różne formy rozliczeń i refleksji. A katastroficzne wydarzenia – wojny, bunty, braterskie zmagania – biorą się ze strachu i rodzą strach oraz potrzebę ostrzeżeń i innego planowania życia. Wszystko to w rosnącym katastroficznie przepełnieniu świata, coraz potężniejszej fali samoświadomości ludzi różnych ras i kontynentów, a także zagrożenia głodem, chorobami...

Oto skrócone wizerunki *fin de siecle'ów* i coraz to nowe postacie *new age'ów*. Możecie ich nie pojmować, lubić lub nienawidzić, ale trzeba, MUSI SIĘ przez to PRZEJŚĆ.

Adam Hollanek

Serie wydawnicze

W czerwcowym numerze „NF" przeczytałem z zainteresowaniem artykuł Jacka Wójciaka o serii wydawniczej „Fantastyka – Przygoda". Mam jeszcze dwa pytania:

1. *Czy prawdą jest, że istniał siódmy tom „Kroków w nieznane"? Ponoć miał on okładkę w kolorze czarnym, nakład został wycofany w ostatniej chwili przed rozesłaniem książki do księgarń, w rezultacie zawarte w nim opowiadania ukazały się potem w dwutomowych „Rakietowych szlakach" w Czytelniku. Słyszałem, że zachowało się kilka egzemplarzy tego siódmego tomu „Kroków...". Czy było tak w istocie?*

2. *Podobna sytuacja z „Gwiezdnym korsarzem" Ołesia Berdnyka – jak to w końcu było z tym tytułem?*

Piotr Kaprowski
Katowice

1. Siódmego tomu „Kroków w nieznane" nigdy nie było. Decyzja ówczesnego dyrektora „Iskier" przerwała serię na etapie przygotowania materiału.

2. Powieść Berdnyka obrosła legendą – moim zdaniem niezasłużenie. Poza ciekawymi elementami (skrzyżowanie teozofii z ukraińskim nacjonalizmem) dużo w niej było ckliwej grafomanii. Na dodatek tłumacz dostarczył bardzo słaby przekład, który musiałem odrzucić. A potem już włączyła się ideologia: Berdnyk oświadczył publicznie, że człowiek ma duszę, za co został ukarany zakazem publikacji, jeszcze później wylądował w więzieniu za politykę. Taki fragmencik komunistycznej przeszłości, która dziś wydaje się groteską. Wbrew pogłoskom książka nigdy nie została wydrukowana ani skierowana na przemiał. Szerzej o Berdnyku pisaliśmy w „NF" nr 11/91.

Lech Jęczmyk

LISTA BESTSELLERÓW • LIPIEC 1994

W powietrzu jakieś 37° C; w taki upał żyć się nie chce, a co dopiero czytać. Wydawcy narzekają, że książki słabo schodzą. Księgarze narzekają, że pojawia się mało atrakcyjnych tytułów i nie ma czym handlować. Rynek tak się znarowił, że jeśli w tygodniu nie trafią się 2-3 głośne tytuły, które pociągną sprzedaż, to od razu czytelnicy zachowują się tak, jakby ogłoszono przerwę w handlu. W związku z tym księgarnia „U Izy" ratuje się cyklami i to one zajmują na jej liście poczesne miejsca.

Pozornie wygląd naszej listy takiej diagnozy – że mało tytułów – nie potwierdza, ale też są to dzieła dość średnie. Znowu widać Amber, który oferuje naprawdę wiele książek SF i fantasy. Z autorów boom przeżywa Harrison, głównie za przyczyną cyklu o Stalowym Szczurze. No i pierwszy raz od miesięcy liczna trzyosobowa reprezentacja polska. Kupujcie polskich autorów i czytajcie, bo niedługo wymrą.

Księgarnia Wysyłkowa SF „Verbum 2", Olsztyn, Emilii Plater 1
1. Anne McCaffrey: *Pieśń kryształu* (Amber)
2. Mike Resnick: *Mroczna Pani* (Rebis)
3. Arthur C. Clarke: *Pieśni dalekiej Ziemi* (Alkazar)
4. Harry Harrison: *Narodziny Stalowego Szczura* (Amber)
5. Feliks W. Kres: *Serce gór* (Przedświt)
6. Harry Harrison: *Filmowy wehikuł czasu* (Amber)
7. Cyril M. Kornbluth: *Dwa światy* (PiK)
8. Robert Silverberg: *Wieża światła* (Amber)
9. Robert Jordan: *Oko świata* (Zysk i S-ka)
10. Eugeniusz Dębski: *Brat marnotrawny* (Mitra)

Księgarnia „U Izy", Warszawa, Wilcza 71
1. Margaret Weis, Tracy Hickman: *Smoki zimowej nocy / Smoki jesiennego zmierzchu* (Zysk i S-ka)
2. Harry Harrison: *Narodziny Stalowego Szczura / Zemsta Stalowego Szczura / Stalowy Szczur idzie do wojska* (Amber)
3. Gene Wolfe: *Cień kata / Pazur Łagodziciela* (Iskry)
4. Mercedes Lackey: *Strzały królowej* (Zysk i S-ka)
5. Andrzej Sapkowski: *Miecz przeznaczenia / Ostatnie życzenie* (SuperNOWA)

Księgarnia „Oramus"*, Warszawa, Młynarska 9
1. Piers Anthony: *Dolina kopaczy* (Rebis)
2. Mercedes Lackey: *Strzały królowej* (Zysk i S-ka)
3. Harry Harrison: *Stalowy Szczur idzie do wojska / Zemsta Stalowego Szczura* (Amber)
4. Lin Carter, L. Sprague de Camp: *Conan z Aquilonii* (Amber)
5. Harry Harrison: *Bill, bohater Galaktyki* (Zysk i S-ka)
6. Robert Silverberg: *Wieża światła* (Amber)

** Nie jestem właścicielem ani udziałowcem tej księgarni – Marek Oramus.*

Zysk i S-ka, Dział Sprzedaży, Poznań, Wielka 10
1. Mercedes Lackey: *Strzały królowej*
2. Robert Jordan: *Oko świata*
3. Harry Harrison: *Galaktyczni zwiadowcy – postrach gwiazd*
4. C. J. Cherryh: *Gasnące słońce: Kesrith*

Rekomendujemy: McCaffrey: *Pieśń kryształu*; Resnick: *Mroczna Pani*; Harrison: *Filmowy wehikuł czasu*; Silverberg: *Wieża światła;* Dębski, Kres, Sapkowski.

(MO)

RATMAN GENESIS

TOMASZ NIEWIADOMSKI

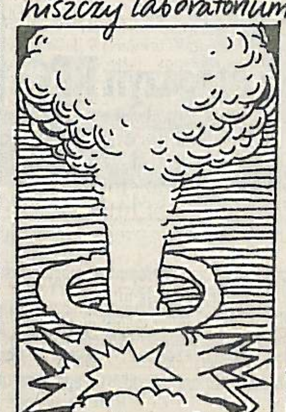
Profesor X prowadzi badania na szczurach



w pracy pomaga mu Myszka Miki



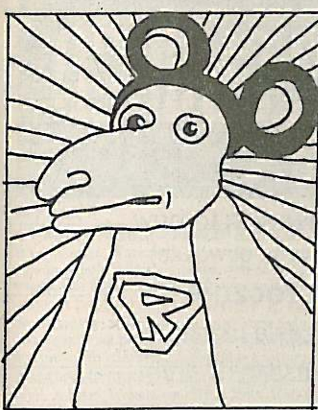
Wybuch atomowy niszczy laboratorium



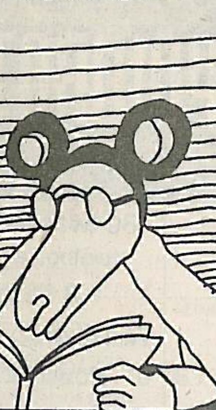
Cząsteczki profesora, myszki Miki i szczurów mieszają się ze sobą



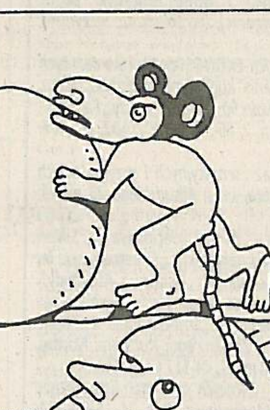
Tworząc nową istotę... RATMANA



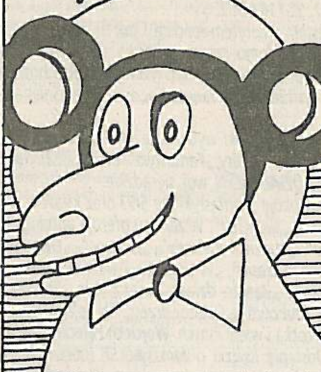
człowieka



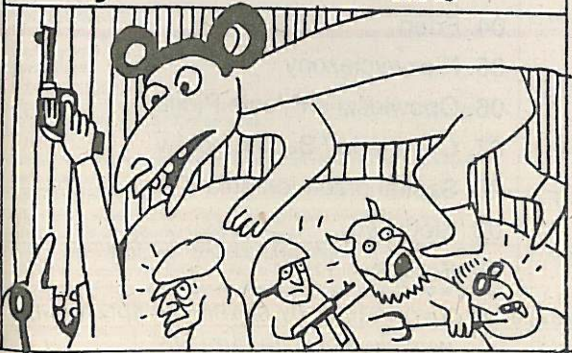
Szczura



o ogładzie i inteligencji Myszki Miki



Odtąd zło nie ma szans



Najwięksi Wrogowie Ratmana:





